

TOMASZ

MANN

OPOWIADANIA

Tomasz Mann

O P O W I A D A N I A

przełożył
LEOPOLD STAFF

posłowiem opatrzył
ROMAN KARST



C Z Y T E L N I K 1 9 6 6

Spis treści:

Pajac.....	4
Tonio Kröger.....	47
Katastrofa kolejowa.....	132
Pan i pies.....	145
Mario i czarodziej.....	255

PAJAC

(1897)

Ostatecznie godnym wynikiem tego wszystkiego jest rzeczywiście tylko wstręt, którym przejmuje mnie życie — moje życie — „to wszystko” i „w ogóle”, wstręt, który mnie dławii, podrywa, wstrząsa i znów z nóg zwała i który wcześniej czy później da mi potrzebną siłę, by załatwić się z tą całą śmieszną i nikczemną sprawą i zabrać się stąd. Być może, że wytrzymam jeszcze ten miesiąc i następny, że przez kwartał lub pół roku będę jeść, spać i pracować w ten sam mechaniczny, uregulowany i spokojny sposób, w jaki moje zewnętrzne życie upływało tej zimy i jaki znajdował się w przerażającej sprzeczności z obrzydliwym procesem rozkładowym mego wnętrza. Czyż się nie zdaje, że wewnętrzne przeżycia człowieka są tym silniejsze i tym bardziej męczące, im swobodniej, samotniej i spokojniej z pozoru żyje? Nie ma rady: trzeba żyć; i jeśli wzbranasz się być człowiekiem czynnym i zamkniesz się w najcichszym pustkowiu, to zmienne zdarzenia bytu będą cię wewnętrznie

opadać i będziesz musiał w nich sprawdzać swój charakter, czy jesteś bohaterem, czy błaznem.

Sprawiłem sobie ten czysty zeszyt, aby opowiedzieć w nim swą „historię”, po co właściwie? Może, aby mieć w ogóle coś do roboty? Może z zamiłowania do psychologizowania i aby delektować się koniecznością tego wszystkiego? Konieczność jest tak pocieszająca! Może też, aby chwilami rozkoszować się pewnego rodzaju wyższością nad sobą samym i czymś jakby obojętnością? Gdyż obojętność, wiem, byłaby rodzajem szczęścia.

Tak daleko leży poza mną to małe, stare miasto z swymi wąskimi, pełnymi zakątków i szczytów ulicami, z swymi gotyckimi kościołami i studniami, z swymi zabiegliwymi, poczciwymi i prostymi ludźmi i z wielkim, szarym od starości patrycjuszowskim domem, w którym się wychowałem.

Leżał on w środku miasta i przetrwał cztery pokolenia zamożnych i szanowanych kupców. „Ora et labora”¹ czytało się nad bramą i kiedy z obszernej kamiennej sieni, którą okrążała w górze galeria z białym lakierowanym drzewem, weszło się na górę po szerokich wschodach, to trzeba było jeszcze przejść obszerny korytarz i wąski, ciemny krużganek, aby dostać się

¹ Ora et labora (łac.) — módl się i pracuj.

przez wysokie, białe drzwi do pokoju, gdzie matka moja siedząc przy fortepianie grała.

Siedziała w przyćmionym świetle, gdyż okna zawieszzone były ciężkimi, ciemnoczerwonymi firankami; i białe postacie bóstw na tapetach zdawały się plastycznie występować z niebieskiego tła i nasłuchiwać ciężkich, głębokich początkowych tonów Szopenowskiego nokturnu, który najbardziej lubiła i zawsze grała bardzo powoli, jak gdyby chcąc upajać się melancholią każdego akordu. Fortepian był stary i utracił pełnię dźwięków, ale używając tłumika, który przyciszał wysokie tony, tak że przypominały matowe srebro, można było osiągnąć najprzeziwniejsze efekty.

Siedziałem na masywnej adamaszkowej sofie o sztywnym oparciu i patrzyłem na matkę. Była niska i delikatnie zbudowana i nosiła przeważnie suknię z miękkiego jasnoszarego materiału. Jej wąska twarz nie była piękna; ale pod przedzielonymi, lekko sfalowanymi, jasnopłowymi włosami widniało ciche, delikatne, rozmarzone oblicze dziecka i kiedy z przechyloną nieco na bok głową siedziała przy fortepianie, podobna była do wzruszających aniołków, które często na starych obrazach grają na gitarze u stóp Madonny.

Ojciec mój zaś był to wysoki, barczysty pan w wytwornym surducie z czarnego sukna, z białą kamizelką, na której wisiały złote binokle. Między jego krótkimi, szarymi jak lód bokobrodami występowała okrągła i silna broda, ogolona gładko jak i

górną wargę, a brwi jego przedzielały stale dwie głębokie, prostopadłe fałdy. Był to możny człowiek, mający wielki wpływ na sprawy publiczne; widziałem ludzi, którzy wychodzili od niego podnieceni, z świecącymi oczyma, i innych, którzy byli złamani i całkiem zrozpaczeni. Bo zdarzało się czasem, że ja, jak i moja matka z moimi obiema starszymi siostrami, byliśmy świadkami takich scen; może dlatego, że ojciec mój chciał wpoić we mnie ambicję, bym doszedł w świecie tak daleko jak on; może też, jak podejrzewam, dlatego, że potrzebował publiczności; zwykł był, oparty o krzesło, z jedną ręką za klapą surduta, patrzeć w ślad za tymi uszczęśliwionymi lub zniszczonymi ludźmi, co mnie już jako dziecko naprowadzało na to podejrzenie.

Siedziałem w kącie i obserwowałem ojca i matkę, jakbym wybierał między nimi i zastanawiał się, czy lepiej jest spędzić życie w marzycielskiej zadumie, czy też w czynie i władzy. I oczy moje spoczęły w końcu na cichym obliczu mej matki.

Nie, abym w swym zewnętrznym zachowaniu był zupełnie do niej podobny, gdyż zajęcia moje w wielkiej części nie były zgoła ciche i niehałaśliwe. Myślę o jednym z nich, które wolałem od obcowania z rówieśnikami i ich sposobów igrania z namiętnością i które teraz jeszcze, gdy mam prawie trzydzieści lat, sprawia mi radość i zadowolenie.

Chodziło o wielki i dobrze wyposażony teatr lalek, z którym zupełnie sam zamykałem się w swoim pokoju, by

wystawiać tam najdziwniejsze dramaty muzyczne. Pokój mój, który znajdował się na drugim piętrze i w którym wisiały dwa ciemne portrety przodków z wallensteinowskimi brodami, zaciemniałem i stawiałem lampę z boku teatru; gdyż sztuczne oświetlenie zdawało mi się pożądane dla podniesienia nastroju. Zajmowałem miejsce bezpośrednio przed sceną, gdyż byłem kapelmistrzem, i lewa moja ręka spoczywała na wielkim okrągłym pudle z tektury, które stanowiło jedyny widzialny instrument orkiestrowy.

Nadchodzili teraz współdziałający artyści, których sam wyrysowałem atramentem i piórem, wyciąłem i zaopatrzyłem w drewniane podpórki, ażeby mogli stać. Byli to panowie w zarzutkach i cylindrach oraz damy wielkiej piękności.

— Dobry wieczór — mówiłem — drodzy państwo. Wszyscy zdrowi? Jestem już na miejscu, bo trzeba było wydać pewne rozporządzenia. Ale już czas udać się do garderoby.

Udawali się do garderoby, która znajdowała się za sceną, i wracali niebawem zupełnie zmienieni, jako pstre postacie teatralne, aby przez otwór, który wyciąłem w kurtynie, sprawdzić, czy sala jest pełna. Sala była istotnie nieźle zapełniona i dawałem sobie dzwonkiem znak do rozpoczęcia przedstawienia, po czym podnosiłem batutę i przez chwileczkę rozkoszowałem się ciszą, którą ten znak wywołał. Wnet jednak na skutek nowego ruchu rozbrzmiewał tajemniczo głuchy werbel bębna, który stanowił początek uwertury i który wybijałem lewą

ręką na tekturowym pudle — odzywały się trąby, klarnety i flety, których charakter dźwiękowy naśladowałem ustami w niezrównany sposób, i muzyka zaczynała grać, aż przy potężnym crescendo kurtyna szła w górę i w ciemnym lesie lub we wspaniałej sali zaczynał się dramat.

Był on przedtem naszkicowany, lecz w szczegółach musiał być improwizowany, a rozbrzmiewające słodko i namiętnie pieśni, którym klarnety wtórowały trylami, a pudło z tektury gniewnym pukaniem, to były dziwne, napuszone wiersze, nastroszone wielkimi, śmiałymi słowami, które rymowały się czasem, rzadko jednak posiadały rozumną treść. Opera zaś rozwijała się w dalszym ciągu, gdy ja bębniłem lewą ręką, ustami śpiewałem i naśladowałem orkiestrę, a prawą ręką dyrygowałem nie tylko figurami przedstawienia, lecz też wszystkim innym, tak że na końcu aktów rozbrzmiewały entuzjastyczne oklaski, kurtyna musiała kilkakrotnie iść w górę, a nieraz nawet trzeba było, aby kapelmistrz odwracał się na swym siedzeniu i w sposób jednocześnie dumny i przymilny kłaniał się publiczności.

Zaiste, kiedym po takim wysiłku pełnym przedstawieniu, z gorącą głową, pakował swój teatr, opanowywało mnie szczęśliwe znużenie, jakie odczuwać musi wielki artysta, kiedy zwycięsko ukończy dzieło, w które włożył swą najlepszą wiedzę. Ta zabawa, pozostała do trzynastego czy czternastego roku życia moim umiłowanym zajęciem.

Jak jednak przeszło moje dzieciństwo i okres chłopięcy w wielkim domu, w którego najniższych pokojach ojciec mój prowadził swe interesy, gdy na górze matka marzyła w fotelu lub w cichej zadumie grała na fortepianie, a moje obie siostry, o dwa i trzy lata starsze ode mnie, krzątały się w kuchni i około szaf z bielizną? Pamiętam tak mało.

To pewne, że byłem niesłychanie żywym chłopcem, który dzięki swemu uprzywilejowanemu pochodzeniu, dzięki wzorowemu naśladowaniu nauczycieli, dzięki tysięcznym sztuczkom aktorskim i przez pewnego rodzaju górne frazesy umiał sobie zaskarbić u swych współuczniów szacunek i wziętość. W nauce jednak nie wiodło mi się dobrze, bo byłem za bardzo zajęty tym, żeby z ruchów nauczycieli wydobywać komizm, abym mógł uważać na resztę, a w domu miałem głowę nazbyt pełną tematów operowych, wierszy i przeróżnych nonsensów, abym był poważnie zdolny do pracy.

— Fe! — rzekł mój ojciec i fałdy między jego brwiami pogłębiły się, gdy po obiedzie przyniosłem mu do pokoju swe świadectwo, on zaś, z ręką za klapą surduta, przeczytał papier. — Sprawiasz mi mało radości, to prawda. Cóż z ciebie będzie, jeśliś łaskaw mi to powiedzieć. Nigdy nie wypłyniesz w życiu na powierzchnię.

To było smutne; nie przeszkodziło mi jednak już po kolacji przeczytać rodzicom i siostram wiersza, który po południu napisałem. Ojciec mój śmiał się przy tym tak, że jego pince-nez

na białej kamizelce podskakiwało tu i tam. — Co za błazeństwa! — wołał raz po razu. Jednak matka moja pociągnęła mnie ku sobie, odgarnęła mi włosy z czoła i rzekła: — To wcale niezłe, mój chłopcze, uważam, że jest w tym kilka ładnych miejsc.

Później, gdy byłem trochę starszy, nauczyłem się na własną rękę pewnego rodzaju gry na fortepianie. Zacząłem od tego, że uderzałem akord Fis-dur, gdyż czarne klawisze miały dla mnie szczególny powab, wyszukiwałem przejścia do innych tonacji i spędzając długie godziny przy fortepianie doszedłem stopniowo do pewnej biegłości w pozbawionej taktu i melodii zmianie harmonii, przy czym w to mistyczne falowanie wkładałem tyle wyrazu, ile tylko było możliwe.

Matka moja mówiła: — Ma uderzenie, które zdradza smak. — I spowodowało to, że brałem lekcje, które trwały pół roku, gdyż rzeczywiście nie było rzeczą prawdopodobną, bym nauczył się właściwego palcowania i taktu.

Otóż lata mijały i pomimo trosk, które sprawiała mi szkoła, rosłem niezwykle wesoło. Obracałem się, pogodny i lubiany, w kole mych znajomych i krewnych, byłem gładki i miły z uciechy, że udaję miłego, choć wszystkimi tymi ludźmi, którzy byli oschli i pozbawieni wyobraźni, zacząłem instynktownie pogardzać.

Pewnego popołudnia, gdy miałem coś osiemnaście lat i stałem u progu uniwersytetu, podsłuchałem krótką rozmowę mych rodziców, którzy siedzieli obok siebie w pokoju z sofą przy okrągłym stole, nie wiedząc, że w przyległym stołowym leżę beczynnym w oknie i przyglądam się blademu niebu nad szczytami domów. Posłyszawszy swe imię podszedłem cicho do białych, półotwartych drzwi.

Ojciec mój siedział rozparty w fotelu, z nogą założoną na nogę, i trzymał jedną ręką na kolanach gazetę giełdową, drugą zaś gładził brodę między bokobrodami. Matka siedziała na sofie pochylając cichą twarz nad robótką. Między nimi stała lampa.

Ojciec rzekł:

— Sądzę, że odbierzemy go niebawem ze szkoły i oddamy na naukę do dobrze prosperującego interesu.

— Ach — rzekła matka bardzo zasmucona i podniosła oczy. — Takie zdolne dziecko!

Ojciec milczał chwilę, zdmuchnąwszy starannie z surduta włókienka pyłu. Potem podniósł barki, rozłożył ręce, zwracając do mej matki obie dłonie, i rzekł:

— Jeśli przypuszczasz, moja droga, że do zawodu kupca nie potrzeba żadnej zdolności, to jest to pojęcie mylne. Z drugiej strony, co ku memu smutkowi poznaję coraz bardziej, chłopak w szkole wiele nie zwojuje. Zdolność jego, o której mówisz, jest pewnego rodzaju talentem pajaca, przy czym spieszę dodać, że

wcale tych rzeczy nie lekceważę. Umie być miły, jeśli zechce, wie, jak postępować z ludźmi, jak ich bawić, jak im schlebiać, czuje potrzebę podobania się i powodzenia, z takimi zadatkami niejeden już zdobył szczęście i dzięki nim, przy obojętności dla wszystkiego innego, nadaje się ewentualnie na kupca w większym stylu.

Tu ojciec mój z zadowoleniem podał się w tył, wyjął papierosa z etui i zapalił go powoli.

— Masz z pewnością rację — rzekła matka rozglądając się bezradnie po pokoju. — Myślałam tylko często i poniekąd się spodziewałam, że może być z niego kiedyś artysta. To prawda, do jego muzycznego talentu, który pozostał niewykształcony, nie można przywiązywać wagi; ale czyś zauważył, że w ostatnich czasach, odkąd zwiedził małą wystawę sztuki, zajmuje się trochę rysunkiem? To wcale niezłe, sądzę.

Ojciec mój zdmuchnął dym sprzed twarzy, poprawił się w fotelu i rzekł krótko:

— Wszystko to błazeństwo i błaga. Zresztą można, jak słuszna, jego samego spytać o życzenia.

Jakież to mogłem mieć życzenia? Widoki na zmianę mego zewnętrznego życia podziały na mnie zupełnie rozweselająco, z pogodną twarzą oświadczyłem, że jestem gotów opuścić szkołę, by zostać kupcem, i wstąpiłem do hurtownego handlu drzewem pana Schlievogta, w dole nad rzeką, jako uczeń.

Zmiana była zupełnie zewnętrzną, ma się rozumieć. Moje zainteresowania hurtownym handlem drzewa pana Schlievogta były niezwykle małe i siedziałem na swym obrotowym stołku pod gazową lampą, w wąskim i ciemnym kantorze, tak obcy i nieprzytomny, jak niegdyś na ławie szkolnej. Miałem teraz mniej strapień; na tym polegała różnica.

Pan Schlievogt, otyły mężczyzna o czerwonej twarzy, z siwą, twardą brodą marynarza, niewiele troszczył się o mnie, bo przebywał przeważnie w tartaku, położonym dość daleko od kantoru i składu, a urzędnicy interesu traktowali mnie z szacunkiem. Przyjazne stosunki łączyły mnie tylko z jednym z nich, zdolnym i wesołym młodzieńcem z dobrej rodziny, którego znałem już ze szkoły i który zresztą nazywał się Schilling. Podobnie jak ja kpił sobie z całego świata, okazywał jednak przy tym gorliwe zainteresowanie handlem drzewa i nie było dnia, by nie zaznaczył stanowczego zamiaru zostania w jakiś sposób bogatym człowiekiem.

Ja ze swej strony załatwiałem mechanicznie swoje konieczne sprawy, by poza tym wałęsać się po składzie między stosami desek i robotnikami i przyglądając się przez wysokie drewniane kraty rzece, nad którą od czasu do czasu przejeżdżał pociąg towarowy, myślałem o przedstawieniu teatralnym czy koncercie, na którym byłem obecny, lub o książce, którą czytałem.

Czytałem dużo, czytałem wszystko, co mi wpadło pod rękę, i skala mej wrażliwości była duża. Każdą poetycką osobowość rozumiałem uczuciem, zdawałem się rozpoznawać w niej siebie i myślałem, i czułem tak długo w stylu jednej książki, póki nowa nie wywarła na mnie swego wpływu. W pokoju, w którym niegdyś założyłem teatr lalek, siedziałem teraz z książką na kolanach, spoglądałem na oba portrety przodków i przetrawiałem akcent mowy, której się oddawałem, podczas gdy napełniał mnie jałowy chaos półmyśli i fantastycznych obrazów.

Siostry moje wyszły wkrótce jedna po drugiej za męża i kiedy nie byłem w kantorze, schodziłem często na dół do pokoju, gdzie moja matka, która trochę słabowała i której twarz stawała się coraz dziecinniejsza i cichsza, przesiadywała teraz przeważnie zupełnie sama. Gdy grała mi Chopina, a ja pokazywałem jej nowy pomysł harmonicznego przejścia, pytała mnie, czy jestem zadowolony z swego zawodu i czy jestem szczęśliwy. — Niewątpliwie, byłem szczęśliwy.

Nie miałem więcej niż dwadzieścia lat, moje położenie życiowe było tylko prowizoryczne i nieobca mi była myśl, że nie jestem zgoła zmuszony spędzić życia u pana Schlievogta lub w handlu drzewem w jeszcze większym stylu, że pewnego dnia mogę się uwolnić, by opuścić miasto ze szpiczastymi domami i gdzie indziej w świecie żyć dla swych zamiłowań; czytać dobre i pięknie pisane książki, chodzić do teatru, oddawać się trochę muzyce. Szczęśliwy? Ależ jadłem wybornie, chodziłem jak najlepiej ubrany i wcześniej już, gdy za moich szkolnych czasów

widziałem, jak biedni i źle ubrani koledzy zwyczajnie kulili się i mnie oraz mnie równych z pewnego rodzaju przypochebną nieśmiałością chętnie uznawali za nadających ton panów, uświadomiłem sobie z radością, że należę do tych wyższych, bogatych, którym się zazdrości i którzy mają prawo spoglądać z życzliwą pogardą na biednych, nieszczęśliwych i zazdrosnych. Jakże nie miałem być szczęśliwy? Niech wszystko idzie swoim torem. Po pierwsze miało to swój urok: poruszać się obco, z wyższością i pogodnie wśród tych krewnych i znajomych, z których ograniczoności kpiłem sobie, których jednocześnie traktowałem z gładką uprzejmością z chęci podobania się im i wygrzewałem się miło w słońcu ich mętnego respektu, jaki wszyscy ci ludzie okazywali wobec mej istoty, gdyż z niepewnością wietrzyli w niej jakąś opozycję i ekstrawagancję.

Jakaś zmiana zaczęła zachodzić w moim ojcu. Gdy o czwartej przychodził do stołu, fałdy między jego brwiami zdawały się co dzień głębsze i nie wsuwał już imponującym ruchem ręki za klapę surduta, lecz zdradzał przygnębienie, nerwowość, niepokój.

— Jesteś na tyle dorosły, by dzielić ze mną troski, które podkopują moje zdrowie. Zresztą mam obowiązek zaznajomić cię z nimi, abyś nie oddawał się złudnym nadziejom co do twej przyszłej sytuacji życiowej. Wiesz, że małżeństwa twych sióstr wymagały pokaźnych ofiar. Niedawno firma poniosła straty,

które spowodowały znaczną redukcję majątku. Jestem starym człowiekiem, czuję się zniechęcony i nie sądzę, że ten stan rzeczy da się w istocie swej zmienić. Proszę cię, weź pod uwagę, że będziesz zmuszony oprzeć się na samym sobie. Mówił to jakoś dwa miesiące przed śmiercią. Pewnego dnia znaleziono go pożółkłego, bezwładnego i bełkocącego w fotelu jego prywatnego kantoru i w tydzień potem całe miasto wzięło udział w jego pogrzebie.

*

Moja matka siedziała wątpła i cicha na sofie przy okrągłym stole w pokoju i miała oczy przeważnie zamknięte. Gdy siostry i ja krzątailiśmy się koło niej, kiwała głową i uśmiechała się, po czym w dalszym ciągu milczała i z rękoma splecionymi na kolanach, wielkimi, obcymi i smutnymi oczami wpatrywała się w postacie bóstw na tapecie. Gdy przychodzili panowie w surdutach, aby zdać sprawę z przebiegu likwidacji, kiwała również głową i znowu zamykała oczy.

Nie grywała już Chopina i kiedy czasem dotknęła ciemienia, blada, delikatna i znużona ręka jej drżała. W niespełna rok po śmierci ojca położyła się i umarła bez jęku, bez walki o życie.

Teraz skończyło się to wszystko. Co trzymało mnie właściwie na miejscu? Interesy były załatwione, tak czy inaczej okazało się, że ze spadku przypadło na mnie niemal sto tysięcy marek, a to starczyło, by uczynić mnie niezależnym od całego

świata, tym bardziej, gdy z jakiegoś obojętnego powodu uznano mnie niezdatnym do wojska.

Nic nie wiązało mnie już z ludźmi, pośród których wyrosłem, których oczy patrzyły na mnie z coraz większą obcością i zdumieniem i których pogląd na świat był zbyt jednostronny, bym mógł go z nimi dzielić. Jeżeli istotnie mnie znali, i to jako zdecydowanie niepotrzebnego człowieka, to i ja znałem siebie. Ale na tyle sceptyk i fatalista, aby — wedle słów ojca — mój „talent pajaca” brać z wesołej strony, i radośnie zdecydowany używać życia na swój sposób, byłem z siebie zupełnie zadowolony.

Podjąłem swój mały majątek i nie żegnając się prawie, opuściłem miasto, aby nasamprzód udać się w podróż.

Te trzy lata, które nastąpiły i podczas których z łapczywą chłonnością przeżyłem tysiąc nowych, zmiennych, bogatych wrażeń, wspominam jak piękny, daleki sen. Ileż to czasu minęło, jak spędziłem święto Nowego Roku u mnichów na Simplonie, wśród śniegu i lodu; jak włóczyłem się w Weronie po Piazza Erbe i jak z Borgo San Spirito po raz pierwszy wszedłem pod kolumnady Świętego Piotra, a oczy moje błędziły po ogromnym placu; jak z Corso Vittorio Emanuele patrzyłem ponad biało lśniącym Neapolem na rozplywającą się daleko na morzu w błękitnej mgłę wdzięczną sylwetę Capri... W rzeczywistości było to przed sześciu laty, nie więcej.

Ach, żyłem jak najprzezorniej, stosownie do moich warunków: w skromnych prywatnych pokojach, w tanich pensjonatach, jednak przy częstej zmianie miejsca pobytu i ponieważ było mi zrazu trudno wyzbyć się moich wielkomieszczańskich nawyków, nie można było uniknąć i większych wydatków. Na czas tych wędrówek wyznaczyłem sobie piętnaście tysięcy marek mego kapitału; sumę tę oczywiście przekroczyłem.

Zresztą czułem się dobrze wśród ludzi, z którymi się tu i ówdzie zetknąłem w drodze; były to bezinteresowne i bardzo interesujące egzystencje, dla których oczywiście nie byłem, jak dla mego dawnego otoczenia, przedmiotem respektu, lecz ze strony których też nie potrzebowałem się bać zdziwionych spojrzeń i pytań.

Przy moim rodzaju towarzyskich zdolności cieszyłem się niekiedy niekłamaną sympatią ze strony reszty podróżnego grona — przy czym przypomina mi się pewna scena w salonie pensjonatu „Minelli” w Palermo. W kole Francuzów różnego wieku zacząłem przypadkiem, z wielkim nakładem tragicznej mimiki, śpiewnej deklamacji i potocznych harmonij, improwizować na pianinie „dramat muzyczny Ryszarda Wagnera” i właśnie wśród niesłychanych oklasków skończyłem, gdy podszedł do mnie spieszenie stary pan, który nie miał prawie ani jednego włosa na głowie i którego białe, rzadkie bokobrody spadały na jego szarą kurtkę podróżną. Pochwycił obie moje ręce i zawołał ze łzami w oczach:

— Ależ to zdumiewające! To zdumiewające, drogi panie! Przysięgam, że od trzydziestu lat nie ubawiłem się tak świetnie! Pozwoli pan, że podziękuję mu z całego serca, prawda? Ale koniecznie musi pan zostać aktorem albo muzykiem!

To prawda, że w takich okolicznościach czułem jakby genialną swobodę wielkiego malarza, który w gronie przyjaciół pozwolił sobie narysować na stole zarazem śmieszną i dowcipną karykaturę. — Ale po obiedzie wróciłem sam do salonu i spędziłem samotną i smętną godzinę wydobywając z instrumentu poważne akordy, wyrażające, jak mi się zdawało, nastrój, jaki budził we mnie widok Palerma.

Z Sycylii skoczyłem przelotnie do Afryki, potem udałem się do Hiszpanii i tam, w pobliżu Madrytu, na wsi, w zimie, w posepne, deszczowe popołudnie, uczułem po raz pierwszy pragnienie powrotu do Niemiec — i konieczność w dodatku. Gdyż pomijając to, że zacząłem tęsknić do spokojnego, regularnego i osiadłego życia, nietrudno mi było obliczyć, że do przyjazdu do Niemiec przy całym ograniczaniu się wydam dwadzieścia tysięcy marek.

Nie odwlekałem zbyt powolnego odwrotu przez Francję, na który przy dłuższym zatrzymywaniu się w poszczególnych miastach zużyłem niemal pół roku, i pamiętam z smutną wyrazistością letni wieczór, gdy przyjechałem do stolicy środkowych Niemiec, którą upatrzyłem sobie już na początku mej podróży — trochę teraz poduczony, opatrzony kilkoma doświad-

ozeniami i wiadomościami i pełen dziecinnej radości, że tutaj, w beztroskiej niezależności, stosownie do mych skromnych środków ugruntuję sobie niezakłócony, kontemplacyjny żywot.

Miałem wtedy dwadzieścia pięć lat.

Miejscowość nie została źle obrana. Było to okazałe miasto, jeszcze bez hałaśliwego wielkomiejskiego rozgardiaszu i zbyt gorszącego uganiania się za interesami, z kilkoma znacznymi, starymi placami z drugiej strony i ruchem ulicznym, któremu nie zbywa ani na ożywieniu, ani po części na elegancji. Okolica posiada pewne miłe punkty; ale wolałem zawsze ze smakiem urządzoną promenadę, ciągnącą się na Skowroniej Górze, wąskim, podłużnym wzniesieniu, o które opiera się wielka część miasta i z którego roztacza się rozległy widok na domy, kościoły i lekko wijącą się w dal rzekę. W kilku punktach, zwłaszcza gdy w piękne popołudnie letnie koncertuje muzyczna kapela i poruszają się tam i sam ekwipaże i spacerowicze, przypomina się tam Monte Pincio. — Ale przyjdzie mi jeszcze napomknąć o tej promenadzie.

Nikt nie uwierzy, z jaką przyjemnością urządziłem sobie nie szczędząc trudu obszerny pokój, który wraz z przyległą sypialnią wynająłem prawie w środku miasta, w ożywionej okolicy. Meble po rodzicach przeszły wprawdzie po większej części w posiadanie mych sióstr, jednak dostało mi się to, czego potrzebowałem: wspaniałe i porządne rzeczy, które nadeszły

wraz z mymi książkami i oboma portretami przodków; przede wszystkim stary fortepian, który matka przeznaczyła dla mnie.

Istotnie, gdy wszystko było ustawione w porządku, gdy fotografie, które zebrałem w podróżach, zdobiły już wszystkie ściany, ciężkie mahoniowe biurko i brzuchatą komodę i kiedy gotów i bezpieczny usiadłem w fotelu przy oknie, aby na przemian spoglądać na ulicę i na moje nowe mieszkanie, czułem niemałą przyjemność. A jednak — nie zapomniałem nigdy tej chwili — budziło się we mnie obok zadowolenia i zaufania coś innego, jakieś nikłe uczucie lęku i niepokoju, cicha świadomość buntu i oporu z mej strony przeciwko jakiejś zagrażającej mocy; lekko przygnębiająca myśl, że położenie moje, które dotąd było zawsze tylko tymczasowym, teraz uważać trzeba po raz pierwszy jako definitywne i nieodmienne.

Nie przeczę, że takie i podobne wrażenia powtarzały się od czasu do czasu. Ale czy można w ogóle uniknąć pewnych poobiednich godzin, gdy człowiek wpatruje się w rosnący zmierzch i może w powolny deszcz i staje się ofiarą posepnych przywidzeń? W każdym razie było rzeczą pewną, że przyszłość moja jest całkowicie zabezpieczona. Powierzyłem okrągłą sumę osiemdziesięciu tysięcy marek bankowi miejskiemu, procenty wynosiły — mój Boże, czasy są złe! — około sześćset marek kwartalnie, pozwalały mi tedy żyć przyzwoicie, zaopatrywać się w lekturę, uczęszczać od czasu do czasu do teatru — nie wyłączając trochę lżejszych rozrywek.

Dnie moje upływały odtąd rzeczywiście według ideału, który od dawna był moim celem. Wstawałem mniej więcej o dziesiątej, jadłem śniadanie i do obiadu spędzałem czas przy fortepianie i na czytaniu jakiegoś literackiego pisma lub książki. Potem wlokłem się ulicą do małej restauracji, do której regularnie uczęszczałem, jadłem, po czym odbywałem dłuższy spacer po ulicach, przez galerię, po okolicy, na Skowronią Górę. Wracałem do domu i podejmowałem znów zajęcia z przedpołudnia: czytałem, grałem, bawiłem się niekiedy nawet jakimś rodzajem rysunku lub pisałem starannie list. Jeśli po kolacji nie szedłem do teatru lub na koncert, to zachodziłem do kawiarni i czytałem gazety aż do pójścia na spoczynek. Dzień jednak był dobry i piękny, miał uszczęśliwiającą treść, jeśli przy fortepianie udał mi się jakiś motyw, który wydał mi się nowy i piękny, jeśli z lektury jakiejś noweli, z widoku jakiegoś obrazu zachowałem delikatny i trwały nastrój.

Zresztą muszę rzec, że w skłonnościach mych rządziłem się pewną idealnością i że poważnie starałem się o to, aby dniom moim przydać tyle „treści”, ile tylko było możliwe. Jadałem skromnie, nosiłem z reguły tylko jedno ubranie, słowem, ograniczałem przezornie moje cielesne potrzeby, by w zamian móc kupić sobie dobre miejsce w operze lub zapłacić drogo za bilet na koncert, nabyć nowość, zwiedzić tę czy inną wystawę sztuki.

Ale dni mijały, powstawały z nich tygodnie i miesiące — nuda? Przyznaję: nie zawsze jest dobra książka pod ręką,

mogąca zapełnić szereg godzin; zresztą próbujesz bez powodzenia fantazjować na fortepianie, siedzisz przy oknie, palisz papierosy i nieodparcie nachodzi cię odraza do całego świata i samego siebie; opada cię znów niepokój, obmierzły niepokój, zrywasz się i wychodzisz, aby na ulicy z wesołym wzruszeniem ramion szczęśliwca patrzeć na śpieszących do pracy ludzi, którzy duchowo i materialnie nie są uzdolnieni do próżniactwa i przyjemności.

Czyż człowiek dwudziestosiedmioletni może poważnie wierzyć w ostateczną niezmiennność swego położenia, choćby to położenie było nawet najprawdopodobniejsze? Świergot ptaka, mały skrawek błękitu na niebie, niewyraźny sen nocny, wszystko zdolne jest wlać w jego serce nagłe strumienie nieokreślonej nadziei i napełnić je uroczystym oczekiwaniem wielkiego, nieprzewidzianego szczęścia. Wałęsałem się z dnia na dzień, zamyślony, zajęty tą lub ową nikłą nadzieją, choćby chodziło tylko o dzień wyjścia zajmującego czasopisma, z energicznym przeświadczeniem, że jestem szczęśliwy, i chwilami trochę znużony samotnością.

Istotnie, nierzadkie były godziny, kiedy chwycił mnie gniew na brak znajomości i towarzystwa, bo czyż trzeba tłumaczyć ten brak? Brakło mi łączności z dobrym towarzystwem, z najlepszymi i gorszymi kołami miasta; aby

należć do złotej młodzieży, jako fétard², na to dalibóg brakowało mi środków — a z drugiej strony cyganeria? Ależ jestem człowiekiem z wykształceniem, noszę czystą bieliznę i całe ubranie i nie znajduję zgołą przyjemności w prowadzeniu anarchistycznych rozmów z nieokrzesanymi młodzieńcami przy lepkich od absyntu stołach. Słowem: nie było określonego towarzyskiego koła, do którego mógłbym ze zrozumiałych samo przez się powodów należeć, a znajomości, które powstawały same w ten czy inny sposób, były rzadkie, powierzchowne i chłodne — z mej własnej winy, jak przypuszczam, bo i w takich wypadkach trzymałem się w rezerwie, z uczuciem niepewności i z niemiłą świadomością, gdyż nawet jakiemuś zapitemu malarzowi nie mógłbym w krótki, jasny i uznanie budzący sposób powiedzieć, kim i czym właściwie jestem.

Zresztą zerwałem przecież z „społeczeństwem” i wyrzekłem się go, gdy byłem tak śmiały, że nie wysługując mu się w żaden sposób poszedłem własnymi drogami, i gdybym, aby być szczęśliwym, potrzebował „ludzi”, to musiałbym pozwolić sobie na pytanie, czy w tym wypadku nie byłbym do tej chwili zajęty jako kupiec w wielkim stylu bogaceniem się dla ogólnego pożytku i zyskiwaniem sobie powszechnej zawiści i szacunku.

² Fétard (fr.) — hulaka.

Tymczasem — tymczasem! Faktem było, że moje filozoficzne osamotnienie martwiło mnie w zbyt wysokim stopniu i że w końcu nie dało się ono wcale pogodzić z moim pojęciem „szczęścia”, z świadomością, z przekonaniem, że jestem szczęśliwy, którym jednak zachwiać — co nie ulegało wątpliwości — było rzeczą niemożliwą. Nie być szczęśliwym, to być nieszczęśliwym; ale czyż to było w ogóle do pomyślenia? To było nie do pomyślenia i tym rozstrzygnięciem była sprawa załatwiona, aż znów przysły chwile, gdy to osamotnienie, to odosobnienie, to wyłączenie się za nawias nie chciało się wydawać w porządku, zgoła nie w porządku, i czyniło mnie przerażająco ponurym.

„Ponurość” — czyż była to właściwość szczęśliwego? Wspominam me życie w domu, w ograniczonym kole, w którym poruszałem się z zadowoloną świadomością moich genialnych zdolności artystycznych — towarzyski, uprzejmy, z oczyma pełnymi wesołości, drwiny, wyższej życzliwości dla świata, dziwaczny trochę w opinii ludzi, lecz jednak lubiany. Wtedy byłem szczęśliwy, choć musiałem pracować w handlu drzewem pana Schlievogta; a teraz? A teraz?

Ale ukazała się niezmiernie ciekawa książka, nowa powieść francuska, którą pozwoliłem sobie kupić i którą będę sobie spokojnie czytał w wygodnym fotelu. Trzysta stronic, znów pełnych smaku, swady i wybornej sztuki! Ach, urządziłem sobie życie wedle swego upodobania! Może nie jestem szczęśliwy? Śmieszne pytanie i nic więcej.

Znów minął dzień, dzień, którego nie można, dzięki Bogu, pomówić o brak treści; jest wieczór, firanki w oknach spuszczone, na biurku pali się lampa, jest prawie północ. Mógłbym się położyć, ale czekam na pół leżąc w fotelu, z rękami splecionymi na kolanach, spoglądam w sufit, aby uważnie śledzić cicho jakiś nurtujący i trawiący, na pół nieokreślony ból, który nie da się spłoszyć.

Jeszcze przed kilku godzinami poddawałem się działaniu wielkiego dzieła sztuki, jednego z tych potwornych i okrutnych utworów, które ze skorumpowanym przepychem bezecnie genialnego dyletantyzmu wstrząsają, ogłuszają, dręczą, uszczęśliwiają, miazdzą. — Nerwy moje drżą jeszcze, wyobraźnia jest wzburzona, rzadkie nastroje wznoszą się we mnie i opadają falami, nastroje tęsknoty, religijnej żarliwości, tryumfu, mistycznego spokoju — i towarzyszy temu potrzeba, która je wciąż na nowo podnosi, która by je chciała wyrzucić; potrzeba ich uzewnętrznienia, ich udzielenia, ich pokazania, „zrobienia z nich czegoś”.

A gdybym tak naprawdę był artystą, zdolnym wypowiedzieć się dźwiękiem, słowem lub obrazem — najchętniej, mówiąc szczerze, tym wszystkim jednocześnie? — Ależ to prawda, że umiem różne rzeczy! Mogę na przykład sięść do fortepianu i w cichej izdebce dać wyraz moim pięknym uczuciom i to powinno by mi całkowicie wystarczyć; bo

gdybym, by być szczęśliwy, potrzebował „ludzi” — zgoda na to wszystko!” Ale przyjąwszy, że przywiązałbym trochę wagi do powodzenia, sławy, uznania, pochwały, miłości? — Na Boga! Już kiedy przypomnę sobie scenę w salonie w Palermo, to muszę się zgodzić, że podobne zdarzenie w tej chwili byłoby dla mnie niesłychanie dobroczynną zachętą.

Zważywszy rzecz, muszę się przyznać do tego sofistycznego i śmiesznego rozróżniania pojęcia: rozróżniania wewnętrznego i zewnętrznego szczęścia! — „Zewnętrzne szczęście”, co to jest właściwie? — Istnieje rodzaj ludzi, umiłowanych Boga, jak się zdaje, których szczęściem jest geniusz, a geniuszem szczęście, ludzi świetlanych, którzy z odbiciem i odblaskiem słońca w oczach, w sposób lekki, wdzięczny i miły, przechodzą tanecznie przez życie, a cały świat ich otacza, cały świat ich podziwia, sławi, darzy zazdrością i kocha, bo nawet zawiść niezdolna jest ich nienawidzić.

Ale oni patrzą na to jak dzieci, drwiąco, grymaśnie, kapryśnie, swawolnie, ze słoneczną uprzejmością, pewni swego szczęścia i geniuszu, jak gdyby wszystko to nie mogło być zgoła inaczej.

Co do mnie, nie zapieram się słabości, że chciałbym należeć do tych ludzi, i zdaje mi się ciągle, mniejsza, słusznie czy niesłusznie, jakobym niegdyś do nich należał: „mniejsza”, bo, bądźmy szczerzy: chodzi o to, za co się uważamy, za co z całą pewnością się podajemy!

Może w rzeczywistości sprawa ma się tak, że zrzekłem się tego „zewnątrznego szczęścia”, uchylając się od służenia „społeczeństwu” i urządzając sobie życie bez „ludzi”. O moim zadowoleniu jednak nie można przeto, ma się rozumieć, wątpić ani chwili, nie wolno wątpić; bo powtarzam, i to powtarzam z rozpaczliwym naciskiem: chcę i muszę być szczęśliwy! Pojęcie „szczęścia” jako rodzaju zasługi, geniuszu, wytworności, wziętości, pojęcie „nieszczęścia” jako czegoś brzydkiego, bojącego się światła, pogardy godnego, jest ze mną zbyt głęboko zrośnięte, abym mógł jeszcze szanować samego siebie, gdybym był nieszczęśliwy.

Jakżebyem mógł sobie na to pozwolić, aby być nieszczęśliwym? Jakaż rolę musiałbym grać wobec siebie? Czy nie musiałbym jako coś w rodzaju nietoperza lub sowy siedzieć w ciemności i patrzeć z zazdrością na „ludzi świetlanych”, przemiłych szczęśliwców? Musiałbym ich nienawidzić tą nienawiścią, która nie jest niczym innym jak zatrutą miłością, i — gardzić sobą.

„Siedzieć w ciemności”! I przypomina mi się, co od miesięcy czułem i myślałem kiedy niekiedy o moim „miejscu poza nawiasem” i „filozoficznym osamotnieniu”. I znów zjawia się niepokój, obmierzły niepokój! I świadomość jakiegoś buntu przeciw zagrażającej potędze.

Niewątpliwie znalazła się pociecha, odwrócenie uwagi, ogłuszenie na ten raz i na dalszy, i znów na następny. Ale

wszystko to wracało znowu, wracało tysiąc razy w ciągu miesięcy i lat. Są dni jesienne, istne cuda. Lato minęło, na dworze liście dawno zaczęły żółknąć, a w mieście wiatr całymi dniami już gwizdał na rogach ulic, podczas gdy w rynsztokach płynęły strumienie brudnej wody. Zrezygnowany, usiadłeś, żeby tak rzec, przy piecu, by znieść cierpliwie zimę, ale pewnego dnia budząc się spostrzegasz niedowierzającymi oczami, że wąska smuga jasnego błękitu zagląda między firankami do pokoju. Zdumiony, wyskakujesz z łóżka, otwierasz okno, fala drżącego światła słonecznego oblewa cię i jednocześnie słyszysz poprzez gwar uliczny gadatliwe, wesołe ćwierkanie ptaków i zdaje ci się, jakbyś wdychał z czystym, lekkim powietrzem pierwszego październikowego dnia niezrównaną i pełną obietnic korzenną woń, właściwą tylko wiatrom majowym. Jest wiosna, najwyraźniejsza wiosna wbrew kalendarzowi, i ubierasz się czym prędzej, by pod jasnym niebem ulic pośpieszyć za miasto.

Taki niespodziany i przedziwny dzień zjawił się przed mniej więcej czterema miesiącami — mamy w tej chwili początek lutego — i dnia tego ujrzałem coś wyjątkowo ładnego. Przed dziewiątą rano wyszedłem i pełen jakiegoś lekkiego, radosnego nastroju, jakiejś nieokreślonej nadziei zmian, niespodzianek i szczęścia ruszyłem ku Skowroniej Górze. Wszedłem z prawego końca na wzgórze i przemierzyłem wzdłuż cały jego grzbiet, trzymając się ciągle u brzegu głównej promenady niskiej rampy kamiennej, aby podczas całej drogi, która trwa z pół godziny, mieć wolny widok na miasto, lekkimi

tarasami opadające, i na rzekę, której zakręty lśnią w słońcu i za którą krajobraz ze wzgórzami i zielenią rozplywa się w mgłę słonecznej.

Było tu w górze jeszcze prawie bezludnie. Ławki po drugiej stronie były puste i tu i ówdzie spośród drzew wyglądał bielejący w słońcu posąg; a od czasu do czasu opadał nań powoli zwiędły liść. Cisza, której nasłuchiwałem mając podczas wędrówki wzrok skierowany w bok na jasną panoramę, trwała niezmacona, aż doszedłem do końca wzgórza, gdzie wśród starych kasztanów droga zaczynała się zniżać. Tu rozległ się za mną kłus konia i odgłos toczącego się pojazdu, który zbliżał się szybko i któremu musiałem ustąpić w środku pochyłości. Przeszedłem na brzeg i stanąłem.

Był to bardzo lekki, dwukolny wózek myśliwski, zaprzężony w dwa duże, lśniące, żywo parskające kasztanki. Lejce trzymała młoda, może dziewiętnasto- lub dwudziestoletnia dama, przy której siedział starszy pan o poważnym, wytwornym wyglądzie, z białym wąsem podczesanym *a la russe*³ i z gęstymi, białymi brwiami. Służący w prostej, czarno-srebrnej liberii dekorował tylne siedzenie.

Kłus koni zwolniono, sprowadzono do stępa, gdyż jeden z nich zdawał się denerwować i niepokoić. Oddalił się sporo w bok od dyszla, przycisnął głowę do piersi i stawiał smukłe nogi z tak drżącym oporem, że stary pan, nieco zaniepokojony, pochylił

³ *A la russe* (fr.) — na sposób rosyjski.

się naprzód, by tkwiącą w eleganckiej rękawiczce lewą ręką pomóc młodej damie w ściągnięciu cugli. Kierowanie powierzono jej, zda się, tylko na chwilę i półzartem, przynajmniej tak wyglądało, jakby traktowała powożenie z pewnego rodzaju dziecinną powagą i jednocześnie z brakiem doświadczenia. Uczyniła mały, poważny i gniewny ruch głową, starając się uspokoić płoszące się i potykające zwierzę.

Była smukłą brunetką. Na włosach, które ujęte były na karku w mocny węzeł i otaczały lekko i luźnie czoło i skronie, tak że można było rozróżnić kilka jasnobrunatnych pasem, miała okrągły, ciemny kapelusz słomkowy, ozdobiony jedynie małym przybraniem ze wstążek. Poza tym miała na sobie krótki, ciemnoniebieski żakiet i prostą spódnicę z jasnoszarego sukna.

W owalnej, kształtnej twarzy, której smagłą cerę ranne powietrze okryło świeżym rumieńcem, najbardziej pociągały oczy, dwoje wąskich, podłużnych oczu, których ledwo do połowy widoczne tęczęwki połyskiwały czarno, nad nimi zaś sklepiły się niezwykle równe, jakby piórem zarysowane brwi. Nos był może nieco za długi, a usta, których wargi zaznaczone były wyraźnie i delikatnie, mogły być węższe. Ale w tej chwili dodawały ustom uroku lśniąco-białe i nieco rozstawione zęby, którymi młoda dziewczyna przy hamowaniu konia przyciskała energicznie dolną wargę, podciągając nieco prawie dziecinną, okrągłą brodę.

Byłoby fałszem twierdzić, że była to twarz uderzającej, podziwu godnej piękności. Posiadała urok młodości i radosną świeżość i urok ten był niejako wygładzony, złagodzony i uszlachetniony zamożną starannością, wytwornym wychowaniem i zbytkowną troskliwością; było rzeczą pewną, że te wąskie, połyskujące oczy, które teraz z kapryśną złością spoglądały na krnąbrnego konia, w najbliższej chwili odzyskają wyraz pewnego, rozumiejącego się samo przez się szczęścia. Rękawy zakietu, które były u barków szerokie i bufiaste, opinały ściśle smukłe przeguby rąk i nigdy nie doznałem tak pełnego zachwyty wrazenia wytwornej elegancji, jak widząc, w jaki sposób te wąskie, nagie matowobiałe ręce trzymają cugle.

Stałem na drodze, nie zauważony przez nikogo, gdy powóz przejeżdżał mimo, i poszedłem powoli dalej, gdy ruszył znów kłusem i szybko znikł. Czułem radość i podziw; lecz jednocześnie odezwał się jakiś dziwny kłujący ból, cierpkie i tłoczące wrażenie — zawiści? miłości? — nie ważyłem się pomyśleć do końca — samopogardy?

Kiedy to piszę, staje przede mną obraz nędznego żebraka, który przed wystawą jubilera gapi się na drogocenny, lśniący szlachetnym kamieniem klejnot. Człowiek ten nie zdobędzie się w sobie na wyraźne życzenie posiadania tego klejnotu, bo sama myśl o tym życzeniu byłaby śmieszną niemożliwością, która wystawiłaby go przed samym sobą na szyderstwo.

Powiem, że dzięki przypadkowi ujrzałem tę młodą damę po upływie tygodnia po raz drugi, i to w operze. Dawano Gounoda „Małgorzatę” i ledwo znalazłem się w jasno oświetlonej sali, by udać się na moje parterowe miejsce, gdy ujrzałem ją u boku starszego pana w prosceniowej łoży z przeciwnej strony. Stwierdziłem przy tym, że obleciały mnie w sposób śmieszny lekki lęk i coś jakby zmieszanie i że z jakiegoś powodu odwróciłem natychmiast oczy na inne rzędy i łoże. Dopiero z rozpoczęciem uwertury zdecydowałem się przyjrzeć tym państwu nieco dokładniej.

Stary pan, w ściśle zapiętym surducie z czarnym krawatem, siedział z pełną spokojną godnością rozparty w fotelu, z jedną ręką w brązowej rękawiczce złożoną na aksamicie balustrady, gdy drugą gładzi! od czasu do czasu brodę lub krótko ostrzyżoną, siwą głowę. Młoda dziewczyna natomiast — córka niewątpliwie — siedziała schylona z żywym zaciekawieniem, z obiema rękami, w których trzymała wachlarz, na aksamitnej poduszce. Od czasu do czasu czyniła krótki ruch głową, by odrzucić jasnobrunatne włosy z czoła i skroni.

Miała na sobie lekką bluzkę z jasnego jedwabiu i bukietik fiołków za paskiem i wąskie jej oczy lśniły w ostrym świetle jeszcze głębszą czernią niż przed tygodniem. Poza tym zauważyłem, że układ ust, który wtedy u niej spostrzegłem, był w ogóle jej właściwością; w każdej chwili dotykała swymi białymi, drobnymi, w regularnych odstępach lśniącymi zębami wargi dolnej, podciągając nieco brodę. Ta niewinna mina,

świadcząca o zupełnym braku kokieterii, spokojnie, wesoło wędrujące dokoła spojrzenie oczu, jej delikatna, biała, dekoltowana szyja, którą otaczała wąska jedwabna wstążka tego samego koloru co pasek, ruch, z jakim chwilami zwracała się do starego pana, by skierować jego uwagę na coś w orkiestrze, na kurtynie, w jakiejś loży, wszystko to sprawiało' wrażenie niewymownie delikatnej i miłej dziecinności, która jednak nie miała w sobie nic a nic wzruszającego i budzącego „współczucie”. Była to wytworna, pełna umiaru i przez elegancki dobrobyt pewnością siebie i wyższością przejęta dziecinność, ujawniająca szczęście, które nie miało w sobie nic swawolnego, raczej coś cichego, gdyż było zrozumiałe samo przez się.

Pomysłowa i delikatna muzyka Gounoda była, zdawało mi się, niezłym akompaniamentem do tej chwili i słuchałem jej nie zwracając uwagi na scenę, całkowicie oddany łagodnemu i pełnemu zadumy nastrojowi, którego melancholia bez tej muzyki byłaby może bolesna. Ale już podczas przerwy, która nastąpiła po pierwszym akcie, powstał ze swego parterowego miejsca pan, powiedzmy dwudziestosiedmio- czy trzydziestoletni, który znikł i niebawem zjawił się z pięknym ukłonem w loży, na którą zwracałem uwagę. Stary pan wyciągnął doń zaraz rękę i również młoda dama z uprzejmym skinieniem głowy podała mu swoją, którą z szacunkiem podniósł do ust, po czym zmuszono go do zajęcia miejsca.

Chętnie przyznam, że pan ten miał gors koszuli najwspanialszy, jaki widziałem w swym życiu. Gors ten był

zupełnie odkryty, gdyż kamizelką był tylko wąski, czarny pas, a frak, zapięty dopiero pod żołądkiem na jeden guzik, był od ramion wycięty w niezwykle szerokie łuki. Gors zaś, który przy wysokim i ostro załamany stojącym kołnierzu kończył się czarnym krawatem i na którym w równych odstępach widniały dwie duże, kwadratowe i również czarne spinki, był olśniewającej białości i przedziwnie nakrochmalony, nie tracąc przez to giętkości, gdyż w okolicy żołądka tworzył lekkie zagłębienie, by wznieść się potem łagodnie lśniącem garbem.

Rozumie się, że koszula ta pochłaniała większą część uwagi; głowa zaś, która była zupełnie okrągła i której czaszka obciągnięta była kocem krótko strzyżonych, jasnopłowych włosów, ozdobiona by ta pozbawionymi oprawy i tasiemki binoklami oraz niezbyt dużymi, jasnymi i lekko podkreconymi wąsami, a na jednym z policzków mnóstwem szram pojedynkowych, ciągnących się aż do skroni. Zresztą pan ten był zbudowany bez zarzutu i poruszał się sprawnie.

W ciągu wieczora — gdyż pozostał w łoży — zauważyłem u niego dwie postawy, które zdawały się być mu szczególnie właściwe. Mianowicie, gdy towarzyska rozmowa ustawała, wtedy z nogą założoną na nogę, z lornetką na kolanach, siedział wygodnie rozparty, pochylał głowę i wysuwał mocno całe usta, by oddać się obserwacji obu końców wąsów, jakby zahipnotyzowany nimi, i milcząc odwracał powoli głowę z jednej strony w drugą. Natomiast zajęty rozmową z młodą damą, zmieniał z szacunku pozycję nóg, lecz przechylał się jeszcze bardziej w tył,

przy czym chwycił obiema rękami swoje krzesło, podnosił głowę możliwie najwyżej i bardzo szeroko otwartymi ustami, w uprzejmy i aż do pewnego stopnia pełen wyższości sposób, uśmiechał się z góry do swej młodej sąsiadki. Pana tego przepelniać musiało cudownie szczęśliwe samopoczucie.

Mówiąc serio, umiem cenić podobne rzeczy. Po żadnym z jego ruchów, choćby nonszalancja jego była nie wiedzieć jak ryzykowna, nie następowało przykre zakłopotanie; posiadał pewność siebie. Było rzeczą jasną: nie odznaczając się niczym, zrobił poprawną karierę i osiągnie w niej wyraźne i pożyteczne cele, żył w cieniu porozumienia z całym światem i w słońcu powszechnego szacunku. Na razie siedział w tej łoży i gawędził z młodą dziewczyną, dla której czystego i urzekającego uroku nie był może nieprzystępny i o której rękę mógł śmiało poprosić. Naprawdę, nie mam ochoty powiedzieć o tym człowieku żadnego pogardliwego słowa.

A cóż ja? Siedziałem tu na dole i mogłem z ciemności i z daleka obserwować zgryźliwie, jak owo rozkoszne i nieosiągalne stworzenie gawędziło i śmiało się z tym niegodziwcem! Wyłączony, niezauważony, nieuprawniony, obcy, hors ligne⁴, zdeklasowany, parias, politowania godny we własnych oczach!

Zostałem aż do końca i spotkałem tych troje znów w garderobie, gdzie zatrzymali się chwilę wkładając futra i zamieniali z tym i owym kilka słów, tu z jakąś damą, tam z

⁴ Hors ligne (fr.) — inny.

oficerem. — Młody pan towarzyszył ojcu i córce, gdy opuszczali teatr, a ja szedłem za nimi w niewielkiej odległości przez westybul.

Nie było deszczu, kilka gwiazd świeciło na niebie i nie wzięli powozu. Rozmawiając szli powoli we trójkę przede mną, a ja kroczyłem za nimi w nieśmiałym oddaleniu, zgnębiony, dręczony przenikliwie bolesnym, szyderczym, nędznym uczuciem. — Droga nie była daleka; minąwszy ledwo jedną ulicę, zatrzymali się przed wspaniałym domem o pełnej prostoty fasadzie i wnet potem ojciec i córka znikli po serdecznym pożegnaniu się z towarzyszem, który przyspieszonym krokiem odszedł.

Na ciężkiej rzeźbionej bramie domu widniało nazwisko: „Radca sprawiedliwości Rainer”.

Jestem zdecydowany doprowadzić zapiskę tę do końca, choć z wewnętrznego wstrętu chciałbym każdej chwili zerwać się i uciec. W sprawie tej grzebałem się i gmerałem aż do mdłości. Mam tego dość aż do znudzenia.

Przed niespełna trzema miesiącami dowiedziałem się z pism o „wencie” urządzonej dla celów dobroczynnych w ratuszu miejskim, i to z udziałem wyższych sfer. Czytałem anons uważnie i natychmiast zdecydowałem się pójść na tę wentę. Ona tam będzie, pomyślałem, może jako sprzedawczyni i w tym wypadku nic mi nie przeszkodzi zbliżyć się do niej. Zważywszy spokojnie, jestem człowiekiem z wykształceniem i z dobrej

rodziny i jeśli mi się ta panna Rainer spodoba, to wolno mi w takich warunkach, tak samo jak temu panu ze zdumiewającym gorsem koszuli, przemówić do niej i zamienić z nią kilka żartobliwych słów.

Było wietrzne, deszczowe popołudnie, gdy udałem się do ratusza, przed którego portalem panował tłok ludzi i powozów. Utorowałem sobie drogę do gmachu, zapłaciłem za wstęp, oddałem zarzutkę i kapelusz do szatni i z pewnym wysiłkiem dostałem się szerokimi, pełnymi ludzi schodami na pierwsze piętro do świątecznie przystrojonej sali, z której dochodził mnie duszny wyziew wina, potraw, perfum i jedliny, zmieszana wrzawa śmiechów, rozmów i muzyki, okrzyków i uderzeń gongu.

Niezmiernie wysoka i szeroka sala przystrojona była pstrymi chorągwiami i girlandami, a pod ścianami jak i pośrodku ciągnęły się budy, otwarte miejsca sprzedaży, jak i zamknięte przegrody, do których zwiedzenia zapraszali na całe gardło fantastycznie zamaskowani panowie. Damy, które sprzedawały dokoła kwiaty, roboty ręczne, tytoń i chłodzące napoje różnego rodzaju, były również w rozmaitych kostiumach. W górnym końcu sali, na ubranej kwiatami estradzie, rzępoliła muzyka, podczas gdy w szerokim przejściu, którego nie zajmowały budy, posuwał się z wolna naprzód zbity tłum ludzi.

Nieco oszołomiony hałasem muzyki, koszów szczęścia, wesołej reklamy, przyłączyłem się do pochodu i nie minęła

minuta, jak cztery kroki na lewo od wejścia ujrzałem młodą damę, której tak szukałem. Sprzedawała w uwieńczonej jedliną budce wina i limoniady, przebrana za Włoszkę; w pstrej spódnicy, białym prostokątnym nakryciu głowy i krótkim gorsecie Albanek, z rękawami koszuli obnażającymi aż do łokci jej delikatne ramiona. Trochę zgrzana, oparta z boku o ladę, bawiła się pstrym wachlarzem i rozmawiała z kilkoma panami, którzy paląc stali dokoła budki i wśród których, na pierwszy rzut oka, spostrzegłem dobrze znajomego; stał tuż przy niej koło stołu, z czterema palcami każdej ręki w bocznych kieszeniach surduta.

Przecisnąłem się z wolna naprzód, zdecydowany przystąpić do niej, skoro tylko nadarzy się sposobność i gdy mniej będzie zajęta. — Ach, teraz okaże się, czy rozporządzam jeszcze resztką wesołej pewności siebie i wprawnego dowcipu, czy też posepność i rozpacz moich ostatnich tygodni była usprawiedliwiona! Co mnie właściwie napadło? Skąd wobec tej dziewczyny to męczące i nędzne uczucie złożone z zawiści, miłości, wstydu i podrażnionej goryczy, które w tej chwili znowu, przyznaję, paliło mi twarz? Szczerość! Uprzejmość! Wesołe, miłe zadowolenie z siebie, do diabła, jak przystoi utalentowanemu i szczęśliwemu człowiekowi! I z nerwowym zapałem szukałem żartobliwego zwrotu, dobrego słowa, włoskiej przemowy, z jaką zamierzałem zbliżyć się do niej.

Minęła dobra chwila, zanim w ciężko posuwającym się tłumie odbyłem drogę dokoła sali — i rzeczywiście: gdy znowu

znalazłem się przy budce z winem, półkole panów zniknęło i tylko dobrze znajomy opierał się o ladę, rozmawiając z największym ożywieniem z młodą sprzedawczynią. Ano cóż, musiałem sobie pozwolić na przerwanie tej rozmowy. — Krótkim zwrotem opuściłem pochód i stanąłem przy stole.

Co się stało? Ach, nic. Prawie nic. Konwersacja urwała się, dobrze znajomy odstąpił na krok, ujawszy wszystkimi pięcioma palcami swoje pozbawione oprawy i tasiemki binokle i poprzez te palce przyglądał mi się, a młoda dama zmierzyła mnie od stóp do głów spokojnym, badawczym spojrzeniem — moje ubranie i buty. Ubranie to nie było zgoła nowe, a buty ochlapane były błotem ulicznym; wiedziałem o tym. Poza tym byłem zgrzany i włosy moje znajdowały się prawdopodobnie w wielkim nieładzie. Nie byłem chłodny ani swobodny, ani na wysokości chwili. Opadło mnie poczucie, że ja, obcy, nieuprawniony, nieprzynależny, przeszkadzam tu i ośmieszam się. Niepewność, bezradność, nienawiść i poczucie marności zmały mi wzrok i, krótko mówiąc, wykonałem swoje dzielne zamiary, gdy ze ściągniętymi brwiami, zachrypłym głosem rzekłem krótko, niemal grubiańskimi słowy:

— Proszę o kieliszek wina.

Rzecz zgoła obojętna, czy się myliłem spostrzegając jakoby, że młoda dziewczyna zwróciła ku swemu przyjacielowi szybkie szydercze spojrzenie. Milcząc, jak ja i on, podała mi wino, a ja nie podnosząc oczu, czerwony i wzburzony

wściekłością i bólem, nieszczęśliwa i śmieszna figura, stałem między obojgiem, wypłem kilka łyków, położyłem pieniądze na stół, skłoniłem się zmieszany, opuściłem salę i wypadłem na dwór.

Od tej chwili jestem skończony i bardzo mało dodaje do sprawy to, że w kilka dni później przeczytałem w gazetach ogłoszenie:

Mam zaszczyt zawiadomić uprzejmie o zaręczynach córki mej, Anny, z panem asesorem doktorem Alfredem Witznagel. Radca sprawiedliwości Rainer.

Z tą chwilą skończyłem się. Ostatnia resztką mego poczucia szczęścia i zadowolenia z siebie padła zaszczuta na śmierć, nie mogę już, tak, jestem nieszczęśliwy, wyznaję i widzę w sobie żalną i śmieszoną figurę! — Ale nie wytrzymam tego! Ginę! Zastrzelę się dziś lub jutro!

Moim pierwszym pragnieniem, moim pierwszym instynktownym odruchem było zrobić z tej sprawy coś beletrystycznego i me nędzne samopoczucie przetłumaczyć na „nieszczęśliwą miłość”, głupstwo, ma się rozumieć. Nie ginie się od żadnej nieszczęśliwej miłości. Nieszczęśliwa miłość jest niezłą postawą. W nieszczęśliwej miłości podobamy się sobie. Ale ja ginę dlatego, że całe moje upodobanie w sobie tak beznadziejnie wzięło w łeb.

Czyż kochałem, jeśli już wreszcie pozwalałam sobie na to pytanie, czyż kochałem właściwie tę dziewczynę? — Może... ale jak i dlaczego? Czyż miłość ta nie była wytworem mojej od dawna podrażnionej i chorej próżności, która na widok tego nieosiągalnego klejnotu wzburzyła się boleśnie i wydała uczucia zazdrości, nienawiści i samopogardy, dla których potem miłość była tylko pozorem, wyjściem i ratunkiem?

Tak, wszystko to próżność! I czyż ojciec nie nazwał mnie już kiedyś pajacem?

Ach, nie byłem uprawniony, ja najmniej, siadać na uboczu i ignorować społeczeństwo, ja, który jestem zbyt próżny, by znosić jego pogardę i brak uszanowania, który nie mogę obejść się bez niego i jego uznania. — A jeśli nie chodzi o uprawnienie? Tylko o niezbędną? A moje niepotrzebne pajacostwo nie uchodziłoby za żadną pozycję socjalną? Otóż właśnie z powodu tego pajacostwa muszę w każdym razie zginąć.

Obojętność, wiem o tym, byłaby pewnego rodzaju szczęściem. Ale nie jestem w stanie być względem siebie obojętnym, nie jestem w stanie patrzeć na siebie innymi oczami, jak oczami „ludzi”, i ginę z powodu nieczystego sumienia — pełen niewinności. — Czyżby nieczyste sumienie nie miało być nigdy niczym innym jak jątrzącą się próżnością?

Jest tylko jedno nieszczęście: stracić upodobanie do samego siebie. Nie podobać się już sobie — to nieszczęście — ach, i czułem to zawsze bardzo wyraźnie! Wszystko poza tym jest grą i

wzbogaceniem życia, w każdym innym cierpieniu można tak nadzwyczajnie być zadowolonym z siebie, tak świetnie wyglądać. Dopiero niezgoda z sobą, nieczyste sumienie w cierpieniu, walki próżności czynią cię żalonym i wstrętnym widowiskiem.

Pewien stary znajomy ukazał się na horyzoncie, pan nazwiskiem Schilling, z którym niegdyś w wielkim handlu drzewem pana Schlievogta służyłem wspólnie społeczeństwu. Zawadził w interesach o miasto i przyszedł mnie odwiedzić — „sceptyczne indywiduum” z rękami w kieszeniach spodni, z pince-nez w czarnej oprawie i z realistycznie cierpliwym wzruszaniem ramion. Zjawił się wieczorem i rzekł: - Zostaję tu kilka dni. — Poszliśmy do winiarni.

Odnosił się do mnie, jakbym był jeszcze tym zadowolonym z siebie szczęśliwcem, jakim mnie znał, i przekonany, że wyraża tylko mój własny wesoły sąd, rzekł:

— Dalibóg, urządziłeś sobie wygodnie życie, mój chłopcze! Niezależny, co? Wolny! Właściwie masz słuszość, do diabła. Raz tylko się żyje, co? Cóż kogo w gruncie rzeczy obchodzi reszta? Tyś jest z nas dwóch mądrzejszy, muszę przyznać. Zresztą byłeś zawsze geniuszem. — I jak niegdyś wyrażał mi chętnie uznanie i świadczył grzeczności, nie przeczuwając, że z swojej strony bałem się, czy się podobam.

Z rozpaczliwym wysiłkiem starałem się zachować miejsce, które w jego oczach zajmowałem, wydawać się jak przedtem na

wyżynie, wydawać się szczęśliwym i z siebie zadowolonym — na próżno! Brak mi było kośćca, odwagi, kontenansu, występowałem wobec niego z niewyraźnym zakłopotaniem, z pokorną niepewnością — a on zorientował się w tym niewiarygodnie szybko! Było rzeczą przerażającą widzieć, jak on, który był całkowicie gotów uznać mnie za najszcześniejszego i wyższego człowieka, zaczął mnie przezierać, przyglądać mi się ze zdumieniem, stawać się oziębłym, wyższym, niecierpliwym i niechętnym, by okazywać mi w końcu każdą miną pogardę. Wstał pierwszy i nazajutrz kilkoma słowami od ręki zawiadomił mnie, że jednak zmuszony był odjechać.

Istotnie, cały świat jest zbyt wyłącznie zajęty sobą, aby można mieć poważne zdanie o kimś innym, z leniwą gotowością akceptuje się ten stopień szacunku, jaki bez wahania okazujesz sobie. Bądź, czym chcesz, żyj, jak chcesz, ale okazuj dufną zuchwałość bez nieczystego sumienia, a nikt nie będzie moralnie śmiał gardzić tobą. Spróbuj z drugiej strony stracić zgodę z sobą, zadowolenie z siebie, pokaż, że sobą gardzisz, a na oślep przyznają ci słusność. — Co do mnie, jestem zgubiony.

Przestaję pisać, odrzucam pióro — pełen wstrętu, pełen wstrętu! — Skończyć, ale czy to właśnie nie byłoby za bohaterskie dla „pajaca”? Lękam się, że się okaże, iż będę dalej żyć, dalej jeść, spać i trochę czymś się zajmować i powoli tępo przyzwyczaję się być „nieszczęśliwą i sceniczną” figurą.

Mój Boże, któż by pomyślał, że tak wielką klęską i nieszczęściem jest urodzić się „pajacem”.

TONIO KRÖGER

(1903)

Zimowe słońce przeświecało skąpo mlecznomatowym blaskiem spoza warstwie chmur nad ciasnym miastem. Mokro i wietrzno było w wąskich ulicach i padał chwilami jak gdyby miękki grad, ni to lód, ni śnieg.

W szkole ukończono naukę. Na brukowany dziedziniec i poza kratę furty wypłynęły gromadki wyzwolonych i rozchodziły się, śpiesząc na prawo i lewo. Starsi uczniowie przyciskali z godnością paczki książek wysoko pod lewą pachą, wiosłując prawym ramieniem pod wiatr w stronę obiadu; młodszy ludek puszczał się wesoło kłusem, tak że roztapiany śnieg bryzgał na boki, a w torbach z psiej skóry stukały przybory do pisania. Lecz tu i ówdzie wszyscy ze skromną miną zrywali czapki z głowy przed wotanowym kapeluszem i jowiszową brodą nauczyciela...

— Jesteś wreszcie, Janku? — spytał Tonio Kröger, który długo już czekał na gościńcu; z uśmiechem podszedł do

przyjaciela, który wyszedł z furty rozmawiając z kolegami i zamierzał pójść z nimi dalej.

— Jak to? — spytał i spojrzał na Tonia. — Ach, prawda! Więc przejdźmy się jeszcze trochę.

Tonio zamilkł i oczy mu posmutniały. Czyżby Janek zapomniał — przyszło mu znowu na myśl — że mieli razem przejść się trochę w południe? A on cały czas cieszył się tym projektem!

— Do widzenia, chłopcy! — rzekł Janek do kolegów. — Przejdę się jeszcze z Krögerem. — I obaj zwrócili się na lewo, gdy tamci powlekli się na prawo.

Janek i Tonio mieli czas przechadzać się po szkole, gdyż obaj pochodzili z domów, w których obiad bywał dopiero o czwartej. Ojcowie ich byli zamożnymi kupcami, piastowali publiczne urzędy i mieli wpływy w mieście. Hansenowie byli już od kilku pokoleń właścicielami składów drzewa nad rzeką, gdzie potężne tartaki z sykiem i zgrzytem piłowały drzewo. Tonio zaś był synem konsula Krögera, którego wory ze zbożem, opatrzone szerokim czarnym znakiem firmy, widziało się co dzień przewożone przez ulice; a wielki, stary dom jego przodków był najwspanialszym budynkiem w całym mieście... Toteż obaj przyjaciele musieli ciągle zdejmować czapki, gwoli licznych znajomych, a nawet niektórzy ludzie kłaniali się pierwsi smykom czternastoletnim.

Obaj mieli tornistry na plecach i byli dobrze i ciepło ubrani; Janek miał na sobie krótką kurtkę marynarską z szerokim niebieskim kołnierzem układającym się na ramionach i plecach, Tonio zaś szary płaszcz z paskiem. Janek nosił duńską czapkę marynarską z krótkimi wstążkami, spod której wystawał czub jasnych włosów. Był niezwykle ładny i dobrze zbudowany, barczysty a wąski w biodrach, stalowobłękitne oczy jego patrzyły bystro i otwarcie. Natomiast pod okrągłą futrzaną czapką Tonia, z twarzy smagłej, o ostrych, wybitnie południowych rysach, wyglądały marzycielsko i niemal lęklonie ciemne, delikatnie ocienione oczy o przyciężkich powiekach... Usta i podbródek zarysowane były niezmiernie miękko. Kroczył niedbale i nierówno, gdy smukłe nogi Hansena w czarnych pończochach stapały elastycznie i rytmicznie.

Tonio milczał. Czuł ból. Zmarszczywszy skośne nieco brwi i stuliwszy wargi do gwizdania, patrzył w dal z głową na bok przechyloną. Była to właściwa mu postawa i mina.

Nagle Janek wziął go pod ramię i spojrzał nań z boku, gdyż wiedział bardzo dobrze, o co mu chodzi. A chociaż Tonio milczał w dalszym ciągu, jednakowoż udobruchał się.

— Nie zapomniałem właściwie, Tonio — rzekł Janek wpatrując się w chodnik — tylko zdawało mi się, że nic z tego dzisiaj nie będzie, gdyż jest mokro i wietrzno. Ale nic mi to nie szkodzi i cieszę się, że mimo to czekałeś na mnie. Myślałem już, żeś poszedł do domu, i byłem zły...

Przy tych słowach wszystko w Toniu zaczęło tańczyć i śpiewać.

— Więc pójdziemy przez wały! — rzekł wzruszonym głosem. — Przez Mühlenwall i Holstenwall, i w ten sposób odprowadzę cię do domu, Janku... Nie bój się, to nic, że będę musiał sam wracać do domu; następnym razem ty mnie odprowadzisz.

W gruncie rzeczy Tonio nie bardzo wierzył słowom Janka i czuł dobrze, że tamten nie przykładął w połowie tyle wagi do tej wspólnej przechadzki co on. Wszelako widział, że Janek żałuje swego zapomnienia i stara się go przejednać; ani w głowie mu było odwlekać chwilę pojednania...

Rzecz miała się tak, że Tonio kochał Janka Hansena i wiele już z powodu niego wycierpiał. Kto kocha bardziej, jest zawsze podległy i musi cierpieć — tej prostej i twardej mądrości nauczyła się już od życia jego czternastoletnia dusza; a miał on już taką naturę, że dobrze pamiętał podobne doświadczenia, zapisywał je niejako w duszy i poniekąd cieszył się, oczywiście nie kierując się nimi i nie ciągnąc z nich praktycznej korzyści. Miał też to do siebie, że uważał nauki takie za ważniejsze i ciekawsze niż wiadomości, które narzucano mu w szkole, ba, nawet podczas lekcyj pod gotyckimi sklepieniami przetrawiał takie poglądy gruntownie uczuciem i myślą. Zajęcie to dawało mu podobne zadowolenie, jakie czuł, gdy chodził po pokoju ze skrzypcami (gdyż grał na skrzypcach) i wydobywał z nich

możliwie najśłodsze dźwięki, wśród plusków wodotrysku, bijącego tanecznie w ogrodzie pod gałęziami starego włoskiego orzecha...

Wodotrysk, stary orzech, skrzypce i morze w oddali, Morze Północne, którego sny letnie podsłuchiwał podczas wakacyj, oto co lubił, czym się niejako otaczał i wśród czego upływało jego życie wewnętrzne — oto rzeczy, których nazw można skutecznie używać w wierszach i które też istotnie wciąż brzmiały w wierszach niekiedy przez Tonia tworzonych.

Fakt, że posiadał zeszyt z własnymi wierszami, ujawnił się z jego winy i szkodził mu bardzo w oczach zarówno współuczniów, jak nauczycieli. Syn konsula Krögera był z jednej strony zdania, że gorszyć się tym jest dowodem głupoty i prostactwa, i gardził w zamian kolegami i nauczycielami, u których raziły go nadto złe maniere i których słabostki przezierał bystro. Jednakże z drugiej strony uważał sam pisanie wierszy za wybryk i właściwie za nieprzyzwoitość i musiał przyznać w pewnej mierze słuszność tym, którzy uważali to za dziwaczne zajęcie. To jednak nie mogło go powstrzymać.

Ponieważ w domu marnował czas, w szkole uczył się powoli, nie uważał i złą miał u nauczycieli opinię, więc stale przynosił do domu liche świadectwa, czym bardzo gniewał się i martwił jego ojciec, wysoki, starannie ubrany pan, który miał myślące, niebieskie oczy i zawsze nosił kwiat polny w bu-tonierce. Jednakże matce Tonia, jego pięknej, czarnowłosej

matce, która miała na imię Consuelo i w ogóle tak inna była od reszty pań w mieście, gdyż ojciec przywiózł ją sobie niegdyś z kraju leżącego na samym dole mapy — matce Tonia były świadectwa zupełnie obojętne.

Tonio kochał swą smagłą, ognistą matkę, która przedziwnie grała na fortepianie i na mandolinie, i rad był, że nie martwiła się jego wątpliwym stanowiskiem wśród ludzi. Jednak czuł, że gniew ojca posiada w sobie więcej godności i zasługuje bardziej na szacunek, przeto też, pomimo że był łajany, godził się w gruncie rzeczy z ojcem, uważając obojętną pogodę matki za swego rodzaju łajdactwo. Niekiedy myślał niemal: „W sam raz wystarczy, że jestem, jaki jestem, że zmienić się ani chcę, ani mogę, niedbały, krnąbrny, zaprzątnięty tylko rzeczami, o których nikt zresztą nie myśli. Należałoby więc, by mnie za to poważnie łajano i karano, a nie przechodzono nad tym do porządku z pomocą pocałunków i muzyki. Wszak nie jesteśmy Cyganami na zielonym wozie, lecz przyzwoitymi ludźmi, konsulostwem Krögerami, rodziną Krögerów...” Nierzadko myślał też: „Czemu jestem taki dziwny i w niezgodzie z wszystkimi, powaśniony z nauczycielami i obcy wśród innych chłopców? Przypatrz się uczniom dobrym i solidnie miernym. Nie uważają nauczycieli za śmiesznych, nie klecą wierszy i myślą tylko o rzeczach, o których właśnie powinno się myśleć, a które można głośno wypowiedzieć. Jakże muszą się czuć porządnymi, jakże zgodnymi ze wszystkim i wszystkimi! To

musi być rozkosz... Cóż zaś dzieje się ze mną i jak się to wszystko skończy?”

Ten rodzaj i sposób rozpatrywania siebie i swego stosunku do życia grał ważną rolę w miłości Tonia do Janka Hansena. Kochał go przede wszystkim za to, że był ładny; dalej zaś za to, że wydawał się pod każdym względem jego odwrotnością i przeciwieństwem. Janek Hansen był świetnym uczniem, a poza tym dzielnym zuchem, który jeździł konno, gimnastykował się, pływał jak młody bóg i cieszył się powszechną sympatią. Nauczyciele darzyli go niemal czułością, mówili doń po imieniu i popierali jak mogli, koledzy zabiegali o jego łaski, a na ulicy zatrzymywali go panowie i panie, ujmowali za jasny czub, wyglądający spod duńskiej czapki marynarskiej, i mówili: „Dzień dobry, czubaty Janku Hansenie! Czyś zawsze pierwszy w klasie? Pozdrów papę i mamę, zuch z ciebie!”

Taki był Janek Hansen i odkąd Tonio Kröger go poznał, odczuwał zawsze, skoro tylko go ujrzał, tęsknotę, zazdrosną tęsknotę, która gnieździła się u góry w piersi i paliła. „Któż ma tak niebieskie oczy — myślał — i żyje w takim ładzie i tak szczęśliwej zgodzie z całym światem, jak ty! Zawsze zajęty jesteś w sposób przyzwoity i powszechnie szanowany. Gdy skończysz zadania szkolne, bierzesz lekcje jazdy konnej lub wycinasz piłeczką i nawet podczas wakacji, na morzu, zajęty jesteś wiosłowaniem, żegluga i pływaniem, gdy ja, beczynny i zatopiony w myślach, leżę na piasku i przyglądam się tajemniczo zmiennej grze światła przemykających po obliczu

morza. Toteż dlatego twe oczy są tak jasne. Gdybym był taki jak ty...”

Nie próbował być taki jak Janek Hansen i może nawet nie brał zbyt poważnie tego życzenia. Ale pragnął boleśnie, aby tamten kochał go takim, jaki był, i zabiegał o tę miłość na swój sposób, serdecznie, z pełnią oddania, cierpienia i smutku, ale smutku palącego i trawiącego głębiej niż wszelka gwałtowna namiętność, której można było oczekiwać po jego cudzoziemskiej powierzchowności.

I zabiegał niezupełnie na próżno, gdyż Janek, który zresztą doceniał pewną jego wyższość, obrotność języka pozwalającą mu wyrażać rzeczy trudne, rozumiał doskonale, że żyje tu dlań niezwykle silne i delikatne uczucie, okazał się wdzięcznym i zgotował mu swą wzajemnością wiele szczęścia, lecz i wiele bólu zazdrości, rozczarowania i próżnego wysiłku w celu stworzenia duchowej wspólnoty. Gdyż, rzecz dziwna, Tonio, który zazdrościł przecie Jankowi Hansenowi jego sposobu istnienia, starał się ustawicznie przeciągnąć go na swoją stronę, co mogło udawać się najwyżej na chwilę, a i to tylko pozornie...

— Czytałem teraz coś cudownego, coś wspaniałego — mówił. Szli jedząc wspólnie z papierowej torebki owocowe cukierki, które kupili za dziesięć fenigów w sklepiku Iwersena na Mühlenstrasse. — Musisz to przeczytać, Janku, jest to „Don Carlos” Schillera... Pożyczę ci, jeśli chcesz...

— Ach, nie — rzekł Janek Hansen — daj pokój, Tonio, to nie dla mnie. Wiesz, wolę moje książki o koniach. Powiadam ci, są tam wspaniałe obrazki. Kiedy przyjdiesz do mnie, pokażę ci. Są to migawkowe zdjęcia fotograficzne, widać konia w kłusie, w galopie i w skoku, we wszelkich postawach, których w rzeczywistości nie można wcale dostrzec, bo za prędko się zmieniają...

— We wszystkich postawach? — spytał Tonio uprzejmie. — To cudownie. Ale co do „Don Carlosa” przechodzi on wszelkie pojęcie. Zobacysz, są tam ustępy tak piękne, jakby cię pięścią zdzielił...

— Pięścią? — spytał Janek Hansen. — Jak to?

— Jest tam na przykład ustęp, kiedy król zapłakał, gdyż został oszukany przez markiza... ale markiz oszukał go tylko z miłości do księcia, rozumiesz, dla którego się poświęcił. I teraz z gabinetu do przedpokoju przedostaje się wiadomość, że król zapłakał. „Zapłakał?” „Król zapłakał?” Wszyscy dworzanie są okropnie przejęci i człowiek jest wstrząśnięty do głębi, gdyż jest to strasznie niewzruszony i surowy król. Ale rozumie się także dobrze, że zapłakał, i żal mi go właściwie bardziej niż księcia i markiza razem. Żyje zawsze tak zupełnie samotny i bez miłości i nagle, gdy mu się zdaje, że teraz znalazł człowieka, ten zdradza go...

Janek Hansen patrzył z boku na twarz Tonia i coś z twarzy tej musiało ująć go dla tematu, gdyż wziął nagle znowu Tonia pod rękę i spytał:

— W jaki sposób zdradza go, Tonio?

Tonio zapalił się.

— Więc było tak — rzekł — że wszystkie listy do Brabancji i Flandrii...

— Idzie Erwin Immerthal — rzekł Janek.

Tonio zamilkł. „Bodaj ziemia pochłoneła tego Immerthala! — pomyślał. — Akurat musiał przyjść i przeszkodzić nam! Byle nie chciał przyczepić się do nas i mówić przez całą drogę o lekcji jazdy konnej...” Albowiem Erwin Immerthal brał także lekcje jazdy. Był synem dyrektora banku i mieszkał tu, za bramą miejską. Na krzywych nogach, ze skośnymi oczyma, szedł ku nim aleją już bez teczki szkolnej.

— Dzień dobry, Immerthal — rzekł Janek. — Idę przejść się trochę z Krögerem.

— Ja idę do miasta — rzekł Immerthal — muszę coś załatwić. Ale pójdę z wami jeszcze kawałek... Macie z pewnością cukierki owocowe. Dziękuję, zjem kilka. Jutro mamy znów lekcję, Janku..

Miał na myśli lekcję jazdy.

— Doskonale! — rzekł Janek. — Kupią mi teraz skórzane sztylpy, bo dostałem onegdaj piątkę za ćwiczenie.

— A ty, Kröger, nie bierzesz lekcji jazdy? — spytał Immerthal i oczy jego zmieniły się w dwie szczelinki.

— Nie — odrzekł Tonio niepewnym tonem.

— Powinieneś, Kröger — zauważył Janek Hansen — poprosić ojca, by i tobie pozwolił się uczyć jazdy.

— Tak — rzekł Tonio zarazem skwapliwie i obojętnie. Przez chwilę ścisnęło go w gardle, gdyż Janek przemówił doń po nazwisku; i Janek odczuł to, zda się, gdyż dodał wyjaśniająco:

— Nazywam cię Kröger, bo masz takie wariackie imię; nie gniewaj się, ale nie mogę go znieść. Tonio... To przecie w ogóle nie jest imię. Zresztą nie jesteś temu nic winien, broń Boże!

— Nazywasz się tak głównie dlatego, że brzmi to z cudzoziemska i jest czymś niezwykłym — rzekł Immerthal udając życzliwy żart.

Usta Tonia drgnęły. Opanował się i rzekł:

— Tak, jest to bardzo głupie imię, wolałbym, Bóg mi świadkiem, nazywać się Henryk lub Wilhelm, możecie mi wierzyć. Pochodzi to stąd, że jeden z braci mej matki, po którym otrzymałem na chrzcie imię, nazywa się Antonio; bo przecie matka moja pochodzi z daleka...

Potem zamilkł, nie przeszkadzając tamtym mówić o koniach i sztylpach skórzanych. Janek wziął Immerthal a pod rękę i rozmawiał z zapałem, jakim dla „Don Carlosa” nigdy by go przejąć nie można. Tonio czuł od czasu do czasu jakby piekący napór łez do nosa i z trudem opanowywał brodę, która co chwilę zaczynała drgać...

Janek nie mógł znieść jego imienia, cóż na to można było poradzić? Sam nazywał się Jan, a Immerthal Erwin, to były imiona ogólnie znane, nie rażące nikogo. Ale „Tonio” brzmiało nieco z cudzoziemska i osobliwie. Tak, był osobliwością pod każdym względem, czy chciał, czy nie chciał, był samotny i wyłączony z grona ludzi porządnych i zwyczajnych, choć nie był przecie Cyganem na zielonym wozie, tylko synem konsula Krögera, z rodziny Krögerów... Czemuż jednak Janek nazywał go Toniem, dopóki byli sami, jeśli zaczynał się go wstydzić, ledwo zjawił się trzeci? Czasami był mu bliski i oddany. „W jaki sposób zdradza go, Tonio?” — zapytał przed chwilą i wziął go pod ramię. Lecz skoro tylko nadszedł Immerthal, odetchnął z ulgą, opuścił go i bez potrzeby uczynił mu zarzut z obcego imienia. Jakże bolesne było wniknięcie w to wszystko!... Janek Hansen w gruncie rzeczy lubił go trochę, gdy byli sam na sam, Tonio wiedział o tym. Ale gdy nadszedł trzeci, wstydził się tego i poświęcał go. Tonio znów był sam. Pomyślał o królu Filipie. Król zapłakał...

— O, rety — rzekł Erwin Immerthal — teraz muszę naprawdę iść do miasta! Do widzenia i dzięki za cukierki!

Po czym skoczył na ławkę stojącą przy drodze, przebiegł ją wzdłuż krzywymi nogami i pognął kłusem.

— Lubię Immerthala! — rzekł Janek z naciskiem. Miał rozpieszczony i pewny siebie sposób oznajmiania swych sympatii i antypatii, jakby nimi najłaskawiej obdzielał... Potem zaczął mówić dalej o lekcjach jazdy, gdyż nabrał rozpędu. Nie było już też daleko do domu Hansenów; droga przez wały nie wymagała wiele czasu. Przytrzymywali mocno czapki, schylając głowy pod silny, wilgotny wiatr, który skrzypiał i jęczał w nagich gałęziach drzew. Janek Hansen mówił, gdy Tonio tylko od czasu do czasu wtrącał nienaturalne „A!” lub „Tak, tak”. Nie radując się już tym, że Janek w zapale mowy wziął go znowu pod rękę, gdyż było to tylko pozorne zbliżenie, bez znaczenia.

Potem zeszli z plantów niedaleko dworca kolejowego, ujrzeni pociąg, który sapiąc mijał ich w niezdarnej gorliwości; przeliczyli dla rozrywki wagony i kiwnęli człękowi, który, zakutany w kozuch, siedział wysoko na platformie ostatniego. Na placu Lipowym przed willą hurtownika Hansena stanęli i Janek pokazał dokładnie, jak zabawnie jest stanąć u dołu furty ogrodowej i kołysać się tam i z powrotem przy okropnym zgrzycie zawiasów. Potem pożegnał się.

— Muszę już iść — rzekł. — Bądź zdrow, Tonio. Następnym razem odprowadzę cię do domu, bądź pewny.

— Bądź zdrow, Janku — rzekł Tonio — bardzo miły spacer.

Ręce, które sobie podali, były zupełnie mokre i powalane rdzą furtki ogrodowej. Lecz kiedy Janek spojrzał w oczy Tonia, na ładnej jego twarzy ukazało się jakby skruszone przypomnienie.

— Zresztą przeczytam w najbliższym czasie twego „Don Carlosa”! — rzekł szybko. — Scena z królem w gabinecie musi być wspaniała.

Potem wziął tornister pod pachę i przebiegł przez frontowy ogródek. Zanim zniknął w domu, kiwnął jeszcze raz ręką za siebie.

A Tonio Kröger wrócił rozpromieniony i uskrzydłony. Wiatr popychał go z tyłu, ale on nie tylko dlatego ruszył tak lekko z miejsca.

Janek przeczyta „Don Carlosa” i wtedy będą mieli coś wspólnego, o czym ani Immerthal, ani nikt inny nie będzie mógł z nimi mówić! Jak dobrze się rozumieli! Kto wie, może Tonio skłoni go również do pisania wierszy?... Nie, tego nie pragnął! Janek nie powinien stać się takim jak Tonio, tylko pozostać, jaki był, taki jasny i mocny, jakiego kochali wszyscy, a najbardziej Tonio! Że jednak przeczyta „Don Carlosa”, to nie zaszkodzi... I Tonio szedł przez starą, przysadzistą bramę miejską, wzdłuż przystani i stromą, wietrzną i mokną ulicą do domu swoich rodziców. Wtedy żyło jego serce; była w nim tęsknota i smutna zazdrość, i odrobina pogardy, i cała niewinna szczęśliwość.

Jasnowłosa Inga, Ingeborga Holm, córka doktora Holma, który mieszkał w rynku, tam gdzie stała wysoka, strzelista, wieloboczna studnia gotycka, była osobą, którą pokochał Tonio Kröger, kiedy miał lat szesnaście.

Jak się to stało? Widział ją tysiąc razy; atoli pewnego wieczoru ujrzał ją w osobliwym oświetleniu, ujrzał, jak w rozmowie z przyjaciółką śmiejąc się odrzuciła w pewien swawolny sposób głowę na bok, podniosła w pewien sposób zgoła niezbyt smukłą, zgoła niezbyt delikatną rękę dziewczęcą ku tyłowi głowy, przy czym biały gazowy rękaw zsunął się jej z łokcia, usłyszał, jak w pewien sposób wymówiła jakieś słowo, obojętne słowo, z ciepłym dźwiękiem w głosie, i zachwyty porwał jego serce, silniejszy niż ów, który odczuwał niekiedy dawniej, patrząc na Janka Hansena, kiedy był jeszcze małym, głupim chłopcem.

Tego wieczoru unosił z sobą obraz jej postaci z grubym, jasnym warkoczem, podłużnymi, śmiejącymi się, błękitnymi oczami i delikatnie zaznaczonym siodełkiem piegów nad nosem. Nie mógł zasnąć, gdyż słyszał dźwięk jej głosu, starał się cicho naśladować akcent, z jakim wymówiła owo obojętne słowo, i zadrżał. Doświadczenie pouczyło go, że to miłość. Ale choć dobrze wiedział, że miłość musi przynieść mu wiele boleści, udręki i upokorzenia, że ponadto burzy spokój i napełnia serce melodiami zakłócając ciszę potrzebną do nadania im kształtu i cierpliwego wykucia całości, jednak oddał się jej całkowicie i pielęgnował ją wszelkimi siłami duszy. Wiedział bowiem, że

wzbogaca ona i ożywia, a tęsknił raczej do tego, by być bogatym i żywym, niż aby w spokoju wykuć całość...

Fakt, że Tonio Kröger zakochał się w wesołej Indze Holm, zaszedł w wyprzątniętym salonie konsulowej Husteede, na którą owego wieczoru przypadła kolej urzędzenia u siebie lekcji tańców; był to bowiem kurs prywatny, w którym uczestniczyli tylko członkowie najznakomitszych rodzin i na który dla pobierania lekcji tańca i dobrego tonu gromadzono się w domach rodzicielskich kolejno. W tym zaś celu przybywał co tydzień osobiście baletmistrz Knaak z Hamburga.

François Knaak brzmiało jego miano i co to był za człowiek! „J'ai l'honneur de me vous représenter — mówił — mon nom est Knaak...”⁵ A mówi się to nie podczas ukłonu, tylko gdy się już znów stoi prosto, głosem stłumionym, lecz wyraźnie. Nie co dzień istnieje przymus przedstawiania się po francusku, lecz jeśli się umie uczynić to w tym języku poprawnie i bezbłędnie, uczyni się to tym lepiej po niemiecku. Jak wspaniale przylegał jedwabny czarny surdut do jego tłustych bioder! Miękkimi fałdami opadały spodnie pana Knaaka na lakierki zdobne w szerokie atłasowe kokardy, a ciemne oczy spoglądały dokoła, znużone szczęściem własnej piękności.

Wszyscy byli przytłoczeni nadmiarem pewności siebie i wytworności tancmistrza. Podchodził — a nikt nie stąpił tak

⁵ J'ai l'honneur... (łamany fr.) — mam zaszczyt przedstawić się... moje nazwisko Knaak...

elastycznie, płynnie, kolebiąco, po królewsku, jak on — do pani domu, składał ukłon i czekał, aż poda mu rękę. Gdy ją otrzymał, dziękował cichym głosem, cofał się jak na sprężynie, odwracał się na lewej stopie, odrywał w bok opuszczone palce prawej stopy od podłogi i odchodził w podrygach bioder...

Opuszczając towarzystwo należało cofać się ku drzwiom w ukłonach, nie podawać krzesła chwytając je za jedną nogę lub wlokąc za sobą po posadzce, lecz przynosić lekko, trzymając za poręcz i stawiać bez szmeru na ziemi. Nie stało się z rękoma splecionymi na brzuchu, wysuwając język kątem ust; jeśli to jednak ktoś uczynił, pan Knaak miał taki dar naśladowczy, że do końca życia czuło się wstręt do tej postawy...

To był dobry ton. Co do tańca, to pan Knaak posiadał tę sztukę, jeśli to możliwe, w jeszcze bardziej mistrzowskim stopniu. W wyprzątniętym salonie płonęły gazowe światła w żyrandolach, a świece na kominku. Posadzka posypana była talkiem, a niemym półkolem stali elewowie. Za portierami zaś, w przyległym pokoju, siedziały na fotelach matki i ciotki i przyglądały się przez lornetki, jak pan Knaak, w schylonej postawie, trzymając każdą połę tuzurka w dwóch palcach, demonstrował elastycznymi nogami poszczególne części mazurka. Gdy jednak zamierzał do cna olśnić publiczność, to wzbijał się nagle i bez żadnej potrzeby ponad posadzkę, wprawiając w powietrzu z zawrotną szybkością nogi w ruch wirowy, jakby trylował nimi, po czym stłumionym, lecz wszystko w posadach wstrząsającym bęcnięciem wracał na ziemię...

„Cóż to za niesłychana mała” — myślał Tonio Kröger w duszy. Jednakże wiedział, że Inga Holm, wesola Inga, śledzi często z zapamiętłym uśmiechem ruchy pana Knaaka, co nie było jedynym powodem, dla którego ta cała cudownie opanowana cielesność przejmowała go w gruncie rzeczy jakby pewnym podziwem. Jak spokojnie i niezmaczenie patrzyły oczy pana Knaaka. Nie wglądały one aż tam, gdzie wszystko staje się zawile i smutne; wiedziały tylko, że są brunatne i piękne. Przeto też była postawa jego tak dumna! Tak, trzeba było być głuptasem, by móc tak stąpać jak on; i wtedy było się kochanym, bo było się miłym. Rozumiał to doskonale, że Inga, złotowłosa, słodka Inga patrzy na pana Knaaka w ten sposób. A czy nigdy żadna dziewczyna nie spojrzy tak na niego samego?

A jednak to się zdarzyło. Była tam Magdalena Vermehren, córka adwokata Vermehrena, dziewczyna o łagodnych ustach i dużych, ciemnych, czystych oczach, pełnych powagi i marzycielstwa. Upadała często w tańcu; lecz gdy panie wybierały, podchodziła do niego. Wiedziała o nim, że pisuje wiersze, a nawet dwukrotnie prosiła go, aby je pokazał, często też spoglądała nań ukradkiem z daleka. Lecz cóż mu z tego? On kochał Inge Holm, jasnowłosą, wesolą Inge, która z pewnością gardziła nim dlatego, że pisał wiersze... On patrzył na nią, widział jej wąsko wycięte, niebieskie oczy, pełne szczęścia i szyderstwa; i zazdrosna tęsknota, ciężki, trapiący ból, że jest mu niedostępna i na wieki obca, tkwił w piersi jego i palił.

— Pierwsza para en avant!⁶ — rzekł pan Knaak, a niepodobna opisać, jak człowiek ten cudownie wymawiał nosówki! Uczono się kadryla i Tonio Kröger ku wielkiemu swemu przerażeniu znalazł się z Ingą Holm w jednym carré⁷. Unikał jej, jak mógł, a jednak ciągle dostawał się w jej pobliże; zabraniał oczom swym patrzeć na nią, a jednak spojrzenie jego spotykało ją ciągle... Oto zjawiała się, sunąc i biegnąc pod rękę z ryżym Ferdynandem Matthiessenem, i dysząc stanęła naprzeciw niego; pan Heinzelmann uderzył kościstymi rękoma w klawisze, pan Knaak zakomenderował, zaczął się kadryl.

Poruszała się przed nim tu i tam, naprzód i wstecz, krocząc i kręcąc się; woń tchnąca z jej włosów czy delikatnej białej sukni owiewała go niekiedy i w oczach jego malował się coraz większy smutek. „Kocham cię, kocham, słodka Ingo” — szeptał w duszy, wkładając w te słowa cały ból z powodu tego, że tańczyła z takim zapałem i radością, nie zwracając na niego uwagi. Przypomniawszy mu się przepiękny wiersz Storma: „Pragnąłbym spać; ale ty tańczyć musisz”. Dręczyła go upokarzająca sprzeczność, tkwiąca w przymusie tańczenia, kiedy się kocha...

— Pierwsza para en avant! — rzekł Knaak, gdyż następował nowy obrót. — Compliment! Moulinet des dames!

⁶En avant (fr.) — naprzód.

⁷Carré (fr.) — tu: dwie pary, wykonujące razem figurę tańca.

Tour de main!⁸ — I nikt nie opisze, z jaką gracją połknął nieme „e” w owym de.

— Druga para en avant! — Przyszła kolej na Tonia Krögera i jego damę. — Compliment! — I Tonio Kröger skłonił się. — Moulinet des dames! — I Tonio Kröger, z pochyloną głową i chmurnymi brwiami, położył rękę na rękach czterech dam, na rękę Ingi Holm, i tańczył moulinet.

Dokoła wszczęły się chichoty i śmiechy. Pan Knaak zastygł w baletowej pozie, która miała wyrażać stylizowane oburzenie.

— Oj, oj! — zawołał. — Stać, proszę! Pan Kröger dostał się między panie! En arrière, panno Kröger, proszę się cofnąć, fi donc!⁹ Wszyscy to zrozumieli z wyjątkiem pana. Hola! Precz stąd! Wstecz! — i wydobyl żółtą jedwabną chusteczkę, odganiając Tonia z powrotem na jego miejsce.

Wszyscy śmieli się, chłopcy, dziewczęta i panie za portierami, gdyż pan Knaak uczynił z tego drobnego zdarzenia coś tak śmiesznego, że bawiono się jak w teatrze. Tylko pan Heinzelmann czekał z oschłą miną zawodowca na znak, aby grać dalej, gdyż był znieczulony na efekty pana Knaaka.

Potem kadryl trwał dalej. Wreszcie nastąpiła pauza. Weszła młoda służąca, niosąc na tacy dzwoniące kieliszki z winną

⁸ Compliment!... (fr.) — figury taneczne: ukłon, młynek pań, podanie obu rąk i obrót z partnerką.

⁹ En arrière... (fr.) — W tył, pfe!

galareta, tuż za nią kucharka ze stosem plumkeksów. Ale Tonio wymknął się z salonu, wyszedł skrycie na korytarz i z rękami na plecach stanął tam przed zapuszczoną żaluzją okna, nie bacząc, że przez żaluzję nic nie widać, więc śmiesznie jest stać przed nią i udawać, że patrzy się na dwór.

Ale on patrzył w siebie, gdzie było tyle strapienia i tęsknoty. Czemu, czemu znajdował się tutaj? Czemuż nie siedział w swym pokoju przy oknie i nie czytał Storma „Immensee”, spoglądając kiedy niekiedy w wieczorny mrok ogrodu, gdzie stary orzech skrzypiał ciężko? Tam byłoby jego miejsce. Niech inni tańczą i bawią się wesoło i zwinnie!... Nie, nie, jego miejsce było jednak tu, gdzie czuł się blisko Ingi, choć stał samotny z daleka i starał się wśród gwaru, brzęku i śmiechu rozróżnić jej głos, w którym dźwięczało ciepło życia. O, twoje podłużnie skrojone, niebieskie, śmiejące się oczy, jasnowłosa Ingo! Tak piękną i pogodną można być tylko wtedy, gdy nie czytało się „Immensee” i nie próbuje się samemu tworzyć czegoś podobnego; to właśnie smutne!...

Powinna by przyjść! Powinna by zauważyć, że go nie ma, powinna by wyczuć, co się z nim dzieje, powinna by wyjść za nim skrycie, choćby tylko z litości, położyć mu dłoń na ramieniu i rzec: wróć do nas, bądź wesoły, kocham cię. I wsłuchiwał się za siebie i czekał w nierozsądnym naprężeniu, że ona przyjdzie. Ale nie przyszła wcale. Takie rzeczy nie dzieją się na ziemi.

Czyż i ona śmiała się zeń jak inni? Tak, uczyniła to, choć rad by, gwoli niej i sobie, zaprzeczyć temu. A przecie wplątał się w moulinet des dames tylko wskutek odurzenia jej pobliżem. I cóż to komu szkodziło? Może kiedyś przestaną się zeń śmiać? Czyż niedawno pewne pismo nie przyjęło jego poematu, choć potem przestało wychodzić, zanim poemat mógł się ukazać? Przyjdzie dzień, kiedy będzie sławny, gdy wszystko, co napisze, będzie drukowane, i wtedy zobaczymy, czy nie sprawi to wrażenia na Indze Holm. — Nie, to nie sprawi na niej wrażenia, w tym sęk. Na Magdalenie Vermehren, która zawsze upada w tańcu, tak. Ale nigdy na Indze Holm, nigdy na jasnowłosej, wesołej Indze. Więc czy to nie na próżno?...

Na tę myśl serce Tonia Krögera kurczyło się boleśnie. Czuć, jak cudowne, igrające i smutne siły kłębią się w tobie, i wiedzieć jednocześnie, że ci, do których tęsknisz, przeciwstawiają tym siłom zimną obojętność, to boli. Ale, choć samotny, odtrącony i beznadziejny stał przed zamkniętą żaluzją i w strapieniu swym udawał, że przenika ją wzrokiem, był jednak szczęśliwy. Gdyż wtedy żyło jego serce. Gorące i smutne, biło dla ciebie, Ingeborgo Holm, i dusza jego w błogim samozaparciu obejmowała twą jasnowłosą, świetlaną i arogancko pospolitą osobkę.

Niejednokrotnie stał z rozpaloną twarzą w samotnych kątach, gdzie słabo dochodziła muzyka, woń kwiatów i brzęk kieliszków, i starał się w dalekim gwarze zabawy rozróżnić twój dźwięczny głos; stał zboląły z powodu ciebie, a jednak był

szczęśliwy. Niejednokrotnie martwił się, że z Magdaleną Vermehren, która zawsze upadała, mógł rozmawiać, że ona rozumiała go, śmiała się z nim i była poważna, gdy jasnowłosa Inga, choć siedział przy niej, zdawała mu się daleka, obca i dziwna, gdyż język jego nie był jej językiem; a jednak był szczęśliwy. Albowiem szczęście, mówił sobie, nie polega na tym, że się jest kochanym; jest to zmieszane ze wstrętem zadowolenie próżności. Szczęściem jest kochać i może chwycić drobne, zwodnicze zbliżenia do ukochanego przedmiotu. Myśli te zapisywał w duszy i przetrawiał je do gruntu myślą i uczuciem.

„Wierność! — myślał Tonio Kröger. — Będę ci wierny i będę kochał cię, Ingeborgo, dopóki żyć będę!” Tak pięknie wierzył. A jednak słyszał w sobie cichy szept lęku i żalu, że przecie zapomniał zupełnie i o Janku Hansenie, choć go widywał codziennie. I brzydko, żałośnie było, że ten cichy i nieco złośliwy głos miał słuszość, że czas mijał i nadeszła chwila, kiedy Tonio Kröger nie był już tak bezwzględnie jak dawniej gotów umrzeć za wesołą Inge, gdyż poczuł w sobie ochotę i siły, aby stworzyć mnóstwo dziwnych rzeczy w świecie na swój sposób.

I obchodził ostrożnie ołtarz ofiarny, na którym gorzał szczery i czysty płomień jego miłości, klęczał przed nim, podniecał i żywił go rozmaicie, gdyż chciał być wierny. A jednak po pewnym czasie ogień ten zgasł niepostrzeżenie, bez wrażenia i hałasu.

Ale Tonio stał jeszcze długo przed wystygłym ołtarzem, pełen zdumienia i rozczarowania, że wierność na ziemi była niemożliwa. Potem wzruszył ramionami i poszedł swą drogą.

Poszedł drogą, którą iść musiał, szedł trochę niedbale i nierówno, pogwizdując, z głową na bok przechyloną, patrząc w dal, a jeśli błędził, to dlatego, że dla niektórych ludzi nie ma w ogóle właściwych dróg. Gdy go spytano, czym, na miłość boską, chce zostać, dawał zmienne odpowiedzi, gdyż zwykł był mówić (a nawet napisał to sobie), że nosi w sobie możliwości tysiąca form istnienia, wraz z tajemną świadomością, że w gruncie rzeczy wszystkie są niemożliwościami...

Zanim jeszcze rozstał się z swym ciasnym miastem rodzinnym, rozluźniły się z wolna klamry i nici, którymi ono go trzymało. Stara rodzina Krögerów popadała stopniowo w stan kruszenia i rozkładu, ludzie mieli też słuszość, uważając życie i charakter samego Tonio Krögera za objawy tego stanu. Matka ojca jego, głowa rodu, umarła i wkrótce potem poszedł za nią jego ojciec, wysoki, zamyślony, starannie ubrany pan z kwiatem polnym w butonierce. Wielki dom Krögerów wraz z jego czcigodną przeszłością wystawiono na sprzedaż, firma wygasła. Wszelako matka Tonio, jego piękna, ognista matka, która tak przedziwnie grała na fortepianie i mandolinie i której wszystko było obojętne, wyszła po roku znów za mąż, i to za muzyka, wirtuoza o włoskim nazwisku, z którym pojechała w błękitną

dal. Tonio Kröger uznał to poniekąd za łajdactwo, ale czyż on był powołany bronić jej tego? Pisał wiersze i nie umiał nawet odpowiedzieć, czym, u licha, zamyśla zostać...

I opuścił ciasne miasto ojczyste, nad którego szczytami gwizdał wilgotny wiatr, porzucił wodotrysk i stary orzech włoski, powierników swojej młodości, porzucił też morze, które kochał, i nie doznał przy tym boleści. Albowiem dorósł i zmądrzał, i zrozumiał swe położenie, i patrzył szyderczo na niezdarne, pospolite życie, które tak długo trzymało go w swym kręgu.

Oddał się całej mocy, która wydawała mu się najwznioślejszą na ziemi, której służyć czuł się powołanym i która obiecywała mu wielkość i zaszczyty; oddał się mocy ducha i słowa, królującej z uśmiechem nad bezwiednym i niemym życiem. Oddał się jej z młodzieńczą namiętnością, ona zaś, nagrodziła go wszystkim, co ma do darowania, i zabrała mu wszystko, co zwykła zabierać jako odpłatę.

Zaostrzyła jego wzrok i pozwoliła mu przejrzeć wielkie słowa, które wzdymają pierś ludzką, otworzyła mu dusze ludzkie i duszę jego własną, uczyniła go jasnowidzem i pokazała mu wnętrze świata i te ostateczności, które kryją się za słowami i czynami. Ale to, co ujrział, było śmiesznością i nędzą — śmiesznością i nędzą.

Wtedy wraz z męką i dumą poznania zjawiała się samotność, gdyż koła ludzi beztroskich, o radośnie ciemnym umyśle, nie

były mu chętne, a piętno jego czoła mąciło im spokój. Ale jednocześnie coraz słodsza stawała mu się rozkosz słowa i formy, gdyż zwykł był mawiać (i napisał to nawet), że sama znajomość duszy zasmucałaby niezawodnie, gdyby nas nie rzeźwiły i nie krzepiły przyjemności wyrazu...

Żył w wielkich miastach i na południu, po którego słońcu obiecywał sobie bujne żniwa dla swej sztuki; a może ciągnęła go tam krew matki. Ponieważ jednak serce jego było martwe i pozbawione miłości, zaplątał się w przygody ciała, wpadł w wir rozkoszy i gorącej winy i cierpiał przy tym niewymownie. Może dziedzictwo po ojcu, owym wysokim, zamyślonym, starannie ubranym panu z kwiatem polnym w butonierce, kazało mu cierpieć tam, na południu, i budziło w nim niekiedy słabe, tęskne wspomnienia o rozkoszy ducha, której nie odnajdywał już w żadnej rozkoszy.

Powziął wstręt i nienawiść do zmysłów, łaknął czystości i przystojnego spokoju, a oddychał przecie powietrzem sztuki, ciepłym i słodkim, ciężarnym wonią powietrzem nieustannej wiosny, w której wszystko burzy się, wre i kielkuje w tajemniczej rozkoszy płodzenia. Toteż doszedł do tego, że pozbawiony oparcia wśród jaskrawych sprzeczności, chwiejąc się między lodowatą duchowością i trawiącym go żarem zmysłów, prowadził wśród niepokojów sumienia wyczerpujące życie, życie hultajskie, rozpustne i niezwykle, którym w gruncie rzeczy się brzydził. „Co za bezdroże! — myślał niekiedy. — Jak to być

mogło, że wpadłem w takie dzikie awantury. Przecież nie jestem z pochodzenia Cyganem na zielonym wozie.”

Lecz w miarę jak słabło zdrowie Tonia, wyostrzał się jego artyzm, stawał się wybrednym, grymaśnym, drogocennym, subtelnym, wrażliwym na banalność i do najwyższego stopnia wyczulonym w sprawach taktu czy smaku. Kiedy Tonio wystąpił po raz pierwszy, wywołał wśród tych, których to obeszło, duży poklask i radość, gdyż wydał rzecz mistrzowsko opracowaną, pełną humoru i znajomości cierpienia. I wkrótce nazwisko jego, to samo, które niegdyś nauczyciele jego wymieniali z łajaniem, to samo, którym podpisywał swe pierwsze rymy do orzecha, do wodotrysku i do morza, ten z południa i północy złożony dźwięk, to nazwisko mieszczańskie z egzotycznym nalotem, stało się formułą określającą doskonałość; gdyż z bolesną dogłębnością jego doświadczeń łączyła się rzadka, wytrwała i ambitna pilność, która w walce z wybredną wrażliwością jego smaku pozwalała tworzyć wśród gwałtownych mąk niezwykle dzieła.

Pracował nie jak ktoś” kto pracuje, aby żyć, lecz jak ten, co pragnie tylko pracować, gdyż nie ceni w sobie człowieka żyjącego, jeno pragnie coś znaczyć jako twórca, poza tym zaś snuje się szary i niepozorny, jak po zmyciu szminki aktor, który jest niczym, dopóki nic przedstawić nie może. Pracował niemy, zamknięty, niewidzialny i pełen pogardy dla owych karłów, dla których talent był ozdobą towarzyską i którzy, bez względu na to, czy byli bogaci, czy biedni, czy chodzili dzicy i obdarci, czy

też pozwalali sobie na zbytek oryginalnych krawatów, przede wszystkim myśleli o tym, by żyć błogo, przyjemnie i artystycznie, nieświadomi tego, że dobre dzieła powstają tylko pod uciskiem złego życia, że „kto żyje, ten nie pracuje, i że trzeba wprzód umrzeć, by być całkowicie twórcą.

— Czy nie przeszkadzam? — zapytał Tonio Kröger na progu atelier¹⁰. Trzymał kapelusz w ręce i nawet skłonił się trochę, choć Lizaweta Iwanowna była jego przyjaciółką, której mówił wszystko.

— Zlitujże się pan, Tonio, i wejdź bez ceremonii! — rzekła z właściwą jej zmienną intonacją. — Wiadomo, że pan jest dobrze wychowany i wie, co wypada.

Wzięła pędzel w lewą rękę, w której trzymała paletę, i podała prawą, patrząc mu w twarz ze śmiechem i kiwając głową.

— Przecie pani pracuje — rzekł. — Czy wolno zobaczyć?... O, pani poczyniła postępy.

I spoglądał kolejno na barwne szkice, oparte po obu stronach sztalug na krzesłach, i na wielkie, kwadratowe, siecią linii pokryte płótno, gdzie w zawiłym i schematycznym zarysie węglowym zaczęły wynurzać się pierwsze barwne plamy.

¹⁰ Atelier (fr.) — pracownia.

Działo się to w Monachium, w oficynie przy ulicy Schellinga, na którymś piętrze. Na dworze, za szerokim oknem wychodzącym na północ, panował błękit nieba, świegot ptaków, blask słoneczny i młode, słodkie tchnienie wiosny, które wnikało przez otwartą klapę, mieszało się z wonią fiksatywu i farby olejnej, wypełniającą obszerne atelier. Złote światło jasnego popołudnia napełniało bez przeszkody pustą przestrzeń pracowni, szczerze zalewało uszkodzoną nieco podłogę, surowy stół pod oknem, pełen flaszeczek, tubek i pędzli, i studia bez ram na nie tapetowanych ścianach, ozłacało parawan z dziurawego jedwabiu, oddzielający przy drzwiach maleńki, stylowo umeblowany kącik mieszkalny i wypoczynkowy, padało na powstające dzieło na sztalugach i stojących przed nim malarkę i poetę.

Mogła być mniej więcej w tym co on wieku, to jest liczyć nieco ponad trzydziestkę. W ciemnoniebieskim, poplamionym kitlu siedziała na niskim stołku, opierając brodę na dłoni. Brunatne jej włosy, mocno ufryzowane i posiwiałe już nieco na bokach, okrywały lekkimi falami skronie, ujmując w ramy jej smagłą twarz słowiańskiego typu, niezmiernie sympatyczną, z perkatym nosem, ostro występującymi kośćmi policzkowymi i małymi, czarnymi, lśniącymi oczyma. Uważna, nieufna i jakby podrażniona, badała skośnym, przymrużonym spojrzeniem swą pracę.

On stał obok, wsparty prawą ręką o biodro, lewą kręcąc szybko ciemny wąs. Jego skośne brwi poruszały się w

chmurnym napięciu. Pogwizdywał cicho, jak zwykle. Ubrany był bardzo starannie i solidnie, w garnitur spokojnie szary i nie bijącego w oczy kroju. Ale na pobrużdżonym czole, nad którym ciemne włosy były rozdzielone z nadzwyczajną prostotą i poprawnością, pojawiło się nerwowe drżenie, a rysy twarzy o południowym typie były już ostre, jakby przeciągnięte i przeryte twardym dłutem, choć usta zdawały się zarysowane tak łagodnie, a broda tak miękko wyrzeźbiona... Po chwili przesunął dłonią po czole i oczach i odwrócił się od niej.

— Nie powinienem był przyjść — rzekł.

— Czemu nie, Tonio?

— Właśnie wstałem od swej pracy, Lizaweto, i w głowie mojej wygląda w sam raz tak, jak na tym płótnie. Rusztowanie, blady szkic, poprawkami zabrudzony, i kilka barwnych plam; teraz przychodzę tu i widzę to samo. I odnajduję też konflikt i kontrast — rzekł wężąc w powietrzu — który dręczył mnie w domu. To dziwne. Jeśli opanuje cię jaka myśl, to wszędzie znajdziesz jej wyraz, wywęszysz ją nawet w wietrze. Fiksatyw i aromat wiosny, co? Sztuka i... ba, ale co jest to drugie? Niech pani nie mówi „natura”, Lizaweto, „natura” nie wyczerpuje sprawy. O, nie, powinienem był raczej pójść na przechadzkę, choć jeszcze pytanie, czy bym się przez to czuł lepiej. Pięć minut temu, niedaleko stąd, spotkałem kolegę, Adalberta, nowelistę. „Niech Bóg przeklnie wiosnę! — rzekł swym napastliwym stylem. — Jest to i będzie zawsze najokropniejsza

pora roku! Czy może pan pochwycić jedną rozsądną myśl, Kröger, czy może pan wypracować spokojnie najdrobniejszą pointę czy éfekcik, gdy w nieprzyzwoity sposób łechce cię coś w krwi i niepokoi mnóstwo nie należących do rzeczy wrażeń, które, ledwo je zbadać, okazują się zgoła trywialną i na nic nie przydatną bzdurą! Co do mnie, idę do kawiarni. Jest to teren neutralny, niezależny od zmiany pory roku, kawiarnia bowiem, uważa pan, przedstawia odległą i wzniosłą dziedzinę literackości, tam jeno człowiek zdolny jest do szlachetniejszych pomysłów...” I poszedł do kawiarni, może powinienem był mu towarzyszyć. „

Lizaweta bawiła się doskonale.

— To pyszne, panie Tonio. To „nieprzyzwoite łechtanie” jest pyszne. I ma poniekąd słusność, bo naprawdę robota nie klei się na wiosnę. Ale niech pan teraz uważa. Mimo wszystko zrobię jeszcze tę drobnostkę, tę małą pointę i efekcik, jak by powiedział Adalbert. Potem pójdziemy do „salonu”, napijemy się herbaty, a pan się wygada; bo widzę doskonale, że jest pan usposobiony. Tymczasem niech się pan gdzie bądź ugrupuje, na przykład na tej pace, jeśli się pan nie boi o swe patrycjuszowskie szaty...

— Niechże pani da pokój moim patrycjuszowskim szatom! Czy życzy pani sobie, bym uganiał w podartej aksamitnej bluzie lub czerwonej jedwabnej kamizelce? Jako artyści mamy w sobie samych jeszcze dość awanturniczości. Zewnętrznie, do diabła,

należy się ubierać i zachowywać jak porządny człowiek... Nie, nie jestem usposobiony — rzekł i przyglądał się, co ona miesza na palecie. — Przecie słyszy pani, że tylko jeden problemat i kontrast tkwi mi w głowie i przeszkadza w pracy... Ale o czymśmy to mówili? O tym noweliście Adalbercie i co to za dumny, stanowczy człowiek. „Wiosna jest najokropniejszą porą roku” rzekł i poszedł do kawiarni. Bo trzeba wiedzieć, czego się chce, prawda? Widzi pani, mnie także wiosna denerwuje, mnie także wprawia w pomieszanie trywialność wspomnień i wrażeń, które budzi wiosna; tylko że nie mam odwagi łajać jej za to i gardzić nią, gdyż rzecz ma się tak, że raczej wstydzę się wiosny, wstydzę się wobec jej czystej naturalności i zwycięskiej młodości. I nie wiem, czy mam Adalbertowi zazdrościć, czy lekceważyć go za to, że nie wie nic o tym...

To prawda, że na wiosnę pracuje się lichy, a czemu? Bo się czuje. A tylko partacz myśli, że twórcy wolno czuć. Każdy prawdziwy i szczery artysta uśmiecha się z powodu tego błędu partaczy, melancholijnie może, ale się uśmiecha. Gdyż to, co się mówi, nie powinno nigdy być istotą, tylko obojętnym w sobie i przez się materiałem, z którego należy złożyć twór estetyczny w igrającym i spokojnym poczuciu wyższości. Jeśli za bardzo zależy pani na tym, co ma pani powiedzieć, jeśli serce pani za mocno wtedy bije, to może pani być pewna całkowitej klapy. Staje się pani patetyczną, sentymentalną, pod ręką pani iści się coś ociążałego, niezgrabnie poważnego, nieopanowanego, nie-ironicznego, bezkorzennego, nudnego, banalnego, a końcem

wszystkiego jest obojętność i rozczarowanie u ludzi, a rozpacz pani samej... Bo tak jest, Lizaweto. Uczucie, ciepłe, serdeczne uczucie, jest zawsze banalne i nieprzydatne, artystyczne zaś są tylko podrażnienia i zimne ekstazy naszego zepsutego, artystycznego systemu nerwowego. Trzeba być czymś nadludzkim i nieludzkim, trzeba wobec sprawy ludzkiej przybrać postawę dziwnie daleką i bezinteresowną, aby być zdolnym odgrywać ją, igrać nią, przedstawiać ją dobitnie i smacznie, ba, aby w ogóle kusić się o to. Dar stylu, formy i wyrazu zakłada z góry ten chłodny i wybredny stosunek do tego, co ludzkie, ba, pewne człowiecze zubożenie i wyniszczenie. Gdyż zdrowe i silne uczucie — podtrzymuję to — nie ma żadnego smaku. Artysta ginie, z chwilą gdy staje się człowiekiem i zaczyna czuć. Adalbert wiedział o tymi dlatego udał się do kawiarni, do „odległej dziedziny”.

— A niech go Pan Bóg kocha, batuszka! — rzekła Lizaweta myjąc ręce w blaszanej misce. — Przecie nie pójdzie pan za nim.

— Nie, Lizaweto, nie pójdę za nim, choćby dlatego, że kiedy niekiedy umiem w obliczu wiosny wstydzić się trochę swego arcyzmu. Widzi pani, czasami dostaję listy pisane obcą ręką, pochwały i podziękowania od mych czytelników, pełne podziwu głosy przejętych ludzi. Czytam te słowa i ogarnia mnie wzruszenie wobec tych ciepłych i nieudolnych uczuć, które wywołała moja sztuka, opada mnie pewnego rodzaju litość w obliczu natchnionej naiwności, która przemawia z tych listów, i

rumienie się na myśl, jak bardzo ochłódłby ten poczciwy człowiek, gdyby rzucił okiem za kulisy, gdyby zrozumiał w swej naiwności, że rzetelny, zdrowy i przyzwoity człowiek w ogóle nie pisze, nie gra na scenie, nie komponuje... Nie przeszkadza to jednak, że korzystam z jego podziwu dla mego geniuszu, aby się pobudzać i podniecać, że biorę go niezmiernie poważnie i stroję miny, jak małpa udająca wielkiego człowieka... Niechże mi pani nie przerywa, Lizaweto! Zapewniam panią, że jestem nieraz śmiertelnie znużony przedstawianiem treści człowieka, nie mając w sobie nic z człowieka... Czy artysta jest w ogóle mężczyzną? Trzeba o to zapytać „kobietę”! Mnie się zdaje, że artyści dzielają trochę los owych spreparowanych śpiewaków papieskich... Śpiewamy wzruszająco pięknie. Jednakże...

— Powinien się pan wstydzić trochę, Tonio. Proszę teraz na herbatę. Woda zagotuje się zaraz, a tu są papierosy. Stał pan na śpiewaniu sopranem, jazda dalej. Ale powinien pan się wstydzić. Gdybym nie wiedziała, z jak dumnym zapałem oddaje się pan swemu powołaniu...

— Niech pani nie mówi o „powołaniu”, Lizaweto Iwanowna! Literatura nie jest w ogóle powołaniem, tylko przekleństwem, zapewniam panią. Kiedy zaczyna się czuć to przekleństwo? Wcześniej, straszliwie wcześniej. W czasie gdy należałoby słusznie żyć jeszcze w spokoju i zgodzie z Bogiem i światem. Człowiek zaczyna czuć się napiętnowanym, w zagadkowej sprzeczności z innymi, zwykłymi, porządnymi; przepaść ironii, niewiary, opozycji, poznania, uczucia, dzieląca

od ludzi, pogłębia się coraz bardziej. Przychodzi samotność i od-
tąd nie ma już porozumienia. Co za los! Oczywiście, jeśli serce
pozostało dość żywym, dość miłującym, by odczuć to jako
okropność!... Samopoczucie wchodzi w stan zapalny, gdyż czło-
wiek czuje wśród tysięcy znak na swoim czole i wie, że nie
ujdzie niczyjej uwagi. Znałem genialnego aktora, który jako
człowiek walczyć musiał z chorobliwą nieśmiałością i niepew-
nością. Powodem tego była w tym doskonałym artyście, a
zubożałym człowieku przeczulona miłość własna wraz z
brakiem roli i aktorskiego zadania... Artystę, prawdziwego ar-
tystę, nie zaś takiego, dla którego sztuka jest mieszczańskim
zawodem, lecz predestynowanego i przeklętego, rozpozna wśród
masy ludzkiej nawet mniej bystre oko. Poczucie odrębności i
nieprzynależności, myśl, że patrzą nań i obserwują go,
jednocześnie coś królewskiego i zakłopotanego widnieje w jego
twarzy. Coś podobnego da się zauważyć w rysach księcia, który
w cywilnym ubraniu znalazł się w tłumie. Ale żadne cywilne
ubranie tu nie pomoże, Lizaweto! Choć artysta przebierze się,
zamaskuje, choć włoży strój attaché¹¹ lub porucznika gwardii na
urlopie, wystarczy mu podnieść oczy lub przemówić słowo, aby
wszyscy poznali, że to nie człowiek, tylko coś obcego, dzi-
wnego, innego...

Ale czym jest właściwie artysta? Wobec żadnego pytania
wygodnictwo i lenistwo umysłowe ludzi nie okazało, się równie
upartym jak tutaj. „Jest to dar”, mówią pokornie poczciwi

¹¹ Attaché (fr.) — urzędnik dyplomatyczny do spraw specjalnych.

ludziska, znajdując się pod wrażeniem artysty, a ponieważ, ich dobrodusznym zdaniem, pogodne i wzniosłe wrażenia muszą bezwzględnie wypływać też z pogodnych i wzniosłych źródeł, więc nikt nie podejrzewa, że chodzi tu może o „dar” niezwykle źle uwarunkowany, niezwykle wątpliwy... Wiadomo, że artyści obrażają się łatwo, wiadomo też, że nie zdarza się to u ludzi z czystym sumieniem i mocno ugruntowanym samopoczuciem... Powiem pani, Lizaweto, że chowam na dnie duszy — w duchowej dziedzinie — w stosunku do typu artysty to samo podejrzenie, jakie żywiłby każdy z mych czcigodnych przodków w ciasnym mieście północnym względem jakiegoś kuglarza czy wędrownego sztukmistrza, zjawiającego się w jego domu. Proszę posłuchać. Znam posiwiąłego w swym zawodzie bankiera, który ma dar pisania nowel. Korzysta z tego daru w chwilach wywczasów i utwory jego są nieraz świetne. Pomimo tej wzniosłej zdolności — podkreślam „pomimo” — nie jest to człowiek zupełnie bez skazy; przeciwnie, odbył już ciężką karę więzienia, i to z uzasadnionych” powodów. Ba, właściwie dopiero w celi uświadomił sobie swój talent i jego doświadczenia więzienne tworzą główny motyw całej jego twórczości. Można by stąd, z pewnym zuchwalstwem, wyciągnąć wniosek, że aby stać się poetą, trzeba w jakiego bądź rodzaju więzieniu czuć się u siebie w domu. Jednak czy nie narzuca się podejrzenie, że jego przeżycia w więzieniu nie mają może tak głębokiego związku z korzeniami i źródłem jego artyzmu, jak to, co go tam zaprowadziło? — Bankier piszący nowele to rzadkość, prawda? Ale bankier niekryminalista,

nieskazitelny i solidny, a pisujący nowele — taki się nie zdarza... Pani się śmieje, ja jednak tylko na pół mówię żartem. Nie ma na świecie problemu bardziej dręczącego niż problemat artyzmu i jego oddziaływania na ludzi. Weźmy na przykład cudowny utwór najbardziej typowego i przeto najpotężniejszego artysty, weźmy tak miękkie i głęboko dwuznaczne dzieło jak „Tristan i Izolda” i rozważmy wpływ, jaki dzieło to wywiera na młodego, zdrowego, silnie i normalnie czującego człowieka. Zobaczymy podniesienie, pokrzepienie, ciepły, rzetelny zapach, może nawet bodziec do własnego „artystycznego” tworzenia. Pocziwy dyletant! W nas, artystach, wszystko wygląda zupełnie inaczej, niż wyobraża sobie ten człowiek „z ciepłym sercem” i „rzetelnym entuzjazmem”. Widziałem artystów, których kobiety i młodzieńcy darzyli Uwielbieniem, gdy ja o nich wiedziałem... Co do źródeł, zjawisk towarzyszących i warunków artyzmu, dowiadujemy się ciągle najprzedziwniejszych rzeczy...

— W stosunku do innych — przepraszam, Tonio — czy też nie tylko do innych?

Zamilkł. Ściągnął skośne brwi i pogwizdywał.

— Tonio, proszę podać mi swą filiżankę. Herbata jest mocna. Niech pan zapali świeżego papierosa. Zresztą wie pan doskonale, że patrzy pan na rzeczy w sposób, w jaki nie musi się na nie patrzeć koniecznie...

— Oto odpowiedź Horacja: „Tak patrzeć na rzeczy, znaczyłoby patrzeć zbyt dokładnie”, prawda?

— Miałam na myśli, że można na nie patrzeć równie dobrze z innej strony, Tonio. Jestem sobie tylko głupią malarką i jeśli w ogóle potrafię panu coś odpowiedzieć, jeśli mogę wziąć przed panem w obronę własny pański zawód, to z pewnością nie wypowiem nic nowego, tylko przypomnę to, co pan sam wie doskonale... Więc jakże: oczyszczający, uświęcający wpływ literatury, burzenie namiętności przez poznanie i słowo, literatura jako droga do zrozumienia, przebaczenia i miłości, wyzwalająca moc mowy, duch literacki jako najszlachetniejsze zjawisko ducha ludzkiego w ogóle, literat jako człowiek doskonały, jako święty — jak to, takie patrzeć na rzeczy byłoby patrzeniem nie dość dokładnym?

— Ma pani prawo tak mówić, Lizaweto Iwanowna, zwłaszcza ze względu na dzieło waszych pisarzy, na godną uwielbienia literaturę rosyjską, która właśnie tak słusznie przedstawia literaturę świętą, o jakiej pani mówi. Jednak nie pominąłem zarzutów pani, owszem, wiążą się one z tym, co mi dziś chodzi po głowie... Niech pani spojrzy na mnie. Nie wyglądam zbyt czerstwo, co? Trochę postarzały, rysy zaostrome, zmęczony. Otóż, wracając do „poznania”, wyobraźmy sobie człowieka, który wzięwszy z domu poczciwość, łagodność, dobroduszość i trochę sentymentalizmu, wskutek psychologicznego jasnowidztwa strawił się po prostu i zniszczył do cna. Nie dawać się smutkowi świata, obserwować, notować, robić uwagi, nawet najboleśniej, i być poza tym dobrej myśli, choćby w poczuciu moralnej wyższości

nad ohydny wynalazkiem istnienia — to ma swą wartość, oczywiście! Jednak niekiedy wszystko to, mimo przyjemnych pozorów, przerasta trochę człowieka. Wszystko zrozumieć, to wszystko przebaczyć? Nie wiem. Istnieje coś, co nazwałbym ohydą poznania, Lizaweto. Jest stan, kiedy człowiekowi wystarcza przejrzeć jakąś rzecz, by uczuć śmiertelny wstrząs, bezwzględnie wrogi pojednaniu — przykładem Hamlet, książę duński, ten typowy literat. Wiedział, co to znaczy być powołanym do władzy, a nie być do niej stworzonym. Widzieć jasno nawet jeszcze poprzez łzawą zasłonę uczucia, poznawać, zauważać, obserwować i być zmuszonym ciuć swe spostrzeżenia nawet w chwilach, gdy dłonie się ściskają, usta się znajdują, gdy gaśnie wzrok ludzki, oślepiiony uczuciem — to bezecność, Lizaweto, to podłość, to oburza... ale cóż pomoże oburzenie? Inną, lecz zgoła nie mniej sympatyczną stroną sprawy jest oczywiście znudzenie, obojętność i ironiczne zmęczenie wobec wszelkiej prawdy, jako że faktem jest, iż nie ma na świecie bardziej niemej i beznadziejnej atmosfery, jak w kole ludzi inteligentnych, kutyh na cztery nogi. Wszelkie poznanie jest stare i nudne. Jeśli wypowiesz jakąś prawdę, której zdobycie i posiadanie sprawia ci zapewne młodzieńczą radość, odpowiedzą ci na twoją prostacką przemądrzałość krótkim sapnięciem przez nos... Ach, literatura nuży, Lizaweto. Zapewniam panią, że w ludzkim towarzystwie można dla wiecznego sceptycyzmu i osamotnienia myślowego uchodzić za głupca, gdy jest się przecie tylko dumnym i zniechęconym... Tyle o „poznaniu”. Co się tyczy „słowa”, chodzi tu może nie

tyle o wyzwolenie, co o pozbycie się uczucia i oblanie go zimną wodą. Bez żartu: jest coś lodowatego, oburzająco zarozumiiałego w tym nagłym i powierzchownym uwalnianiu się od uczucia za pomocą mowy literackiej. Jeśli człowiek ma serce wezbrane, jeśli czuje się zbyt przejęty słodkim i wzniosłym przeżyciem, nic prostszego! Idziesz do literata i w najkrótszym czasie wszystko będzie w porządku. Zanalizuje ci i sformułuje twoją sprawę, nazwie ją po imieniu, wypowie i zmusi do omówienia, załatwi i uczyni obojętną na wszystkie czasy i nie zażąda za to podzięk. Ty zaś wrócisz do domu z ulgą, ochłodą i jasną głową i będziesz się dziwić, jak ta rzecz mogła jeszcze przed chwilą niepokoić cię słodkim zamętem. I pani chce poważnie wziąć w obronę tego zimnego i próżnego szarlatana? Co jest wypowiedziane — tak brzmi jego wyznanie wiary — jest tym samym załatwione. Gdyby można było wypowiedzieć cały świat, świat byłby załatwiony, wyzwolony i sprawa skończona... Doskonale! Jednak nie jestem nihilistą...

— Nie jest pan... — rzekła Lizaweta. Właśnie podnosiła łyżeczkę z herbatą do ust i zastygła w tej postawie.

— No tak, no tak, niech pani wróci do siebie, Lizaweto! Nie jestem nim, powiadam, w stosunku do żywego uczucia! Zapewniam panią: literat nie rozumie w gruncie rzeczy, że życie będzie dalej żyło, że nie wstydzi się tego, choć zostało wypowiedziane i „załatwione”. Tylko grzeszy nieodmiennie mimo wyzwolenia przez literaturę; gdyż wszelkie działanie jest w oczach ducha grzechem... Już kończę, Lizaweto... Proszę

posłuchać. Kocham życie — oto moje wyznanie. Przyjmij je, pani, i zachowaj — nie uczyniłem go jeszcze nikomu. Powiedziano, a nawet napisano i wydrukowano, że nienawidzę życia, czy boję się go, czy gardzę i brzydzę się nim. Słuchałem tego chętnie; pochlebiało mi to, niemniej jednak jest to fałsz. Kocham życie... Uśmiecha się pani, Lizaweto? Wiem, dlaczego. Ale zaklinam panią, proszę tego, co mówię, nie brać za literaturę! Niech pani nie myśli o Cezarze Borgii czy jakimś pijanym filozofie, który go wynosi pod niebo! Ten Cezar Borgia jest dla mnie niczym, gwizdzę na niego i nie zrozumieć nigdy, jak można nadzwyczajność i demoniczność czcić jako ideał. Nie! Biorę „życie” jako wieczne przeciwstawienie ducha i sztuki — nie jako wizja krwawej wielkości i dzikiego piękna, nie jako nadzwyczajność przedstawia się ono nam, nadzwyczajnym; tylko życie normalne, przyzwoite i mile jest rajem naszej tęsknoty, jest życiem w swej pokaśnej banalności! Droga pani, daleko do artysty temu, którego ostatecznym i najgłębszym marzeniem jest wyrafinowanie, ekscentryczność i satanizm, który nie zna tęsknoty do tego, co spokojne, proste, żywe, do odrobiny przyjaźni, oddania, ufności i ludzkiego szczęścia — skrytej i trawiącej tęsknoty, Lizaweto, do rozkoszy codzienności!...

Przyjaciół-człowiek! Czy wierzy mi pani, że byłbym dumny i szczęśliwy, gdybym posiadał wśród ludzi przyjaciela? Ale dotychczas miałem przyjaciół tylko wśród demonów, koboldów, ciężkich potworów i w niemocie poznania tkwiących upiorów...

Czasami staję na jakimś podium, znajduję się w jakiejś sali w obliczu ludzi, którzy przyszli, by mnie posłuchać. Wtedy spostrzegam niekiedy, że rozglądam się wśród publiczności, łapię się na tym, iż badam audytorium z pytaniem w sercu, kto są ci ludzie, którzy przyszli do mnie, których oklask lub podzięką przenika do mnie, z którymi sztuka moja jednoczy mnie idealnie... Nie znajduję tego, czego szukam, Lizaweto. Znajduję stado i gminę, którą znam dobrze, jakby zgromadzenie pierwszych chrześcijan: ludzi o niezgrabnych ciałach i delikatnych duszach, ludzi, którzy — że tak powiem — wiecznie padają, pani rozumie, i dla których poezja jest łagodną zemstą na życiu, zawsze tylko cierpiących i tęskniących, i biednych, nigdy zaś nikogo z owych innych, błękitnookich, Lizaweto, którzy nie potrzebują ducha!...

I czyż nie byłoby żalosną niekonsekwencją cieszyć się, gdyby było inaczej? Gdyż niedorzecznością jest kochać życie, a jednak wszystkimi sposobami dążyć do tego, by przeciągnąć je na swą stronę, pozyskać je dla finezji i melancholii, dla całej chorej szlachty literackiej. Królestwo, sztuki powiększa się, królestwo zaś zdrowia i niewinności maleje na ziemi. Należałoby to, co pozostało jeszcze, konserwować jak najtroskliwiej i nie powinno się wabić ku poezji tych, którzy daleko bardziej wolą czytać książki o koniach, ilustrowane migawkowymi zdjęciami... Boć ostatecznie, cóż byłoby żałośniejszego nad widok życia uprawiającego sztukę. My, artyści, nikim nie gardzimy bardziej niż dyletantem, człowiekiem

żywym, który myśli, że poza tym będzie mógł być przy sposobności artystą. Zapewniam panią, że tego rodzaju pogarda należy do moich osobistych przeżyć. Znajduję się pewnego razu na przyjęciu w bogatym domu, ludzie jedzą, piją i gawędzą, wszyscy rozumieją się doskonale, czuję się rad i wdzięczny, że mogę na chwilę zniknąć wśród zwykłych, normalnych ludzi, jako im równy. Nagle (to mi się właśnie zdarzyło) wstaje pewien oficer, porucznik, przystojny i tęgi mężczyzna, którego nigdy nie podejrzewałem o sposób postępowania niegodny jego honorowej szaty, i niedwuznacznymi słowami prosi o pozwolenie wygłoszenia kilku przez siebie napisanych wierszy. Towarzystwo z uśmiechem zakłopotania daje mu to pozwolenie i oficer spełnia swój zamiar, odczytując z kartki, którą dotąd ukrywał w kieszeni, swój utwór, coś tam o muzyce i miłości, rzecz równie głęboko odczuta, jak nie wywierającą żadnego wrażenia. Niechże pani jednak pomyśli. Porucznik! Władca świata! Doprawdy, chyba nie potrzebował tego!... No i stało się, co musiało się stać. Wydłużone twarze, milczenie, trochę sztucznych oklasków i głęboki niesmak dokoła. Pierwszym faktem psychicznym, który uświadamiam sobie, jest to, że czułem się współwinnym w zamieszaniu, które ten niebaczny młodzieniec wniósł w towarzystwo. I nie ma wątpliwości: również i mnie, któremu tamten wchodził w rzemiosło, dostają się szydercze i niechętnie spojrzenia. Drugim faktem było, że człowiek ten, dla którego stanowiska i charakteru żywiłem jeszcze przed chwilą wysoką cześć, zaczął nagle w mych oczach gwałtownie upadać... Przejęła mnie pełna współczucia

życzliwość. Wraz z innymi serdecznymi i dobrodusznymi panami podchodzę doń i mówię: „Winszuję panu, panie poruczniku! Co za wspaniały talent! To było przepiękne!” Omal nie poklepałem go po plecach. Ale czy uczuciem, jakim powinno się darzyć porucznika, jest życzliwość?... Jego wina! Stał zakłopotany, pokutując ciężko za błąd, że poważył się uszczknąć jeden jedyny listek z wawrzynowego drzewa sztuki, nie płacąc za to życiem. Pod tym względem zgadzam się z moim kolegą, bankierem-kryminalistą... Ale czy nie uważa pani, Lizaweto, że jestem dziś gadatliwy jak Hamlet?

— Czy pan już skończył?

— Nie. Ale nic już nie powiem.

— Wystarczy. Czy czeka pan odpowiedzi?

— Ma ją pani?

— Chyba. Słucham pana uważnie od początku do końca i dam panu odpowiedź, która przypada do wszystkiego, co pan dziś powiedział, i rozwiązuje tak niepokojący pana problemat. A więc! Rozwiązaniem jest to, że jest pan w każdym calu po prostu mieszcuchem.

— Co? — spytał kuląc się trochę.

— Prawda? Mocno to pana dotknęło i nie może być inaczej. Toteż złagodzę trochę wyrzut, mogę to zrobić. Jest pan mieszcuchem na manowcach... mieszcuchem zbłąkanym.

Milczenie. Potem Kröger wstał, wziął kapelusz i laskę.

— Dziękuję pani, Lizaweto Iwanowna; teraz mogę iść spokojnie do domu. Jestem załatwiony.

Pod jesień rzekł Tonio Kröger do Lizawety Iwanowny:

— Wyjeżdżam, Lizaweto; muszę się przewietrzyć, wynoszę się, ruszam w świat.

— Jak to, batuszka, wybiera się pan znów do Italii?

— Na Boga, niechże mi pani da pokój z Italią, Lizaweto! Dla Italii zobojętniałem aż do pogardy. Dawne to czasy, gdy wmawiałem w siebie, że tam przynależę. Sztuka, prawda? Aksamitny błękit nieba, ogniste wino i słodka zmysłowość... Krótko mówiąc, mam tego dość. Rezygnuję. Ta cała *bellezza*¹² działa mi na nerwy. Nie znoszę też tamtejszych strasznie żywych ludzi o czarnym, zwierzęcym spojrzeniu. Ci Romanie nie mają sumienia w oczach. Nie, wybieram się na pewien czas do Danii.

— Do Danii?

— Tak. Obiecuję sobie dużo dobrego po tej podróży. Tylko przypadkiem nigdy tam nie dotarłem, choć w ciągu całej młodości byłem tak blisko granicy, a jednak od dawna znałem i kochałem ten kraj. Musiałem odziedziczyć tę skłonność

¹² Bellezza (wł.) — piękność. Bellezza (wł.) — piękność.

północną po ojcu, gdyż matka moja wolała właściwie bellezzę, o ile wszystko nie było jej obojętne. Niech pani weźmie pisane tam książki, te głębokie, czyste i pełne humoru książki, Lizaweto; nie ma nic ponad nie, kocham je. Niech pani weźmie te skandynawskie obiady, te niezrównane kolacje, które znosi się tylko w mocno słonym powietrzu (nie wiem, czy zniosę je jeszcze w ogóle) i które znam trochę z domu, gdyż w moich stronach jada się już zupełnie tak samo. Niech pani weźmie tylko te nazwiska, te imiona, którymi ozdabiają się ludzie tamtejsi i z których już również wiele zadomowiło się u nas, zwłaszcza dźwięk „Ingeborga”, harfiany akord nieskalanej poezji. A potem morze — mają tam Bałtyk!... Słowem, jadę tam, Lizaweto. Zobaczę znów Bałtyk, usłyszę znów te imiona, będę czytał te książki na miejscu, będę stał na tarasie w Kronborgu, gdzie zjawił się „duch” Hamletowi, ściągając nieszczęście i śmierć na biednego, szlachetnego młodzieńca.

— Jak pan jedzie, jeśli spytać wolno? Jaką obiera pan drogę?

— Zwykłą — rzekł wzruszając ramionami i zarumienił się wyraźnie. — Dotknę mego... mego punktu wyjścia, Lizaweto, po trzynastu latach, to może być bardzo komiczne.

Uśmiechnęła się.

— To właśnie chciałam usłyszeć. Jedź pan więc z Bogiem. A nie zapomni pan do mnie napisać, dobrze? Obiecuję sobie pełen przeżyć list z pańskiej podróży do... Danii.

I Tonio Kröger pojechał na północ. Podróżował z komfortem (mawiał bowiem, że człowiek, który dźwiga większy ciężar wewnętrzny niż inni ludzie, ma słuszne prawo do trochę większej wygody zewnętrznej) i spoczął, dopiero gdy wynurzyły się przed nim w szarym powietrzu wieże ciasnego miasta, z którego wyszedł. Tam zatrzymał się na krótki czas osobliwego pobytu.

Chmurne popołudnie przechodziło już w zmierzch wieczoru, gdy pociąg wjechał do wąskiej, zadymionej, tak dziwnie bliskiej mu hali; pod brudnym dachem szklanym wciąż jeszcze przewalał się w kłębach dym, snując się w wydłużonych strzępach, jak wówczas, gdy Tonio wyjechał stąd nie mając w sercu nic prócz szyderstwa. Dopilnował bagażu, kazał dostarczyć go do hotelu i opuścił dworzec.

Na placu stały rzędem dwukonne, czarne, niezmiernie wysokie i szerokie dorożki miejskie. Nie wziął żadnej. Przyjrzał się im tylko, jak przyglądał się wszystkiemu, wąskim szczytom domów i strzelistym wieżom, które pozdrawiały go sponad dachów, jasnowłosym i gnuśno-prostackim ludziom, mówiącym szeroko a szybko, i budził się w nim nerwowy śmiech, tajemnie spokrewniony z łkaniem. Szedł pieszo, szedł powoli, pod nieustanny wiatr, szedł przez most, na którego poręczach stały mitologiczne posągi, szedł wzdłuż przystani.

Boże wielki! Jakże małe i ciasne wydało mu się to wszystko! Czyż te wąskie uliczki przez cały ten czas pięły się tak śmiesznie stromo ku miastu? Kominy i maszty okrętów chwiały się cicho w wietrze i zmierzchu na mętnej rzece. Miałże pójść tą ulicą, przy której leżał pewien dom? Nie, jutro. Był teraz taki śpiący. Głowę miał ciężką od jazdy i powolne, mgliste myśli wałęsały się po niej.

Bywało w ciągu tych trzynastu lat, gdy zepsuł sobie żołądek, śniło mu się, że znowu znajduje się w starym, rozdźwięcznym domu przy stromej ulicy, że jest tam znów jego ojciec, wyrzucający mu zwyrodniały tryb życia, co każdym razem uznawał za słuszne. I chwila obecna nie różniła się niczym od owych mamiących i nieprzerwanych majaków sennych, w których potrafimy się pytać, czy jest to złuda, czy rzeczywistość, z przekonaniem oświadczamy się za ostatnią i jednak budzimy się w końcu... Szedł mało uczęszczanymi, wietrznymi ulicami, schylając głowę pod wiatr, szedł jak lunatyk w kierunku pierwszorzędnego hotelu, gdzie chciał przenocować. Krzywonogi człowiek z drągiem, na którego końcu lśnił ogieniek, szedł przed nim kolebiącym krokiem marynarza i zapalał gazowe latarnie.

Co jednak czuł? Czym było to wszystko, co tliło się ciemno i boleśnie pod popiołem jego znużenia, nie stając się jasnym płomieniem? Cicho, cicho i ani słowa! Żadnych słów! Chętnie by szedł tak dalej w wietrze przez mroczne, sennie swojskie ulice. Ale wszystko było tak ciasne i bliskie. Wnet stanął u celu.

W górnej części miasta były lampy łukowe i właśnie zapłonęły. Tam znajdował się hotel z dwoma czarnymi lwami, które leżały u wejścia i których bał się w dzieciństwie. Wciąż jeszcze patrzyły na siebie z miną, jakby chciały kichnąć; ale zdawało się, że od tego czasu zmałyły. Tonio Kröger przeszedł między nimi.

Ponieważ przybył pieszo, przyjęto go nie bardzo uroczyście. Portier i bardzo elegancki, czarno ubrany pan, który czynił honory i bez przerwy wpychał krótkimi palcami mankiety do rękawów, mierzyli go badawczo i uważnie od stóp do głowy, usiłując widocznie odgadnąć jego stanowisko społeczne, określić stopień w hierarchii obywatelskiej i wyznaczyć miejsce w skali swego szacunku. Nie doszli jednak do uspokajających wyników, skutkiem czego zdecydowali się na uprzejmość umiarkowaną. Kelner, łagodny człowiek o bokobrodach koloru chleba, w wyświeconym od starości fraku, z rozetami na cichych bucikach, poprowadził go schodami do czystego, po staroświecku umeblowanego pokoju, z którego okna roztaczał się w zmierzchu malowniczy, średniowieczny widok na podwórze, dachy i dziwaczny masyw kościoła sąsiadującego z hotelem. Tonio Kröger stał chwilę przy oknie, potem ze skrzyżowanymi rękoma usiadł na szerokiej kanapie, ściągnął brwi i pogwizdywał.

Wniesiono światło i pakunek gościa. Jednocześnie łagodny kelner położył na stole kartę meldunkową i Tonio Kröger, z przechyloną na bok głową, malował coś na niej, co wyglądało na

nazwisko, zawód i miejsce, skąd przybył. Potem zamówił coś tam na kolację i patrzył dalej z kąta kanapy w próżnię. Gdy postawiono przed nim kolację, nie tykał jej długo, wreszcie zjadł kilka kęsów i jeszcze godzinę chodził po pokoju, przystając chwilami i zamykając oczy. Potem zaczął rozbierać się powoli i położył się do łóżka.

Spał długo, wśród zawiłych i dziwnie tęsknych snów.

Kiedy się zbudził, w pokoju był jasny dzień. Nie wiedział, gdzie się znajduje, ale opanował się szybko i wstał, by podnieść rolety. Na niebie blady błękit późnego lata przetkany był strzępami cienkich, przez wiatr poskubanych obłoczków; ale słońce lśniło nad jego miastem rodzinnym.

Zabrał się z jeszcze większą niż zwykle starannością do toalety, umył się i ogolił najdokładniej i wyświeżył się tak, jakby miał złożyć wizytę w jakimś doskonale wzorowym domu, gdzie pragnął zrobić jak najlepsze, nienaganne wrażenie; w ciągu ubierania się słuchał trwożnego bicia swego serca.

Za jasno było na dworze! Czułby się lepiej, gdyby, jak wczoraj, zmierzch zalegał ulice; musiał jednak na oczach ludzkich iść w jasnym blasku słońca. Czy natknie się na znajomych, którzy go zatrzymają, zaczną wypytywać, zmuszać do odpowiedzi, jak spędził te trzynaście lat? Nie, dzięki Bogu! Nikt go już nie znał, a kto go pamiętał, nie poznałby, gdyż zmienił się w tym czasie naprawdę. Przyglądał się sobie uważnie w lustrze i nagle uczuł się pewniejszym pod maską swojej

wcześnie zniszczonej twarzy, starszej niż jego lata... Kazał przynieść śniadanie, po czym wyszedł przez westybul i między dwoma lwami na ulicę, żegnany lekceważącymi spojrzeniami odźwiernego i wytwornego pana w czerni.

Dokąd szedł? Nie wiedział. Było tak samo jak wczoraj. Ledwo znalazł się w gmatwaninie tych dziwnie czcigodnych i znanych szczytów, wieżyczek, arkad i studni, ledwo uczuł na twarzy podmuch wiatru, silnego wiatru, który przynosił mu delikatną i cierpką woń dalekich snów, coś oprzędło myśli jego niby mglista zasłona. Mięśnie twarzy jego zwiotczały. Uciszone wzrokiem obserwował ludzi i rzeczy. Na rogu ulicy jednak ocknął się...

Dokąd szedł? Miał wrażenie, jakby kierunek, który obrał, był w związku z jego smutnymi i pełnymi dziwnego żalu snami nocy... Szedł pod podcieniami ratusza, gdzie rzeźnicy krwawymi rękami ważyli swój towar, na rynek, gdzie stała wysoka, strzelista, wieloboczna studnia. Tam zatrzymał się przed wąskim, pełnym prostoty domem o powyginanym, ażurowym szczycie i pogrążył się w jego kontemplacji. Przeczytał tabliczkę na drzwiach i patrzył kolejno przez chwilę na każde z okien. Potem odwrócił się powoli i poszedł dalej.

Dokąd szedł? Do domu. Ale obrał drogę okólną, powlókł się za bramę miejską, bo miał czas. Minał Mühlenwall i Holstenwall, przytrzymując mocno kapelusz na wietrze, który szumiał i skrzypiał w drzewach. Niedaleko dworca opuścił wały,

patrzył na pociąg sapiący tuż w niezgrabnym pośpiechu, przeliczył dla rozrywki wagony i spojrzął na człowieka, który siedział w górze ostatniego. Na placu Lipowym zatrzymał się przed jedną z ładnych will, długo wpatrywał się w ogród i okna i poruszył furta, która zaskrzypiała w zawiasach. Potem przyglądał się swej dłoni, która zziębła i zbrudziła się rdzą, i poszedł dalej przez starą, przysadzistą bramę, brzegiem przystani, stromą, wietrzną uliczką ku domowi rodziców.

Dom ten, nad którym domy sąsiednie panowały swymi szczytami, stał stary i poważny jak przed trzystu laty. Tonio Kröger przeczytał pobożne zdanie wypisane na pół już zatartymi literami nad wejściem. Potem westchnął i wszedł.

Serce mu biło trwożnie, gdyż miał wrażenie, że z jakichś drzwi przyziemia, obok których przechodził, może nagle wyjść jego ojciec w biurowej kurtce i z piórem za uchem, zatrzymać go i zażądać wytłumaczenia się z dziwaczego, życia, co uznałby za zupełnie słuszne. Drzwi wejściowe nie były zamknięte, tylko przyparte, co uznał za godne nagany, mając jednocześnie wrażenie, jakiego doznaje się w niektórych snach, gdzie przeszkody ustępują same i człowiek posuwa się naprzód, wiedziony przez dziwnie mu sprzyjające szczęście... Szeroka sień, wyłożona wielkimi, czworobocznymi żabkami, brzmiała echem jego kroków. Naprzeciw kuchni, w której panowała cisza, jak dawniej występowały ze ściany w znacznej wysokości dziwne, niezgrabne, ale czysto pomalowane komórki drewniane dla dziewcząt służebnych, dokąd można było dostać się z sieni tylko

po czymś w rodzaju drabiny. Ale nie było widać wielkich szaf i wypukłorzeźbnej skrzyni, które tu kiedyś stały... Syn domu wchodził na olbrzymie schody i opierał się o białą lakierowaną, ażurową poręcz, podnosząc i opuszczając wolno rękę za każdym krokiem, jakby próbował, czy dawna zażyłość z tą starą, mocną poręczą da się wskrzesić... Na skrawku schodów stanął przed wejściem na półpiętrze. Na drzwiach znajdowała się biała tablica, na której czarnymi literami widniał napis: Biblioteka Ludowa.

„Biblioteka Ludowa?” — pomyślał Tonio Kröger, który uważał, że ani lud, ani literatura nie mają tam czego szukać. Zapukał do drzwi... Usłyszał „proszę” i wszedł. Ciekawie i chmurnie patrzył na ogromnie niewłaściwą odmianę.

Kondygnację tworzyły trzy pokoje w amfiladzie. Ściany na całej niemal wysokości pokryte były jednakowo oprawionymi książkami, stojącymi na półkach w długich szeregach. W każdym pokoju siedział za pewnego rodzaju ladą mizerny człowiek i pisał. Dwóch z nich podniosło tylko głowy, lecz pierwszy wstał szybko, oparł się obiema rękami o blat stołu, wysunął głowę, zaostrzył wargi, ściągnął brwi i wlepił w przybysza szybko mrugające oczy...

— Przepraszam — rzekł Tonio Kröger, nie odwracając oczu od mnóstwa książek. — Jestem przejezdny, oglądam miasto. Więc to jest Biblioteka Ludowa? Pozwoli mi pan rzucić okiem na ten zbiór książek?

— Bardzo proszę! — rzekł urzędnik mrugając jeszcze silniej. — Oczywiście, każdy ma prawo. Raczy pan się rozejrzeć... Czy mogę służyć katalogiem?

— Dziękuję — odparł Tonio Kröger. — Orientuję się łatwo. — I z wolna jał chodzić wzdłuż ścian, udając, jakby studiował tytuły na grzbietach książek. Wreszcie wyjął jeden z tomów, otworzył go i stanął z nim w oknie.

Była to mała jadalnia. Tu spożywano rano śniadanie, nie w wielkiej jadalni na górze, gdzie z niebieskich tapet występowały białe posągi bogów... Tam dalej była sypialnia. Tam umarła matka jego ojca, umarła wśród ciężkich walk mimo starości, gdyż była wesołą, światową damą i kochała życie. Później oddał tam ostatnie tchnienie jego ojciec, wysoki, poprawny, nieco smutny i zamyślony pan z kwiatem polnym w butonierce... Tonio siedział w nogach jego łóżka z gorączką w oczach, uczciwie, całkowicie oddany niememu i silnemu uczuciu miłości i bólu. Także i matka klęczała przy łóżku, jego piękna i ognista matka, tonąc w gorących łzach; po czym z południowym artystą ruszyła w świat. Jeszcze dalszy, mały, trzeci pokój, również przepełniony książkami, których pilnował mizerny człowiek, był przez długie lata jego pokojem. Tam wracał po szkole, po odbytej jak teraz przechadzce, pod ową ścianą stało jego biurko, w którego szufladzie przechowywał pierwsze, serdeczne i bezsilne wiersze... Stary orzech... Uczuł dojmujący smutek... Wyrżał przez okno. Ogród zdziczał, ale stary orzech stał na swym miejscu, skrzypiąc posępnie na wietrze, Tonio Kröger

spojrzał znów na książkę, którą trzymał w ręce, wybitny i znany utwór poetycki. Patrzył na czarne wiersze i ustępy, podążał przez chwilę za kunsztownym tokiem tekstu, który wśród twórczego żaru zmierzał do pointy i kończył się efektownie.

— To dobrze zrobione — rzekł, odłożył książkę i odwrócił się. Wtedy ujrzał, że urzędnik wciąż jeszcze stoi wyprostowany, mrugając oczyma z wyrazem służbistości i poważnej nieufności.

— Doskonały zbiór, jak widzę — rzekł Tonio Kröger. — Rozejrzałem się trochę. Jestem panu wielce zobowiązany. Do widzenia.

I wyszedł; ale wyjściu temu towarzyszyła wątpliwość i Tonio czuł, że urzędnik, pełen niepokoju z powodu tych odwiedzin, będzie jeszcze kilka minut stał i mrugał oczyma.

Nie miał ochoty iść dalej. Wszak był już w domu. Na górze, w wielkich pokojach za kolumnową salą, mieszkali, jak widział, obcy ludzie, gdyż szczyt schodów zamykały drzwi szklane, których dawniej nie było i na których widniała jakaś tabliczka z nazwiskiem. Wrócił, zszedł po schodach, minął głośną sień i opuścił dom rodzicielski. W zakątku jakiejś restauracji zjadł w zamyśleniu ciężki, tłusty obiad i wrócił do hotelu.

— Jestem gotów — rzekł do wytwornego pana w czerni. — Wyjeżdżam po południu.

Kazał podać sobie rachunek, zamówił powóz, który miał go odwieźć do przystani, skąd zamierzał parowcem ruszyć do

Kopenhagi. Potem poszedł do swego pokoju, siadł przy stole, siedział cicho i prosto, opierając policzek na rękę i patrząc niewidzącymi oczyma na blat stołu. Następnie wyrównał rachunek i spakował rzeczy. O oznaczonym czasie zajechał powóz i Tonio Kröger zszedł na dół.

U stóp schodów czekał nań wytworny pan w czerni.

— Pan wybaczy! — rzekł wpychając krótkimi palcami mankiety w rękawy. — Pan wybaczy, że jesteśmy zmuszeni zabrać panu jeszcze minutkę czasu. Pan Seehaase, właściciel hotelu, pragnąłby zamienić z panem dwa słówka. Mała formalność... Znajduje się tam w głębi... Zechce pan łaskawie pofatygować się... Jest tam tylko pan Seehaase, właściciel hotelu.

I wśród zapraszających gestów zaprowadził Tonia Krögera w głąb westybulu. Istotnie stał tam pan Seehaase. Tonio znał go z widzenia z dawnych czasów. Był mały, tłusty, krzywonogi. Przystrzyżone jego bokobrody posiwiały, ale wciąż jeszcze nosił wycięty surdut frakowy i zieloną haftowaną czapeczkę z aksamitu. Poza tym nie był sam. Obok niego, przy małym, do ściany przymocowanym pulpicie, stał w hełmie na głowie policjant, który opierał urękawiczoną prawicę na leżącym na pulpicie barwnie zapisanym papierze i uczciwym wzrokiem żołnierskim tak patrzył na Tonia Krögera, jakby się spodziewał, że ten na jego widok zapadnie się w ziemię.

Tonio Kröger spoglądał to na jednego, to na drugiego i czekał.

— Pan przybywa z Monachium? — spytał wreszcie policjant dobrodusznym, ociężałym głosem.

Tonio Kröger dał odpowiedź potwierdzającą.

— Jedzie pan do Kopenhagi?

— Tak jest, jadę do kąpieliska duńskiego.

— Do kąpieliska? Musi pan pokazać swe dokumenty — rzekł policjant, wymawiając ostatnie słowo z szczególną satysfakcją.

„Dokumenty”... Nie miał dokumentów. Wyjął portfel i zajrzał doń, lecz prócz kilku banknotów znalazł w nim tylko korektę noweli, którą zamierzał załatwić u celu podróży. Nie lubił styczności z urzędnikami i nigdy dotąd nie wyrabiał sobie paszportu.

— Przykro mi — rzekł — ale nie mam przy sobie żadnych dokumentów.

— Tak? — rzekł policjant. — Żadnych? Pańskie nazwisko?

Podał je.

— A czy to prawda? — spytał policjant wyciągając szyję i otworzył nagle nozdrza, jak mógł najszerzej...

— Najzupełniejsza — odparł Tonio Kröger.

— Jaki jest pański zawód?

Tonio Kröger przełknął ślinę i wymienił pewnym głosem swój fach. Pan Seehaase podniósł głowę i ciekawie zajrzał mu w twarz.

— Hm — rzekł policjant. — I pan zaprzecza tożsamości z pewnym indywiduum nazwiskiem...

Rzekł „indywiduum”, sylabizując następnie z barwnego papieru zawile i romantyczne nazwisko, które zdawało się zmieszane fantastycznie z dźwięków różnych ras i które Tonio Kröger w najbliższej chwili znowu zapomniał.

— ...indywiduum, które, pochodząc od niewiadomych rodziców i będąc nieznanego pochodzenia, ścigane jest wskutek rozmaitych oszustw i innych przestępstw przez policję monachijską i znajduje się w drodze do Danii.

— Przeczę temu — rzekł Tonio Kröger wzruszając nerwowo ramionami. Sprawilo to pewne wrażenie.

— Tak? No, oczywiście! — rzekł policjant. — Ale nie może też pan przedstawić żadnych dokumentów!

Również pan Seehaase pragnął załagodzić sprawę.

— Wszystko to jest tylko drobną formalnością — rzekł — niczym więcej! Pan zechce zważyć, że urzędnik spełnia tylko

swą powinność. Gdyby pan mógł się czymś wylegitymować...
Jakiś papier...

Zapadło milczenie. Miałże położyć kres tej całej sprawie dając się poznać, oświadczając panu Seehaase, że nie jest szalbierzem nieokreślonej przynależności, nie jest Cyganem na zielonym wozie, tylko synem konsula Krögera z rodu Krögerów? Nie, nie miał ochoty. I czyż ci przedstawiciele ładu społecznego nie mieli w gruncie rzeczy trochę słuszności? Poniekąd zgadzał się z nimi... Wzruszył ramionami i milczał.

— Co pan tu ma? — spytał policjant. — Tu w portfelu?

— Tu? Nic. Korektę — odparł Tonio Kröger.

— Korektę? Jaką? Niech no pan pokaże.

Tonio Kröger podał mu swą pracę. Policjant rozpostarł ją na pulpicie i zaczął czytać. Zbliżył się również pan Seehaase i wziął udział w lekturze. Tonio Kröger patrzył im przez ramię i obserwował, w którym miejscu czytają. Był to ciekawy moment, pointa i efekt, doskonale wypracowane. Był z siebie rad.

— Widzi pan — rzekł. — Pod spodem jest moje nazwisko. Napisałem to i teraz wydaję drukiem. Rozumiecie, panowie?

— To wystarczy — rzekł pan Seehaase stanowczo, zgarnął kartki, zwinął je i oddał właścicielowi. — To musi wystarczyć, panie Petersen! — powtórzył krótko, zamykając ukradkiem oczy i potrząsając odmownie głową. — Nie możemy pana dłużej

zatrzymywać. Powóz czeka. Szanowny pan raczy wybaczyć tę drobną nieprzyjemność. Urzędnik spełnił tylko swój obowiązek, ale powiedziałem mu natychmiast, że jest na fałszywym tropie.

„Tak” — pomyślał Tonio Kröger.

Policjant zdawał się być trochę innego zdania, bąknął coś jeszcze o „indywiduum” i „dokumencie”. Ale pan Seehaase, wśród nieustannych wyrazów ubolewania, odprowadził swego gościa przez westybul, między dwoma lwami, do powozu i zamknął sam za nim drzwiczki z oznakami szacunku. Po czym śmiesznie wysoka i szeroka dorożka potoczyła się podskakując, szczękając i turkocąc przez strome uliczki do przystani...

Taki był dziwny pobyt Tonia Krögera w mieście rodzinnym.

Zapadła noc i wśród srebrno-płynnej poświaty wzbijał się księżyc, gdy okręt Tonia Krögera wypłynął na pełne morze. Tonio stał na przodzie okrętu, otulony w płaszcz na wzmagaającym się wietrze, i spoglądał na ciemną wędrówkę i gonitwę silnych, gładkich fal, które kłębiły się, zderzały z pluskiem, rozstrzelały w różnych kierunkach, nagle rozjaśniając się pianą.

Był w nastroju rozkołysanym, pełnym cichego zachwyty. Trochę przygnębiony, że w mieście rodzinnym chciano uwięzić go jako szalbierza, choć poniekąd uważał, że wszystko było w porządku. Ale gdy wsiadł na okręt, przypatrywał się, jak to

czynił w dzieciństwie z ojcem, ładowaniu towarów, którymi wśród okrzyków w mieszanej gwarze duńsko-niemieckiej napełniano głęboki brzuch okrętu, i widział, jak poza pakami i skrzyniami spuszczano w grubo okratowanych klatkach niedźwiedzia polarnego i królewskiego tygrysa, które widocznie przybyły z Hamburga i przeznaczone były dla jakiejś duńskiej menażerii; i to go rozerwało. Gdy potem okręt sunął między płaskimi brzegami wzdłuż rzeki, zapomniał zupełnie o przesłuchiowaniu go przez policjanta Petersena i o wszystkim, co było poprzednio, o swych słodkich, smutnych i pełnych żalu snach nocnych, o odbytej przechadzce, o starym orzechu włoskim, i znów się wzmocnił na duchu. I teraz, gdy otwierało się przed nim pełne morze, widział z daleka brzeg, na którym jako chłopak podśluchiwał letnie sny morza, widział blask latarni morskiej, światła zakładu kąpielowego, w którym mieszkał z rodzicami... Bałtyk! Podał głowę pod silny, słony wiatr, który dał swobodnie i bez przeszkody, owiewał mu uszy i wywoływał łagodny zawrót głowy, stłumione ogłuszenie, w którym leniwie i błogo ginęła pamięć o wszystkim złym, o udrękach i błędach, o zamiarach i trudach. I w syku, plusku, huku i jęku dokoła słyszał, jak mu się zdało, szum i skrzypienie starego orzecha, zgrzyt furty ogrodowej... Ciemniało coraz bardziej.

— Niechże pan tylko spojrzy na gwiazdy — z ociężale śpiewnym akcentem rzekł nagle jakiś głos, zdający się płynąć z głębi beczki. Znał go już. Należał do ryżego, z prosta ubranego człowieka z zaczerwienionymi powiekami i o wilgotnozimnym

wyglądzie, jakby się dopiero co wykąpał. Przy kolacji w kajucie był sąsiadem Tonia i pochłaniał wśród lękliwie-skromnych ruchów zdumiewające ilości omletu z homarem. Teraz stał obok niego oparty o poręcz i spoglądał w niebo, obejmując podbródek kciukiem i palcem wskazującym. Niewątpliwie znajdował się w jednym z owych niezwykłych i uroczyście-kontemplacyjnych nastrojów, kiedy to znikają granice między ludźmi, serce otwiera się nawet przed obcymi, a usta mówią rzeczy, dla których zwykle zamykają się wstydliwie.

— Niechże pan spojrzy przecie na gwiazdy. Błyszczą i Bóg wie, ile ich jest. I proszę pana, jeśli człowiek spojrzy w górę i pomyśli se, że jest wśród nich wiele takich, co są sto razy większe od ziemi, to w głowie się mąci. Ludzie wynaleźli telegrafy, telefony i tyle rzeczy, które są zdobyczami nowych czasów, to prawda. Ale gdy spojrzymy w górę, musimy przyznać, że w gruncie rzeczy jeźdźmy robakami, nędznymi robakami i koniec — tak, czy nie tak, proszę ja pana? Jeźdźmy robakami! — odpowiedział sam sobie, kiwając w pokorze i skrusze głową ku firmamentowi.

„O nie, ten nie jest wypchany literaturą!” — pomyślał Tonio Kröger. I natychmiast przypomniał sobie coś, co czytał niedawno: rozprawę sławnego literata francuskiego o kosmologicznym i psychologicznym poglądzie na świat; była to bardzo zręczna gadanina.

Udzielił młodemu człowiekowi czegoś na kształt odpowiedzi na jego głęboko przeżyta uwagę, po czym rozmawiali dalej, oparci o poręcz i wpatrzeni w niespokojnie oświetlony, migotliwy wieczór. Okazało się, że młody towarzysz podróży był kupcem hamburskim, który korzystając z urlopu przedsięwziął tę wycieczkę...

— Przejeżdż się trochę statkiem do Kopenhagi, pomyślałem sobie, więc jezdem tu i wszystko to bardzo pięknie. Ale ten omlet z homara, panie, nie był potrzebny, zobaczy pan, bo noc będzie burzliwa, sam kapitan powiedział, a taka niestrawna potrawa w żołądku to nie żarty...

Tonio Kröger słuchał tych uprzejmych głupstw z uczuciem kryjomej życzliwości.

— Tak jest — rzekł — w ogóle tu na północy jest kuchnia za ciężka. To robi człowieka leniwym i smutnym.

— Smutnym? — powtórzył młodzieniec, patrząc nań ze zdziwieniem... — Pan pewnie nietutejszy? — spytał nagle.

— Tak, przybywam z daleka! — odparł Tonio Kröger z nieokreślonym i niechętnym gestem.

— Ale ma pan słuszość — rzekł młodzieniec. — Dalibóg, ma pan słuszość co do tego smutku! Jezdem prawie zawsze smutny, ale zwłaszcza w takie wieczory jak dziś, kiedy gwiazdy błyszczą na niebie. — I podparł znów podbródek kciukiem i palcem wskazującym.

„Z pewnością pisuje wiersze — pomyślał Tonio Kröger — głęboko i uczciwie odczute wiersze kupieckie...”

Zrobiło się późno i wiatr stał się tak gwałtowny, że przeszkadzał w rozmowie. Postanowili więc przespać się trochę i powiedzieli sobie dobranoc.

Tonio Kröger wyciągnął się w swej kajucie na wąskim łóżku, ale nie mógł zasnąć. Surowy wiatr i jego cierpki zapach rozdrażniły go dziwnie i serce biło mu niespokojnie, jakby w trwożnym oczekiwaniu jakiejś słodyczy. Wstrząśnienia powstające za każdym razem, gdy okręt zjeżdżał ze stromej góry wodnej i śruba pracowała jakby gorączkowo ponad wodą, wywoływały w nim przykre mdłości. Ubrał się znów całkowicie i wyszedł na powietrze.

Chmury gnały mijając księżyc. Morze tańczyło. Nie było okrągłych, równomiernych, w porządku nadbiegających fal, tylko wszędzie dokoła, w bladym migocie światła, było morze potargane, smagłe, skłębione, wyrzucało na kształt płomieni ostre, liżące jęzory, tworzyło obok pienistych przepaści rosochate, nieprawdopodobne stwory i zdawało się w szalonej igraszce rozrzucić siłą olbrzymich rąk pianę na wszystkie strony. Okręt pracował z trudem; łomocąc i dygocąc, pruł się z jękiem wśród wrzawy i od czasu do czasu słychać było niedźwiedzia i tygrysa, które cierpiąc od gwałtownych fal, ryczały w dole. Człowiek w ceratowym płaszczu, z kapturem na głowie, z latarnią przytwierdzoną do pasa, stąpał szeroko po

pokładzie, utrzymując z trudem równowagę. Z tyłu zaś stał przechylony przez poręcz młody kupiec z Hamburga, męcząc się w mdłościach.

— O Boże — rzekł pustym, chwiejnym głosem, ujrawszy Tonia Krögera — toż to istny bunt żywiołów, panie łaskawy.

Lecz musiał przerwać i odwrócił się szybko.

Tonio Kröger trzymał się jakiejś naprężonej liny i spoglądał w nieposkromione zamęty. Czuł w sobie krzyk radości, dość silny, jak mu się zdało, by zagłuszyć burzę i szal wód. Brzmiała w nim miłością natchniona pieśń do morza. „O dziki mej młodości druhu, znowu jesteśmy z sobą razem...” Lecz na tym poemat się kończył. Nie był gotów, nie był zaokrąglony i spokojnie w całość wykuty. Serce jego żyło...

Stał tak długo, potem wyciągnął się na ławce przy budce wiodącej do kajut i patrzył w niebo, na którym migotały gwiazdy. Zdrzemnął się nawet na chwilę. I kiedy zimna piana bryznęła mu w twarz, odczuwał to w pólśnie jako pieszczotę.

Prostopadłe ściany kredowe, upiorne w świetle księżyca, ukazały się i zbliżały powoli; była to wyspa Möen. I znowu nastąpiła drzemka przerywana słonymi bryzgami, które gryzły i mroziły twarz... Gdy ocknął się zupełnie, był już dzień, jasnoszary, chłodny dzień, i zielone morze było spokojniejsze. Przy śniadaniu ujrzał znów młodego kupca, który zarumienił się gwałtownie (prawdopodobnie ze wstydu, że w ciemności

wygadywał rzeczy tak poetyczne i naganne); wszystkimi pięciu palcami podkręcał rudawe wąsy i rzucił mu żołniersko-ostre pozdrowienie, by go potem trwożnie unikać.

I Tonio Kröger wylądował w Danii. Przybył do Kopenhagi, dawał napiwek każdemu, kto miał minę, jakby rościł sobie do niego pretensje, przez trzy dni robił z hotelu wycieczki po mieście trzymając przed sobą otwarty przewodnik i zachowywał się zupełnie jak przyzwoitszy cudzoziemiec, pragnący wzbogacić swoją wiedzę. Obejrzał Nowy Rynek Królewski i „Konia” pośrodku, patrzył z szacunkiem na kolumny kościoła Panny Marii, stał długo przed szlachetnymi i miłymi rzeźbami Thorwaldsena, wszedł na Okrągłą Wieżę, zwiedził zamki i spędził dwa wesołe wieczory w Tivoli. Ale właściwie nie tylko to widział.

Na domach, które często wygiętymi, ażurowymi szczytami zupełnie przypominały stare domy jego miasta rodzinnego, widział nazwiska, które znane mu były z dawnych czasów i zdawały się określać coś, subtelne i wspaniałego, zawierając przy tym w sobie coś jakby wyrzut, skargę i tęsknotę za światem utraconym. I wdychając powoli, z namysłem wilgotne powietrze morskie, widział wszędzie oczy tak błękitne, włosy tak jasne, twarze tak zbudowane, jak w dziwnych, bolesnych i pełnych żalu snach owej nocy, spędzonej w mieście rodzinnym. Zdarzało się, że na ulicy jakieś spojrzenie, jakieś dźwięczne słowo, jakiś śmiech przejmował go do głębi...

Nie zagrzał miejsca w wesołym mieście. Słodki i niedorzeczny niepokój — na pół wspomnienie, na pół oczekiwanie — nurtował go wraz z pragnieniem, aby leżeć cicho gdzieś na plaży, nie musieć udawać wypytującego się pilnie turysty. Wsiadł więc znowu na okręt i pewnego szarego dnia (morze było czarne) pojechał wzdłuż brzegu Zelandii do Helsingör. Stamtąd jechał jeszcze trzy kwadransy powozem po szosie zawsze trochę ponad morzem, aż stanął u ostatniego i właściwego celu; był nim biały hotel kąpielowy z zielonymi okiennicami, stojący wśród skupiska małych domków, patrzący drewnianą wieżą na Sund i szwedzkie wybrzeże. Tu wysiadł, zajął jasny pokój, który dlań przygotowano, rozmieścił manatki w komodzie i szafie, pragnąc spędzić tu pewien czas.

Zbliżał się wrzesień; w Aalsgaard nie było już dużo ludzi. W dużej, o belkowanym suficie, na parterze leżącej jadalni, której wysokie okna wychodziły na werandę i morze, prezydowała zawsze gospodyni, stara panna, która miała siwe włosy, bezbarwne oczy, lekko zaróżowione policzki, słaby głos świegot-ki i starała się zawsze w sposób efektowny układać na obrusie czerwone ręce. Był tam stary pan o krótkiej szyi, z szarymi bokobrodami marynarza i siną twarzą, handlarz ryb ze stolicy, władający językiem niemieckim. Zdawał się być zupełnie zatkany i mieć skłonność do apopleksji, gdyż dyszał krótko, z przerwami, od czasu do czasu podnosił wskazujący palec z sygnetem do nosa i zatykał jedną z dziurek, by silnym sapnięciem dostarczyć drugiej trochę powietrza. Niemniej

zaglądał pilnie, do butelki z okowitą, która stała przed nim przy śniadaniu, obiedzie i kolacji. Poza tym byli tam jeszcze trzej rośli amerykańscy młodzieńcy z wychowawcą czy nauczycielem domowym, który w milczeniu poprawiał swe okulary i przez cały dzień grał z wychowankami w piłkę nożną. Rude ich włosy przedzielone były w środku; wszyscy mieli długie, nieruchome twarze. „Please, give me the wurst-things there!”¹³ — mówił jeden, „That's not wurst, that's Schinken!”¹⁴ — mówił drugi i to było wszystko, co zarówno oni, jak nauczyciel wnosili do rozmowy, gdyż poza tym siedzieli cicho i pili gorącą wodę.

Tonio Kröger nie pragnął innego towarzystwa. Używał spokoju, przysłuchiwał się duńskim, gardłowym dźwiękom, jasnym i nieczystym samogłoskom, którymi porozumiewał się niekiedy handlarz ryb z gospodynią, zamieniał kiedy niekiedy z pierwszym kilka słów o stanie barometru i wstawał, by udać się przez werandę znowu na brzeg, gdzie rano spędził już długie godziny.

Czasami było tam cicho i błogo jak w lecie. Morze, leniwe i gładkie, spoczywało w smugach błękitu, zieleni i czerwieni, obsiane srebrnie migoczącymi blaskami, wodorosty wysychały w słońcu jak siano, tu i ówdzie leżały chełbie parując. Pachniało trochę zgnilizną, a trochę smołą łodzi rybackiej, o którą Tonio, siedząc na piasku, opierał się plecami, zwrócony w ten sposób,

¹³ Please, give me... (łamany jęz. angielsko-niemiecki) — proszę mi podać kiełbasę.

¹⁴ That's not... (łamany jęz. angielsko-niemiecki) — to nie kiełbasa, to szynka.

że miał przed oczyma nie szwedzki brzeg, lecz otwarty widnokrąg; ale ciche tchnienie morza owiewało wszystko czystością i świeżością.

Nastąpiły dni szare, burzliwe. Fale schylały głowy, jak byki nadstawiając rogi do ciosu, i waliły z wściekłością w brzeg, który, jak okiem sięgnąć, był schlustany i pokryty lśniąca od wilgoci trawą morską, muszlami i naniesionym drzewem. Wśród wydłużonych wzgórków fal rozpościerały się pod omglonym niebem zielonawo-pieniste dolinki; ale tam, gdzie za chmurami kryło się słońce, leżał na wodzie białawo-aksamitny blask.

Tonio Kröger stał spowity wiatrem i hukiem, zatopiony wiecznym, ciężkim, ogłuszającym hałasem, który tak bardzo kochał. Kiedy odwracał się i odchodził, wydawało się nagle dokoła niego spokojnie. i ciepło. Ale poza nim, wiedział, było morze; wzywało, wabiło, pozdrawiało. I uśmiechał się.

Szedł w głąb lądu, drogami wśród łąk, i wnet przyjmował go w swe łono bukowy las, ciągnący się daleko falistymi wzgórzami. Siadał na mchu, oparty o drzewo, tak że dostrzegał wśród pni pas morza. Niekiedy wiatr donosił doń hałas kipieli, który czynił wrażenie, jakby w oddali padały na siebie deski. Wrzask wron nad wierzchołkami drzew, zachrypły, dziki, zgubiony... Trzymał książkę na kolanach, ale nie czytał ani wiersza. Rozkoszował się głębokim zapomnieniem, swobodnym bujaniem ponad przestrzenią i czasem i tylko niekiedy zdawało się, jakby serce jego przenikał ból, krótkie, przeszywające

uczucie tęsknoty czy żalości, którego pytać o miano i źródło był zbyt leniwy i pochłonięty.

Tak minęło wiele dni, nie potrafiłby powiedzieć, ile, i nie pragnął tego wiedzieć. Potem jednak nadszedł dzień, kiedy coś się zdarzyło; zdarzyło się w czasie, gdy słońce świeciło na niebie i ludzie byli obecni, i Tonio Kröger nie był tym nawet tak nadzwyczajnie zdziwiony.

Już początek dnia układał się w sposób uroczysty i zachwycający. Tonio Kröger zbudził się bardzo wcześnie i zupełnie nagle zerwał się ze snu z jakimś nieokreślonym strachem, sądząc, że widzi cud, bajecznie czarodziejskie światło. Pokój jego, którego szklane drzwi i balkon wychodziły na Sund i który przedzielony był cienką” białą zasłoną z gazy na salon i sypialnię, posiadał barwiste tapety i lekkie, jasne meble, tak że czynił zawsze wrażenie jaśni i pogody. Teraz oczy jego ujrzały ten pokój w nieziemskiej poświacie i iluminacji, zalany nie wysłowienie słodkim a wonnym blaskiem różanym, który złocił ściany i meble i zmieniał zasłonę z gazy w łagodną czerwoną pożogę... Tonio Kröger nie mógł długo zrozumieć, co się stało. Gdy jednak stanął u drzwi szklanych i wyjrzał, przekonał się, że to wschodzi słońce.

Kilka dni było pochmurnie i dżdżysto; teraz jednak niebo roztaczało napięty, bladobłękitny jedwab, lśniący przezczysto nad wodą i lądem, i tarcza słoneczna, pocięta i otoczona na czerwono i złoto przeświecającymi chmurami, wschodziła uroczyście nad

migocącym, kędzierzawym morzem, które zdawało się pod nim drzeć dreszczem i płońać... Tak zaczął się dzień. Tonio, pomieszany i szczęśliwy, ubrał się szybko, spożył przed innymi śniadanie na werandzie, następnie z małej drewnianej budki kąpielowej wypłynął kawałek na Sund, po czym odbył godzinną przechadzkę wybrzeżem. Kiedy wrócił, przed hotelem stało kilka pojazdów w rodzaju omnibusów i Tonio spostrzegł z jadalni, że zarówno w przyległym salonie, gdzie stał fortepian, jak na werandzie i tarasie przed nią, siedziało przy okrągłych stolikach mnóstwo z waszecia ubranych ludzi i wśród żywych pogwarków piło piwo zagryzając chlebem z masłem. Były to całe rodziny, starsi i młodzi, wśród nich nawet kilkoro dzieci.

Przy drugim śniadaniu (stół zastawiony był suto zimnym mięsiwem, wędliną, sałatami i pieczysem) Tonio Kröger zasięgnął wiadomości, co to się dzieje.

— Goście! — rzekł handlarz ryb. — Wycieczkowicze i uczestnicy balu z Helsingör! Ha, niech nas Bóg strzeże, ale dziś w nocy spać nie będziemy! Będą tańce, tańce i muzyka, i boję się, że to potrwa długo. Jest to związek rodzin, wycieczka z reunionem, słowem subskrypcja czy coś podobnego; korzystają z pięknego dnia. Przyjechali łodziami i powozami, a teraz jedzą śniadanie. Potem pojedą jeszcze dalej po okolicy, ale wieczorem wrócą znowu i wtedy zacznie się tu w salonie zabawa taneczna. Tak jest, do kroćset piorunów, nie zmrużymy oka...

— Miłe urozmaicenie — rzekł Tonio Kröger.

Dłuższy czas nic nie mówiono. Gospodyni układała swe czerwone palce, handlarz ryb dmuchał przez prawą dziurkę od nosa, by zdobyć trochę powietrza. Amerykanie zaś z kwaśną miną popijali gorącą wodę.

Wtedy stało się: Janek Hansen i Ingeborga Holm przeszli przez salę.

Tonio Kröger, czując rozkoszne znużenie po kąpieli i szybkiej przechadzce, siedział wygodnie w fotelu i jadł wędzonego łososia na grzance; siedział twarzą do werandy i morza. Nagle otworzyły się drzwi i dłoń w dłoni weszła owa para, z wolna, bez pośpiechu. Ingeborga, jasnowłosa Inga, miała na sobie jasną suknię, jak zwykle na lekcjach tańca pana Knaaka. Lekka sukienka w kwiatki sięgała jej tylko do kostek, na ramionach widniał szeroki, biały kołnierz tiulowy z ostrym wycięciem, obnażającym miękka, giętą szyję. Na jedno z ramion opadała wstążka od kapelusza. Być może, że była trochę wyższa niż dawniej, i cudowny warkocz otaczał teraz jej głowę, ale Janek Hansen był taki sam jak zawsze. Miał na sobie kurtkę marynarską ze złotymi guzikami, z szerokim, niebieskim kołnierzem na ramionach i plecach; czapkę marynarską z krótkimi wstążkami trzymał w opuszczonej ręce, machając nią beztrudno. Ingeborga odwracała na bok wąsko skrojone oczy, może onieśmielona przez towarzystwo przy stole, które się na nią gapiło. Ale Janek Hansen zwracał wszystkim na przekór głowę w stronę stołu i patrzył na nich po kolei stalowoniebieskimi oczyma w sposób wyzywający, poniekąd pogardliwy;

wypuścił nawet rękę Ingeborgi i machał czapką jeszcze gwałtowniej, aby pokazać, co to z niego za zuch. Tak szli na tle błękitniejącego morza mimo Tonia i przemierzywszy salę w całej jej długości zniknęli w przeciwnych drzwiach pokoju, gdzie stał fortepian.

Stało się to o wpół do dwunastej przed południem i kiedy kuracjusze siedzieli jeszcze przy śniadaniu, towarzystwo z przyległego pokoju i werandy opuściło bocznym wyjściem hotel, nie wchodząc do jadalni. Słysząc było, jak na dworze wśród żartów i śmiechów wsiadano do powozów i jak jeden pojazd za drugim skrzypiąc ruszał z miejsca i odjeżdżał gościńcem.

— Więc oni wrócą? — spytał Tonio Kröger...

— Tak jest — rzekł handlarz ryb. — Niech Bóg nas strzeże. Zamówili muzykę, trzeba panu wiedzieć, a ja śpię tutaj nad salą.

— Miłe urozmaicenie — powtórzył Tonio Kröger. Po czym wstał i odszedł.

Spędził ten dzień jak inne, na plaży, w lesie, z książką na kolanach, i mrugał do słońca. Przeżywał tylko jedną myśl: że tamci wrócą i będą tańczyli w sali, jak zapowiedział handlarz ryb; i nie robił nic, tylko się cieszył tą trwożną i słodką radością, jakiej nie zaznał w ciągu tych długich, martwych lat. Dziwnym skojarzeniem wyobrażeń przypomniał sobie też przelotnie dalekiego znajomego, Adalberta, nowelistę, który wiedział,

czego chce, i udał się do kawiarni, aby ujść radości wiosennej. I wzruszył na myśl o nim ramionami...

Obiad spożyto wcześniej, kolację skończono również prędzej niż zwykle, w pokoju z fortepianem, gdyż w sali trwały już przygotowania do balu, i to w bardzo uroczysty sposób. Kiedy się już ściemniło i Tonio Kröger siedział w swym pokoju, znów obudziło się życie na gościńcu i w domu. Wycieczkowicze wracali; ba, z Helsingör przyjechało jeszcze kilku nowych gości rowerami i powozami i słyhać było już na dole strojenie skrzypiec i próbne dźwięki nosowe klarnetu. Bal zapowiadał się świetnie.

Niewielka orkiestra zagrała marsza: stłumione, rytmiczne dźwięki przenikały na górę; zaczęto tańce polonezem. Tonio Kröger siedział jeszcze chwilę i słuchał. Kiedy jednak tempo marsza przeszło w takt walca, wstał i wymknął się cicho z pokoju.

Z korytarza, gdzie leżał jego pokój, można było małymi schodkami dostać się do bocznych drzwi wyjściowych. Obrął tę drogę skrycie i ukradkiem, jakby znajdował się na zabronionej ścieżce, omackiem szedł wśród ciemności, nieodparcie pociągany przez tę głupią i błogo kołyszącą muzykę, której dźwięki dochodziły doń już wyraźnie, nie stłumione.

Weranda była pusta i nie oświetlona, ale szklane drzwi do sali, gdzie paliły się jasno dwie wielkie, mocnymi reflektorami opatrzone lampy naftowe, były otwarte. Tam Tonio Kröger

wśliznął się na palcach i złodziejska rozkosz, że oto stoi w ciemności i przez nikogo nie widziany podpatruje tańczących w świetle, przebiegała mu ciarkami po skórze. Pochopnie i pożądliwie wybiegały spojrzenia na spotkanie tych, których szukał...

Wesołość, zda się, rozwinęła się w pełni, choć zabawa trwała ledwie pół godziny; ale uczestnicy przyszli już rozgrzani i podnieceni po dniu spędzonym wspólnie, beztrąsko i szczęśliwie. W pokoju z fortepianem, który Tonio Kröger mógł objąć wzrokiem, odważywszy się zrobić krok naprzód, kilku starszych panów pijąc i paląc siedziało przy kartach, inni zaś z małżonkami siedzieli na przodzie i pod ścianami sali na pluszowych fotelach i przyglądali się tańcom. Opierali ręce na rozstawionych kolanach i z wyrazem zadowolenia nadymali policzki, gdy matki w stroikach na głowie, z rękoma skrzyżowanymi pod piersiami i z przechyloną na bok głową spoglądały w gwarny tłum młodzieży. Wzdłuż jednej ze ścian sali stało podium, gdzie muzykanci robili, co mogli. Była tam nawet trąba, dmąca z pewną ociągłą ostrożnością, jakby bała się własnego głosu, który mimo to co chwila załamywał się i brał górę... Jedne pary falowały i krążyły dokoła, inne przechadzały się po sali. Goście nie mieli strojów balowych, lecz ubrani byli jak w letnią niedzielę na zamiejskiej wycieczce — kawalerowie paradowali w garniturach skrojonych po małomieszczańsku, po których było widać, że szanowano je przez cały tydzień, dziewczęta w jasnych, lekkich sukienkach z bukietkami u boku. Kręciło się

po sali też kilkoro dzieci, które tańczyły na swój sposób, nawet gdy muzyka przestawała grać. Długonogi jegomość w surducie jaskółczego kroju, prowincjonalny lew w okularach, z ufryzowanymi włosami, adiunkt pocztowy czy coś podobnego, ucieleśnienie komicznej figury z duńskiego romansu, zdawał się być aranżerem i komendantem balu. Wiecznie śpieszący, spocyny, całą duszą oddany sprawie, był wszędzie jednocześnie, uwijał się niezmordowanie po sali, stawiając kunsztownie naprzód palce przy stapaniu i krzyżując w sposób zawyły stopy, tkwiące w gładkich i spiczastych trzewikach wojskowych, wymachiwał w powietrzu rękami, wydawał rozkazy, wykrzykiwał na muzykę, klaskał w dłonie i za każdym razem fruwały wstążki wielkiej, barwnej kokardy, którą jako oznakę godności przymocowaną miał do ramienia i ku której niekiedy odwracał miłośnie w przelocie głowę.

Otóż i para, która przeszła dziś w świetle słonecznym obok Tonia Krögera. Ujrzał znów owych dwoje i przestraszył się z radości, dostrzegłszy ich niemal jednocześnie. Janek Hansen stał tuż obok niego przy drzwiach; rozkraczony, nieco w przód pochylony, pochłaniał z uwagą duży kawał tortu, trzymając dłoń pod brodą, by chwytać kruszyny. A pod ścianą stała Ingeborga Holm, jasnowłosa Inga, i właśnie adiunkt śmigał koło niej, by z wyszukany ukłonem poprosić ją do tańca, przy czym jedną rękę trzymał na plecach, a drugą przyciskał do piersi; ale ona potrząsnęła głową, dając znak, że jest bez tchu i musi nieco odpocząć, wobec czego adiunkt usiadł obok niej.

Tonio Kröger patrzył na nią, patrzył na nich oboje, dla których cierpiał niegdyś miłościwie — na Janka i Ingeborgę. Byli ci sami nie tyle dzięki poszczególnym cechom i podobieństwu stroju, ile przez równość rasy i typu, tego jasnego, modrookiego i jasnowłosego gatunku, który wywołuje wrażenie czystości, niezmacenia, pogody i jednocześnie dumnej, prostej, nietykalnej nieprzystępności... Patrzył na nich, patrzył na Janka, który, zuchwały i dobrze zbudowany, szeroki w barach i wąski w biodrach, stał w marynarskim ubraniu; patrzył na Ingeborgę, która śmiejąc się w pewien swawolny sposób odrzucała w tył głowę, w pewien sposób podniosła niezbyt wąską, niezbyt delikatną rękę dziewczęcą do skroni, przy czym lekki rękaw zsunął się jej z łokcia — i nagle tęsknota przeszła jego pierś taką boleścią, że mimo woli cofnął się w mrok, by nikt nie zauważył drgania jego twarzy.

„Czyżem zapomniał was? — spytał. — Nie, nigdy! Ani ciebie, Janku, ani ciebie, jasnowłosa Ingo! Wszakże dla was to pracowałem i kiedy zdobywałem poklask, rozglądałem się ukradkiem, czy jesteście obecni... Czyś przeczytał już «Don Carlosa», jak obiecałeś mi przy furcie ogrodowej? Nie rób tego, nie żądam już tego od ciebie. Co cię obchodzi król, który płacze, gdyż jest samotny? Nie zasmucaj i nie ogłupiaj swych jasnych oczu ślęczeniem nad wierszami i melancholią... O, gdyby być takim jak ty! Zacząć raz jeszcze od początku, rósć jak ty, uczciwie, wesoło, po prostu, prawidłowo, porządnie, w zgodzie z Bogiem i światem, być kochanym przez ludzi beztroskich i

szczęśliwych, wziąć ciebie za żonę, Ingeborgo Holm, i mieć syna takiego jak ty, Janku Hansenie — nie znając klątwy poznania i męki twórczej, żyć, kochać i sławić życie w jego błogostawionej codzienności... Jeszcze raz zacząć? To by nic nie pomogło. Znowy byłoby tak samo, wszystko znów stałoby się, jak się stało. Gdyż niektórzy ludzie z konieczności schodzą na manowce, ponieważ właściwej drogi w ogóle dla nich nie ma.”

Teraz muzyka zamilkła; nastąpiła pauza, podawano chłodzące napoje. Adiunkt osobiście obiegał salę dokoła z tacą pełną śledziowej sałaty i obsługiwał damom; ale przed Ingeborgą przykląkł nawet, podając jej talerzyk, ona zaś zarumieniła się z radości.

Zaczęto w sali zwracać uwagę na widza pod szklanymi drzwiami i ładne, rozgrzane twarze zwracały się doń z obcym, badawczym spojrzeniem; ale on pozostał na miejscu. Również Ingeborgą i Janek rzucili nań niemal jednocześnie okiem z tą doskonałą obojętnością, która ma niemal pozór pogardy. Jednak nagle uświadomił sobie, że spoczywa na nim czyjeś spojrzenie... Odwrócił głowę i natychmiast napotkał oczy, których dotknięcie wyczuł. Niedaleko niego stała dziewczyna o bladej, wąskiej, delikatnej twarzy, którą zauważył już przedtem. Nie tańczyła wiele, kawalerowie niezbyt dobijali się o nią, więc siedziała pod ścianą samotna, z zaciśniętymi cierpko ustami. Teraz też stała sama. Miała na sobie, jak inne, sukienkę jasną i wonną, ale spod przejrzystej tkaniny wyzierały nagie ramiona, ostre i wątłe, a chuda szyja tkwiła tak głęboko wśród mizernych barków, że

cicha dziewczyna zdawała się nawet nieco ułomna. Ręce swe w cienkich, krótkich rękawiczkach trzymała na piersiach, tak że końce palców się stykały. Spuściwszy głowę spoglądała na Tonia Krögera ciemnymi, wilgotnymi oczyma. Odwrócił się...

Tuż blisko, obok niego, siedzieli Janek i Ingeborga. On przysiadł się do niej, zapewne swej duszy siostrzanej, i otoczeni innymi rumianymi twarzami jedli i pili, gawędzili i bawili się, przekomarzali dźwięcznymi głosami i śmiali się głośno. Czyż nie mógł zbliżyć się do nich na chwilę? Zwrócić się do niego lub do niej żartobliwym słówkiem, które mu przyjdzie na myśl i na które musieliby odpowiedzieć choćby uśmiechem? Byłby szczęśliwy, pragnął tego; wróciłby potem do pokoju weselszy, z tą świadomością, że nawiązał znów z nimi jakąś małą nić. Wiedział, co mógłby powiedzieć, ale nie miał odwagi. Byłoby jak zawsze — nie zrozumieliby go, słuchaliby zdziwieni, co mówi. Gdyż język ich nie był jego językiem.

Widać znów miały zacząć się tańce. Adiunkt rozwijał szeroką działalność. Biegał dokoła i zachęcał wszystkich do angażowania, usuwał z pomocą kelnera krzesła i szklanki z drogi, dawał muzykantom rozkazy i popychał przed sobą kilku niezgrabiaszów, którzy nie wiedzieli, co robić. Co to miało być? Po cztery pary tworzyły carré. Straszne wspomnienie wywołało rumieniec na twarzy Tonia Krögera. Tańczono kadryla.

Zabrzmiała muzyka i pary z ukłonem przeszły na drugą stronę. Adiunkt objął komendę; komenderował, Bóg świadkiem,

po francusku i wymawiał nosówki z nieporównaną dystynkcją. Ingeborga Holm tańczyła tuż przed Toniem Krögerem w kwadracie koło drzwi szklanych. Poruszała się przed nim tam i sam, naprzód i w tył, stając i okręcając się; woń płynąca z jej włosów czy delikatnej tkaniny sukni muskała go chwilami, więc zamykał oczy z dobrze znanym mu z dawna uczuciem, którego aromat i cierpki czar przenikał go lekko w ostatnich dniach i które napełniało go znów słodką udręką. Co to było? Tęsknota? Tkliwość? Zazdrość, samopogarda?... Moulinet des dames! „Śmiałaś się, jasnowłosa Ingo, śmiałaś się, gdy tańczyłem moulinet i zbłądziłem się tak żałośnie? I śmiałabyś się dziś jeszcze, gdy stałem się czymś w rodzaju sławnego człowieka? Tak jest, śmiałabyś się i miałabyś po trzykroć słuszność! I gdybym ja, sam jeden, stworzył dziewięć Symfonii, Świat jako wolę i wyobrażenie i Sąd Ostateczny, miałabyś wiecznie prawo śmiać się ze mnie...” Patrzył na nią i przyszedł mu na myśl wiersz, którego długi czas nie mógł sobie przypomnieć, a który jednak był mu tak znany i bliski: „Pragnąłbym spać; ale ty tańczyć musisz!” Znał tak dobrze tę melancholijnie północną, serdecznie niezgrabną ociężałość wrażenia, które stamtąd biło. Spać... Tęsknić do tego, aby móc żyć po prostu i zupełnie dla uczucia, które, nie zobowiązując się do przemiany w czyn i taniec, słodko i gnuśnie spoczywa w sobie, a jednak musieć tańczyć, szybko i przytomnie wykonywać ciężki, trudny i niebezpieczny taniec sztuki, taniec wśród mieczów, nie zapominając nigdy całkowicie o upokarzającej nedorzeczności, tkwiącej w musie tańca, kiedy się kocha... Nagle wszystko to

przeszło w szalony i rozpętany wir. Czworoboki rozpadły się i wszyscy rozpierzchli się w posuwistych podskokach; kończono kadryla galopadą. W ślad za wściekłym rytmem muzyki przemykały pary mimo Tonia Krögera, pędząc, śpiesząc, prześcigając się wśród krótkich, zdyszanych pośmiechów. Zbliżała się jedna z nich, porwana ogólną gonitwą, krążąc i szumiąc. Dziewczyna miała bladą, delikatną twarz i chude, za wysokie ramiona. Nagle tuż przed nim potknięcie, poślizgnięcie, runięcie... Błada dziewczyna upadła. Upadła tak twardo i potężnie, że wyglądało to bardzo niebezpiecznie, a z nią upadł jej danser. Gość musiał się potłuc tak porządnie, że zapomniał o swej damie, gdy podniósłszy się na pół, zaczął krzywiąc się nacierać rękami kolana, dziewczyna zaś, na pozór zupełnie ogłuszona upadkiem, leżała wciąż jeszcze na ziemi. Wtedy wystąpił Tonio Kröger, wziął ją delikatnie na ręce i podniósł. Spojrzała nań, zziajana, zmieszana, nieszczęśliwa, i nagle blada twarz jej okryła się matowym rumieńcem.

— Tak! O, mange tak!¹⁵ — rzekła patrząc nań z podłogi ciemnymi, wilgotnymi oczyma.

— Nie powinna pani już tańczyć — rzekł łagodnie. Potem raz jeszcze obejrzał się na tamtych, na Janka i Ingeborgę, po czym wyszedł, opuścił werandę i bal, udając się do swego pokoju.

¹⁵ Tak! O, mange tak! (duński) — Dziękuję! O, bardzo dziękuję!

Był odurzony zabawą, w której nie brał udziału, i zmęczony zazdrością. Jak dawniej, był taki jak dawniej! Z rozpaloną twarzą stał w ciemnym miejscu, bolejąc po was, o jasnowłosi, pełni życia szczęśliwcy, po czym odszedł samotny do siebie. Teraz ktoś powinien by przyjść! Ingeborga winna by przyjść, winna by zauważyć, że odszedł, winna by pójść za nim ukradkiem, położyć mu dłoń na ramieniu i rzec: „Wróc do nas! Baw się! Kocham ciebie!...” Ale nie przychodziła. Takie rzeczy nie zdarzają się. Było tak jak wtedy i był szczęśliwy jak wtedy. Gdyż serce jego żyło. Co było natomiast w całym tym czasie, w ciągu którego stał się tym, czym był teraz? — Drętwa; pustka; lód; i duch! I Sztuka!...

Rozebrał się, położył do łóżka, zgasił światło. Szepnął dwa imiona do poduszki, tych kilka niewinnych, nordyckich zgłosek, które określały dlań jego właściwy i pierwotny rodzaj kochania, cierpienia i szczęścia, życie, pełne prostoty i serdeczne uczucie, gniazdo rodzinne. Spojrzał wstecz na owe lata od tamtych czasów do dnia dzisiejszego. Wspomniął dzikie przygody zmysłów, nerwów i myśli, które przeżył, ujrzał, że jest przeżarty ironią i intelektem, że jest zniszczony i sparaliżowany przez poznanie, na pół zrujnowany gorączkami i dreszczami tworzenia, pozbawiony oparcia i pełen niepokojów sumienia wśród jaskrawych sprzeczności, miotany między świętością i chucią, przerafinowany, zubożały, wyczerpany zimnymi, sztucznie wybranymi ekstazami, zbłąkany, spustoszony, rozbity, chory — i załkał z żalu i tęsknoty.

Dokoła było cicho i ciemno. Ale z dołu dochodził w stłumionym, kołyszącym pogłosie słodki, trywialny, trzyćwierciowy takt życia.

Tonio Kröger siedział na północy i pisał do przyjaciółki swej, Lizawety Iwanowny, jak jej obiecał.

Droga Lizaweto, przebywająca w Arkadii, dokąd niebawem powrócę — pisał. — Oto coś w rodzaju listu, co jednak pewnie panią rozczaruje, gdyż zamierzam utrzymać go w tonie nieco ogólnikowym. Nie znaczy to, bym nie miał nic do opowiedzenia, bym nie przeżył na swój sposób tego i owego. W domu, w moim mieście rodzinnym, chciano mnie nawet uwięzić... ale o tym opowiem osobiście. Są takie dni, kiedy wolę rzec w dobry sposób coś ogólnego niż opowiadać historie.

Czy pamięta pani jeszcze, Lizaweto, że nazwała mnie pani raz mieszczuchem, zbląkanym mieszczuchem? Nazwała mnie pani tak w chwili, kiedy zwiedziony innymi wyznaniem, które przedtem wyrwały mi się z ust, oświadczyłem swą miłość ku temu, co nazywam życiem; i pytam siebie, czy pani wiedziała, jak wielką rzekła pani prawdę, jak bardzo moje mieszczuchostwo i moja miłość do „życia” są tym samym. Podróż dała mi sposobność rozważyć to właśnie...

Ojciec mój, widzi pani, posiadał temperament północny: był rozważny, gruntowny, poprawny przez purytanizm i skłonny do smutku; matka nieokreślenie egzotycznej krwi, piękna, zmysłowa, naiwna, jednocześnie niedbała i namiętna, impulsywnie opieszła. Niewątpliwie była to mieszanina, która kryła w sobie niezwykle możliwości i... niezwykle niebezpieczeństwa. Oto co z tego wynikło: mieszcuch zabłąkany w dziedzinę sztuki. Cygan tęskniący do dobrego wychowania, artysta z nieczystym sumieniem. Gdyż właśnie sumienie mieszczańskie każe mi widzieć we wszelkim artyzmie, w każdej nadzwyczajności i genialności coś głęboko dwuznacznego, podejrzanego, wątpliwego i napętnia mnie tą pełną miłości słabością do wszystkiego, co proste, serdeczne i przyjemnie normalne, niegenialne i przyzwoite.

Stoję na granicy dwóch światów, w żadnym nie czuję się u siebie, stąd jest mi trochę ciężko. Wy, artyści, nazywacie mnie mieszcuchem, a mieszcuchy chcą mnie uwięzić... nie wiem, co z dwojga boli mnie bardziej. Mieszcuchy to głupcy; ale wy, wielbiciele piękna, którzy nazywacie mnie flegmatycznym i pozbawionym tęsknoty, powinniście pamiętać, że istnieje artyzm tak głęboki, tak związany z początkiem i losem człowieka, że nie ma dlań słodszej i godniejszej odczuwania nad tęsknotą ku rozkoszom zwyczajności.

Podziwiam dumnych i chłodnych, którzy szukają przygód na ścieżkach wielkiego, demonicznego piękna i gardzą „człowiekiem” — ale im nie zazdroszczę. Bo jeśli co może z literata

uczynić poetę, to tylko ta moja mieszczańska miłość do tego, co ludzkie, żywe i zwyczajne. Wszelkie ciepło, wszelka dobroć, wszelki humor z niej wyptywa i zdaje mi się niemal, jakby była sama ową miłością, o której napisano, że choćby człowiek mówił wszystkimi językami ludzkimi i anielskimi, bez niej jest jak cymbał brzęiący i jak miedź brzęcząca.

To, co zrobiłem, jest nic, niewiele, tyle co nic. Zrobię coś lepszego, Lizaweto — przyrzekam. Kiedy to piszę, słyszę szum morza i zamykam oczy. Spoglądam w nie urodzony, schematyczny świat, który pragnie, aby go stworzyć i ukształtować, spoglądam w rojowisko cieni postaci ludzkich, które kiwają ku mnie, abym je zaklął i wyzwolił: cienie tragiczne i śmieszne, i śmieszno-tragiczne — i jestem do nich bardzo przywiązany. Ale najgłębsza i najskrytsza miłość moja należy do jasnowłosych i błękitnookich, do jasnych, żywych, szczęśliwych, miłych i zwyczajnych.

Niech pani nie gani tej miłości, Lizaweto; jest ona dobra i owocna. Tkwi w niej tęsknota i smutna zazdrość, i odrobina pogardy, i zgoła niewinna szczęśliwość.

KATASTROFA KOLEJOWA

(1907)

Opowiedzieć coś? Ależ nic nie wiem. Dobrze, więc coś opowiem.

Pewnego razu, będzie już dwa lata temu, uczestniczyłem w katastrofie kolejowej — niektóre szczegóły stoją mi jasno przed oczyma.

Nie była to katastrofa pierwszorzędna, żadna harmonia z „ciałami nie do rozpoznania” i tak dalej, wcale nie. Ale jednak prawdziwa katastrofa kolejowa z wszelkimi dodatkami, i poza tym w porze nocnej. Nie każdy tego doświadczył, dlatego uraczę was tym.

Jechałem wtedy do Drezna, zaproszony przez miłośników literatury. Więc podróż artystyczno-wirtuozowska, jakie od czasu do czasu chętnie podejmuję. Człowiek reprezentuje, występuje, pokazuje się wykrzykującemu tłumowi; nie na darmo jest się poddanym Wilhelma II. Także Drezno jest przecież piękne (zwłaszcza Zwinger), a potem chciałem na tydzień lub dwa pojechać do „Białego Jelenia”, aby się trochę poleczyć i, jeśli przy pomocy „aplikacji” natchnienie mi dopisze, także popracować. W tym celu włożyłem naprzód do kufra mój

rękopis wraz z materiałem notatkowym, pokaźny zwój w brązowym papierze do pakowania, obwiązany mocnym szpagatem w bawarskich barwach.

Lubię podróżować z komfortem, zwłaszcza gdy mi go opłacają. Jechałem więc wagonem sypialnym, dzień przedtem zapewniałem sobie przedział pierwszej klasy i byłem bezpieczny. Mimo to miałem gorączkę, jak zawsze w takich wypadkach, gdyż wyjazd pozostaje przygodą i nigdy nie otrzaskam się ze sprawami podróży. Wiem doskonale, że pociąg nocny do Drezna odjeżdża zwyczajnie, co wieczór z głównego dworca w Monachium i jest co rano w Dreźnie. Ale jeśli sam nim jadę i mój ważny los zwiążuję z jego losem, to jest przecież wielka sprawa. Nie mogę się wtedy pozbyć myśli, że jedzie on jedynie dzisiaj i dla mnie, i ten niedorzeczny pomysł powoduje ciche, głębokie zdenerwowanie, które ustaje nie prędzej, aż wszystkie kłopoty wyjazdowe, pakowanie kufra, jazdę obciążoną dorożką na dworzec, przyjazd na miejsce, nadanie bagażu, mam już za sobą i wiem, że jestem ostatecznie ulokowany i bezpieczny. Wtedy oczywiście następuje błogie odprężenie, myśl zwraca się ku nowym rzeczom, wielka obczyzna Otwiera się tam, za łukami szklanego sklepienia, i radosne oczekiwanie owłada umysłem.

Tak było też wtedy. Nagrodziłem hojnie niosącego mój pakunek, tak że zdjął czapkę i życzył mi szczęśliwej podróży, i stałem paląc wieczorne cygaro przy oknie w korytarzu wagonu sypialnego, przyglądając się ruchowi na peronie. Słysząc było

syk i turkot, pośpiech, pożegnania i śpiewne wołania sprzedawców gazet i chłodzących napojów, a ponad wszystkim płonęły wielkie elektryczne księżycy w mgle październikowego wieczoru. Dwaj rośli mężczyźni ciągnęli ręczny wóz z wielkimi pakunkami wzdłuż pociągu ku bagażowemu wozowi. Poznałem po pewnych szczególnych znakach mój własny kufer. Oto leżał, jak jeden wśród wielu, a na jego dnie spoczywał drogocenny zwój. „Nie ma obawy — myślałem — jest w dobrych rękach! Spójrz na tego konduktora ze skórzanym pasem, z potężnym wąsem wachmistrza i surowo czujnym spojrzeniem. Patrz, jak wrzasnął na tę starą kobietę w wyszarzałej czarnej mantyli, bo o mały włos nie wsiadła do drugiej klasy. To jest państwo, nasz ojciec, autorytet i bezpieczeństwo. Nie obcuje się z nim chętnie, jest surowy, jest szorstki, jest nawet gburowaty, ale można polegać na nim, a kufer jest bezpieczny jak na łonie Abrahama”.

Jakiś pan spaceruje po peronie, w getrach i żółtej jesionce, prowadząc psa na smyczy. Nigdy nie widziałem ładniejszego pieska. Jest to krępy buldog, lśniący, muskularny, z czarnymi plamami i tak wytresowany i zabawny, jak pieski, które widzi się niekiedy w cyrku i które rozweselają publiczność, gdy z całych sił swego małego ciała pędzą dokoła areny. Pies ma na karku srebrną obrozę, a smycz jego spleciona jest z kolorowej skóry. Ale wszystko to nie może dziwić wobec jego pana, pana w getrach, który z pewnością jest arcyszlacheckiego pochodzenia. Ma monokl w oku, co nadaje mu sprytniejszą minę nie wykrzywając jej, a wąsy jego są butnie nastroszone, przez

co kąty ust jak i broda nabierają pogardliwego i energicznego wyrazu. Zwraca się z pytaniem do marsowego konduktora i prosty ten człowiek, który dokładnie czuje, z kim ma do czynienia, odpowiada mu z ręką przy czapce. Więc pan przechadza się dalej, zadowolony z efektu swej osoby. Przechadza się pewny w swych gestach, z twarzą zimną, surowo mierzy okiem ludzi i rzeczy. Nie zna gorączki kolejowej, widać to po nim jasno; coś takiego jak wyjazd nie jest dla niego przygodą. Czuje się w życiu jak u siebie, bez niepokoju wobec jego urządzeń i potęg, on sam należy do tych potęg, słowem: pan. Nie mogę się go napatrzeć do syta.

Gdy uznał, że już czas, wszedł (konduktor właśnie odwrócił się plecami). Przechodzi korytarzem poza mną i choć mnie potrącił, nie mówi: „Pardon”. Co za pan! Ale to nic wobec tego, co następuje. Pan, nie drgnąwszy nawet, zabiera swego psa z sobą do przedziału sypialnego! Jest to niewątpliwie wzbronione. Jakżebym ja śmiał zabrać psa do wagonu sypialnego! Ale czyni to mocą swego pańskiego prawa w życiu i zamyka za sobą drzwi.

Gwizdek, lokomotywa odpowiada, pociąg łagodnie rusza. Postąłem jeszcze chwilę przy oknie, widziałem pozostałych kiwających ręką ludzi, żelazny most, bujające się i wędrujące światła... Potem cofnąłem się w głąb wozu.

Wagon sypialny nie był zbyt zapełniony; przedział obok mojego był pusty i nie był przygotowany do spania, więc

postanowiłem rozgościć się w nim dla godziny spokojnego czytania. Poszedłem po książkę i zagospodarowałem się. Sofa pokryta była jedwabistym, łososiowej barwy materiałem, na składanym stole stała popielniczka, gaz palił się jasno. Paląc czytałem.

Konduktor wozu sypialnego wchodzi służbowo, prosi o bilet i podaję go jego czarniawym rękami. Mówi grzecznie, ale w sposób czysto urzędowy, oszczędza sobie życzenia „dobrej nocy” człowiekowi dla człowieka i wychodzi, aby zapukać do przyległego przedziału. Ale winien był tego zaniechać, gdyż tam przebywał pan w getrach, i czy to dlatego, że pan nie chciał zdradzić się ze swym pieskiem, czy też, że już się położył, słowem, strasznie się rozgniewał, że ktoś pozwolił sobie go niepokoić, i pomimo łoskotu pociągu usłyszałem przez cienką ścianę bezpośredni i żywiołowy wybuch jego złości. — Cóż to?! — krzyczał. — Daj mi pokój, małpi chwoście! — Użył wyrazu „małpi chwoście” — był to wyraz pański, wyraz jezdziecki i kawaleryjski, podnoszący na duchu słuchacza. Ale konduktor wagonu sypialnego wdał się w układy, gdyż musiał naprawdę mieć bilet pana, a ponieważ wyszedłem na korytarz, aby śledzić wszystko dokładnie, więc widziałem też, jak drzwi pana krótkim pchnięciem otworzyły się trochę i bilet frunął konduktorowi w twarz, gwałtownie i mocno, wprost w twarz. Chwycił go w obie ręce i choć rogiem zeszytu dostał w oko, tak że zaszło łzami, zsunął nogi i podziękował z ręką przy czapce. Wstrząśnięty wróciłem do książki.

Rozważam, co by mi przeszkadzało wypalić jeszcze jedno cygaro, i uznaję, że nie ma nic takiego. Więc palę jeszcze jedno wśród łośkotu i czytania i czuję się dobrze i pełen myśli. Czas mija, jest dziesiąta, pół do jedenastej lub później, pasażerowie wagonu sypialnego udali się wszyscy na spoczynek, w końcu postanawiam uczynić to samo.

Więc wstaję i idę do mego przedziału. Prawdziwa zbytkowna sypialenka z wytłaczanymi skórzanymi tapetami, z wieszadłami na rzeczy i z niklowaną miednicą. Pościel śnieżna przygotowana, kołdra zapraszająco odgarnięta. „O wielka nowoczesności! — myślę. — Człowiek kładzie się do tego łóżka jak w domu, trzęsie się trochę przez noc i skutek jest ten, że znajduje się rano w Dreźnie”. Zdjąłem torbę podróżną z siatki, aby się przebrać. Podniesionymi rękami trzymam ją nad głową.

W tej chwili zachodzi wypadek kolejowy. Pamiętam jak dziś.

Nastąpił wstrząs — ale „wstrząs” to mało. Był to wstrząs, który natychmiast zaznaczył się bezwarunkowo złośliwie, ohydnie trzeszczący wstrząs i tak gwałtowny, że torba podróżna nie wiem dokąd wyleciała mi z ręki, a ja sam zostałem boleśnie rzucony ramieniem o ścianę. Przy tym nie było czasu do oprzytomnienia. Ale potem zaczął wóz miotać się straszliwie i podczas tego miotania ustąpił na chwilę strach. Wóz może miotać się przy zwrotnicach, na ostrych krzywiznach, to wiadomo. Ale to miotało tak, że nie było można ustać, tylko

leciało się od ściany do ściany, czekając, że wóz się przewróci. Myślałem coś bardzo prostego, ale myślałem to z wielkim skupieniem i stanowczością. Myślałem: „To niedobrze, to bardzo niedobrze, to w każdym razie niedobrze”. Dosłownie. Poza tym myślałem: „Stać! Stać! Stać!” — Bo wiedziałem, że jeśli pociąg stanie, będzie daleko lepiej. I oto, na mój cichy i gorący rozkaz, pociąg stanął.

Do tej chwili śmiertelne milczenie panowało w wagonie sypialnym. Teraz wybuchnął strach. Przeróżliwe krzyki kobiece mieszały się z głuchymi głosami przestachu mężczyzn. Obok siebie słyszę wołanie: — Na pomoc! — i niewątpliwie jest to głos, który przedtem użył wyrażenia „małpi chwoście”, głos pana w getrach, jego zmieniony strachem głos. — Na pomoc! — woła i w chwili, gdy wychodzę na korytarz, gdzie zbiegli się pasażerowie, wypada on w jedwabnej pidżamie z swego przedziału i stoi z błędnymi oczami. — Wielki Boże! — mówi — wszechmocny Boże! — I aby się zupełnie ukorzyć i w ten sposób może odwrócić od siebie zagładę, mówi jeszcze w zgorzkniałym tonie: — Boże drogi... — Ale nagle przypomina sobie coś innego i ucieka się do samopomocy. Rzuca się ku ściennej szafce, w której na wszelki wypadek znajduje się siekierka i piłka, tłucze pięścią szybę, ale ponieważ nie może zaraz dostać się do nich, pozostawia skrzynkę w spokoju, toruje sobie dzikimi szturchańcami drogę przez zgromadzonych pasażerów, tak że półnagie kobiety znowu wrzeszczą, i wyskakuje na dwór.

Było to dziełem chwili. Poczułem dopiero teraz strach: pewne osłabienie w grzbiecie, przejściową niezdolność przetykania. Wszyscy oblegali czarnorekiego urzędnika wagonu sypialnego, który z czerwonymi oczami zjawił się również, kobiety z gołymi ramionami i plecami załamywały dłonie.

Było to wykolejenie, tłumaczył ten człowiek, wykoleiliśmy się. Co nie było trafne, jak się później okazało. Ale patrzcie, człowiek ten stał się w tych warunkach rozmowny, porzucił swą urzędową rzeczowość, wielkie zdarzenia rozwiązały mu język i mówi poufale o swojej żonie. — Powiedziałem jeszcze do mojej żony: „Żono — powiadam — czuję, jakby się dziś miało coś stać”. No, i czy może nie stało się coś? — Tak, wszyscy przyznali mu słuszność. Dym, gęsty dym kłębił się w wagonie, nie wiadomo skąd, więc woleliśmy wszyscy wynieść się w ciemną noc.

Możliwe to było tylko za pomocą bardzo wysokiego skoku z platformy na nasyp kolejowy, gdyż nie było peronu i poza tym nasz wagon stał widocznie krzywo, pochylony w przeciwną stronę. Ale damy, które szybko zakryły swą nagość, zeskakiwały desperacko i wnet staliśmy wszyscy pomiędzy szynami.

Mimo prawie całkowitej ciemności, widać było, że poza nami wagonom nic nie brakowało, choć stały skośnie. Ale z przodu — piętnaście czy dwadzieścia kroków przed nami! Nie darmo uderzenie tak strasznie zatrzeszczało. Tam była pustynia

szczątków — widać było jej brzegi, gdy się kto zbliżył, i błądziły po nich małe latarki konduktorów.

Przychodziły stamtąd wiadomości, zdenerwowani ludzie przynosili meldunki o sytuacji. Znajdowaliśmy się tuż przy małej stacyjce, niedaleko Regensburga, i wskutek uszkodzenia zwrotnicy nasz pociąg pośpieszny wpadł na fałszywy tor i w pełnym biegu wjechał z tyłu na stojący tam pociąg towarowy, wyrzucił go ze stacji, zmiażdżył jego tylną część i sam mocno ucierpiał. Wielka pośpieszna lokomotywa firmy Maffei w Monachium była zniszczona, rozbita. Cena siedemdziesiąt tysięcy marek. A w przednich wagonach, które leżały prawie na boku, ławki częściowo były wsunięte w siebie. Nie, straty w ludziach, Bogu dzięki, nie było, nie można się skarżyć. Mówiono o jakiejś starej kobiecie, którą „wyciągnięto”, ale nikt jej nie widział. W każdym razie poprzewracało ludzi na kupę, dzieci leżały pogrzebane pod pakunkami, przerażenie było wielkie. Wagon bagażowy był zdruzgotany. Co się stało z wagonem bagażowym? Był zdruzgotany.

Stałem...

Urzędnik biegnie bez czapki wzdłuż wagonu; jest to zawiadowca stacji, dziko i płacząco wydaje rozkazy pasażerom, by utrzymać ich w karności i z torów posłać do wagonów. Ale nikt na niego nie zważa, gdyż jest bez czapki i opanowania. Politowania godny człowiek! On ponosi z

pewnością odpowiedzialność. Może kariera jego skończyła się, życie zrujnowane. Nie byłoby rzeczą taktowną pytać go o bagaż.

Nadchodzi inny urzędnik, kuleje i poznaję go po wachmistrzowskim wąsie. Jest to konduktor, szorstko-czujny konduktor z dzisiejszego wieczora, państwo, nasz ojciec. Kuleje zgarbiony, z jedną ręką opartą o kolano, i nie troszczy się o nic poza tym swoim kolanem. — Ach, ach! — mówi — Ach! — No, no, co się stało? — Ach, mój panie, ustrzągłem tam przecież, przygniotło mi przecież piersi, wydostałem się przez dach, ach, ach! — To „wydostanie się przez dach” miało posmak sprawozdania dziennikarskiego, ten człowiek nie używał z pewnością z reguły słowa „wydostać się”, przeżywał nie tyle swe nieszczęście, ile raczej sprawozdanie ze swego nieszczęścia, ale cóż mi z tego? Nie był w stanie udzielić mi wiadomości o mym rękopisie. I spytałem o bagaż młodego człowieka, który rażny, ważny i podniecony wracał z pustyni szczątków.

— Ba, mój panie, nikt nie wie, jak tam wygląda! — Jego ton znaczył dla mnie, że powinienem się cieszyć, iż wyszedłem z całymi członkami. — Tam wszystko leży pomieszane. Damskie buciki... — rzekł z dzikim gestem zniszczenia i zmarszczył nos. — Roboty porządkowe muszą to wykazać. Damskie buciki...

Stałem. Stałem sobie samotnie wśród nocy na szynach i badałem swe serce. Ma się uprzątnąć mój rękopis. Więc zniszczony, potargany, zmiażdżony prawdopodobnie. Mój ul, moja kunsztowna pajęczyna, przemyślna nora lisia, duma i

mozół, moja najlepsza część. Cóż zrobię, jeśli tak się ma sprawa? Nie mam kopii tego, co już istniało, co było już spokojne i sklecone, już żyło i dźwięczało — nie mówiąc już o moich notatkach i studiach, o zebranym, zdobytym, podsłuchanym, wyłudzonego zapasie materiału. Cóż więc pocznę? Badałem się dokładnie i poznałem, że zacznę od początku. Tak, ze zwierzęcą cierpliwością, z zaciętością jakiegoś nisko stojącego stworzonka, któremu zburzono przedziwne, skomplikowane dzieło jego przemyślności i pilności, zacznę po chwili pomieszania i bezradności całość na nowo i może tym razem pójdzie to łatwiej...

Ale tymczasem przybyła straż pożarna z pochodniami, które rzucały czerwone światło na pustynię szczątków, i gdy podszedłem naprzód, by spojrzeć na wagon bagażowy, pokazało się, że był niemal cały i że kufrom nic się nie stało. Rzeczy i towary, które tam leżały rozrzucone, pochodziły z pociągu towarowego, niezliczona ilość kłębków szpagatu, morze kłębków szpagatu, które szeroko pokrywały ziemię.

Wtedy ulżyło mi i wmieszałem się między ludzi, którzy stali i gawędzili, i przyjaźnili się z okazji swego nieszczęścia, i blago wali, i przechwalali się. Tyle było pewne, że kierownik pociągu dzielnie się spisał i zapobiegł wielkiemu nieszczęściu, pociągając w ostatniej chwili za hamulec bezpieczeństwa. Inaczej, mówiono, zrobiłaby się niechybnie ogólna harmonia, i pociąg byłby z pewnością spadł z bardzo wysokiej szkarpy po lewej. Godzien pochwały kierownik pociągu! Nie pokazywał

się, nikt go nie widział. Ale sława jego rozprzestrzeniła się wzdłuż całego pociągu i my wszyscy chwaliliśmy go w jego nieobecności. — Ten człowiek — rzekł jakiś pan wskazując wyciągniętą ręką gdzieś w noc — ten człowiek uratował nam życie. — I wszyscy przytaknęli.

Ale nasz pociąg stał na torze niewłaściwym i trzeba było go cofnąć, aby jaki inny nie najechał go z tyłu, więc ludzie ze straży pożarnej ustawili się ze smolnymi pochodniami przy ostatnim wozie i również podniecony młody człowiek, który tak bardzo zaniepokoił mnie swymi damskimi bucikami, pochwycił pochodnię i wywijał nią sygnalizując, choć nigdzie nie było widać żadnego pociągu.

I stopniowo, stopniowo coś jakby porządek zapanowało dokoła i państwo, nasz ojciec, odzyskało znów postawę i szacunek. Telegrafowano i poczyniono wszystkie kroki, pociąg pomocniczy z Regensburga dymiąc wjechał ostrożnie na stację, a na miejscu katastrofy ustawiono lampy gazowe z reflektorami. My, pasażerowie, zostaliśmy wysiedleni i kazano nam w domku stacyjnym czekać wysłania w dalszą drogę. Obładowani ręcznymi pakunkami, po części z zawiązanymi głowami, ciągnęliśmy wśród szpaleru ciekawych tubylców do małej poczekalni, gdzie wtłoczyliśmy się, jak się dało. I znowu po godzinie upchaliśmy się na chybił trafił w specjalnym pociągu.

Miałem bilet pierwszej klasy (gdyż opłacono mi podróż), ale to nic nie pomogło, bo każdy wolał pierwszą klasę i te

przedziały były jeszcze pełniejsze niż tamte. Jednak gdy znalazł sobie miejsce, kogóż to spostrzegam na skos ode mnie wciśniętego w kącik? Pana w getrach, z kawaleryjskimi wyrazami, mojego bohatera. Nie ma pieska przy sobie, odebrano mu go, piesek siedzi, wbrew wszelkim pańskim prawom, w ciemnym więzieniu za lokomotywą i wyje. Pan ma też żółty bilet, który mu nie pomaga, i mruczy, próbuje buntować się przeciw komunizmowi, przeciw wielkiemu wyrównaniu przed majestatem nieszczęścia. Ale jakiś człowiek odpowiada mu poczciwym głosem: — Bądź pan kontent, że siedzisz! — I kwaśno uśmiechnięty pan poddaje się szalonej sytuacji.

Któż to wchodzi oparty na dwóch strażakach? Mała staruszka, babunia w zniszczonej mantylce, ta sama, która w Monachium o mały włos byłaby wsiadła do drugiej klasy. — Czy to pierwsza klasa? — pyta ciągle. — Czy to naprawdę pierwsza klasa? — I gdy ją upewniono i zrobiono jej miejsce, siada z cichym — Bóg zapłać! — na pluszowej poduszce, jak gdyby dopiero teraz została uratowana.

W Hof była godzina piąta i jasno. Tam zjadłem śniadanie i tam zabrał mnie pośpieszny, który mnie i moje manatki dowiózł do Drezna z trzygodzinnym opóźnieniem.

Tak, to była katastrofa kolejowa, którą przeżyłem. Raz musiało się to stać przecie. I chociaż logicy protestują, sądzę, że mam poważne szanse, iż tak prędko nie spotka mnie znów coś podobnego.

PAN I PIES

(1918)

SKRĘCA ZZA WĘGŁA

Gdy piękna pora roku czyni zaszczyt swemu mianu, a świegot ptaków obudzi mnie wcześniej, albowiem ukończyłem dzień poprzedni o właściwej porze, wychodzę chętnie jeszcze przed pierwszym śniadaniem, bez kapelusza, do alei przed domem lub na dalsze planty, by zaczerpnąć trochę świeżego powietrza i, zanim zabiorę się do pracy, zaznać radości wczesnego poranka. Na schodach wiodących do bramy wydaję dwudźwiękowy gwizd, ton główny i kwartę, tak jak zaczyna się melodia drugiej części „Niedokończonej symfonii” Schuberta, sygnał, który mógłby uchodzić za przekład dwuzgłoskowego imienia na dźwięk. W tej samej chwili, gdy zmierzam do furty ogrodowej, dochodzi z dali zrazu ledwo słyszalne, lecz zbliżające się szybko i coraz wyraźniejsze delikatne dzwonienie, jakie powstaje, gdy marka policyjna uderza o metalowe okucie obroży; i gdy się odwrócę, widzę, jak Bauszan skręca w pełnym

biegu z za tylnego węgła domu i wali wprost na mnie, jakby chciał mnie przewrócić. Z wysiłkiem zwiesza nieco dolną wargę, tak że ukazują się dwa czy trzy zęby przednie, bielejąc wspaniale we wczesnym słońcu.

Biegnie z swej budy, która znajduje się pod podłogą werandy stojącej na słupach i w której, po urozmaiconej nocy, leżał w krótkiej drzemce porannej, zanim ożywił go w całej pełni mój dwuzgłoskowy gwizd. Buda zaopatrzona jest w grube firanki i wysłana słomą, wskutek czego jakieś źdźbło słomy znajdzie się zawsze w zjeżonej zresztą od leżenia sierści Bauszana, a nawet między palcami nóg; widok ten przypomina mi za każdym razem starego hrabię Moora, którego widziałem na pewnym bardzo skrupulatnie obmyślonym przedstawieniu, jak wychodził z wieży głodowej ze źdźbłem słomy między dwoma trykotowymi palcami swych biednych stóp. Mimo woli ustawiam się bokiem do nadbiegającego, w postawie obronnej, gdyż pozorny jego zamiar podcięcia mi nóg i obalenia na ziemię ma nieomylną moc ułudy. W ostatniej jednak chwili, tuż przed karambolem, umie zahamować i skręcić, co świadczy zarówno o jego cielesnym, jak i duchowym opanowaniu; i teraz, nie wydając z siebie głosu — gdyż rzadko czyni użytek z swego donośnego i wyrazistego organu — zaczyna wykonywać dokoła mnie taniec powitalny, złożony z dreptania, nadmiernego merdania, które nie ogranicza się do przeznaczonego na ten cel narzędzia, jakim jest ogon, lecz wciąga w grę całą tylną część ciała aż po żebra, w połączeniu ze ściąganiem kadłuba w

pierścienie oraz strzelistymi, sprężystymi skokami powietrznymi i skręcaniem się dokoła własnej osi; wyczyny te jednak stara się ukryć przed moimi oczyma, przenosząc ich widownię, gdziekolwiek się zwrócę, na przeciwną stronę. Wszelako w chwili gdy schylam się i wyciągam rękę, pies jednym skokiem staje nagle przy mnie, przyciskając łopatkę do mojej goleni, i stoi jak posąg; stoi skośnie oparty o mnie, z łapami wrytymi w ziemię, z pyskiem zwróconym ku mej twarzy, tak że patrzy na wspak, z dołu, w oczy, i kiedy wśród pieszczotliwych słów klepię go po łopatce, nieruchomość jego tchnie tym samym skupieniem i namiętnością co poprzedni szal.

Jest to krótkowłosy niemiecki wyżeł — jeśli nie brać określenia tego zbyt ściśle i dokładnie, tylko cum grano salis; gdyż prawidłowym i wzorowym wyżłem Bauszan nie jest. Jak na takiego jest może trochę za mały; jest stanowczo — zaznaczam to — mniejszy od legawca; poza tym i jego przednie nogi nie są zupełnie proste, raczej nieco na zewnątrz wygięte, co również nie odpowiada całkowicie idealnemu wzorowi czystej rasy. Lekka skłonność do workowatego sfałdowania skóry na szyi, zwanego „łalokiem”, co nadaje tak pełen godności wygląd, zdoła go w sposób niezwykły; ale zapewne i tę cechę uznają nieubłagani hodowcy za wadę, gdyż wyżeł, jak słyszę, powinien mieć gładko opiętą skórę na szyi. Maść Bauszana jest bardzo piękna. Sierść rdzawo-brunatna i czarno pręgowana. Ale jest też i dużo bieli, która na piersi, łapach i brzuchu stanowczo bierze górę, krótki zaś nos wygląda jak zanurzony w czerni. Na

szerokim ciemieniu, jako też na chłodnych płatach uszu czerń z brunatną rdzą układa się w piękny, aksamitny wzór, jedną zaś z najmiłszych w jego postaci rzeczą jest czub, kępka czy kosmyk, w który skręca się biały włos na jego piersi i sterczy jak kolec na starych pancerzach. Zresztą i dowolny nieco przepych barw jego sierści może uchodzić za „niedopuszczalny” w oczach tego, kto prawom gatunku daje pierwszeństwo przed zaletami osobistymi, gdyż klasyczny wyżeł powinien być możliwie jednobarwny lub ozdobiony odmiennymi plamami barwnymi, ale nie pręgowany. Najbardziej jednak sprzeciwia się jakiemuś pedantycznie schematycznemu sklasyfikowaniu Bauszana pewnego rodzaju wiszące owłosienie w kątach warg i pod spodem pyska, owłosienie, które nie bez pozoru słuszności można by nazwać wąsem i bródką i które na pierwszy rzut oka, z daleka czy z bliższa, przypominałoby pinczera.

Wszystko jedno, wyżeł czy pinczer, cóż to w każdym razie za piękne i dobre stworzenie ten Bauszan, gdy opiera się mocno o moje kolano i spogląda ku mnie z pełnym skupienia oddaniem! Zwłaszcza oko jest piękne, łagodne i mądre, choć może trochę szklane. Tęczówka jest rdzawa, barwy sierści; wszelako tworzy ona właściwie tylko wąski pierścień wskutek nadmiernej szerokości czarno lśniącej źrenicy, z drugiej zaś strony barwa jej przechodzi w białko oczne, w którym się rozplywa. Wyraz jego głowy, wyraz rozumnej poczciwości, świadczy o męskich cechach jego strony moralnej, których to cech cielesna jego budowa jest fizycznym powtórzeniem: potężna klatka piersiowa,

pod której gładką i miękko przylegającą skórą silnie rysują się żebra, wąskie biodra, nerwowo żyłkowane nogi, szorstkie kształtne stopy, to wszystko świadczy o dzielnej i męskiej cnocie, świadczy o chłopskomyśliwskiej krwi, ba, myśliwy i ślednik przeważa jeszcze potężniej w budowie Bauszana; jest to prawdziwy wyżeł, jeśli chcecie wiedzieć, aczkolwiek istnienia swego nie zawdzięcza z pewnością żadnej zadzierającej nosa hodowli; i taki jest zapewne sens bardzo zresztą zawiłych i logicznie nie powiązanych słów, które zwracam do niego klepiąc go po łopatce.

Pies stoi i patrzy, słucha akcentu mojego głosu, przenika go oznakami stanowczej pochwały swego istnienia, które jest powodem mej przemowy. I nagle, wyciągając głowę oraz otwierając i zamykając szybko wargi, wykonywa pyskiem kłapnięcie w stronę mej twarzy, jakby chciał odgryźć mi nos; pantomina ta jest widocznie odpowiedzią na mą przemowę i muszę zawsze odskoczyć ze śmiechem w tył, o czym Bauszan wie też już z góry. Jest to rodzaj całusa w powietrzu, na pół pieszczota, na pół przekomarka, manewr, który był mu właściwy od maleńkości i którego nie zauważyłem u żadnego z jego poprzedników. Zresztą usprawiedliwia się natychmiast machaniem ogona, krótkimi ukłonami i wesoło zakłopotaną miną, że pozwolił sobie na tę śmiałość. Po czym wychodzimy przez furkę ogrodu.

Otacza nas jakby szum morza, gdyż dom mój leży bezpośrednio nad rzeką szybko płynącą i pieniącą się po

płaskich tarasach; oddziela go od niej tylko topolowa aleja, okratowany, młodymi klonami obsadzony pas trawnika i podwyższona droga, którą obrzeżają potężne osiki, olbrzymy, poruszające się dziwacznie jak wierzby i z początkiem czerwca swą białą, zapłodnioną wełną zaśnieżające całą okolicę. W górze rzeki, w kierunku miasta saperzy ćwiczą się w budowaniu pontonowego mostu. Stapania ich ciężkich butów po deskach i krzyki zwierchników dochodzą aż tutaj. Ale z przeciwnego brzegu dolatuje hałas fabrycznej krzątaniny, gdyż kawał drogi od domu, ku dołowi rzeki, znajduje się fabryka parowozów z rozszerzonym, stosownie do wymagań czasu, okręgiem działania, gdzie wysokie okna warsztatów o każdej porze nocy płoną w ciemności. Nowe i pięknie lakierowane lokomotywy przebiegają na próbę tam i z powrotem; gwizdek parowy rozbrzmiewa niekiedy wyjącem falsetem, głuchy łomot nieokreślonego pochodzenia wstrząsa czasami powietrzem i z kilku wysokich kominów bucha dym, który za sprawą pomyślnego wiatru leci nad tamtobrzeżne lasy, lecz w ogóle z trudem przedostaje się przez rzekę. Tak to w przedmiejsko-półwiejskim odosobnieniu tej okolicy mieszają się głosy natury zatopionej w sobie z odgłosami ludzkiej działalności, a nad wszystkim unosi się jasnooka świeżość porannej godziny.

Kiedy tak wychodzę, może być wpół do ósmej w sensie prawa, w rzeczywistości więc wpół do siódmej. Idę, z rękoma na plecach, w delikatnym świetle słonecznym, w dół alei paskowanej długimi cieniami topól, nie widzę stąd rzeki, ale słyszę jej

szeroki, równomierny tok i drzewa szumią łagodnie, przenikliwie, ćwierkania, pogwizdy, świegoty i łkające tryle ptaków napełniają powietrze, pod wilgotnym błękitem nieba leci od wschodu samolot, sztywny mechaniczny ptak, z wzbierającym i głucho brzmiącym dudnieniem płynie nad łąkami i rzekami swą niezależną drogą i Bauszan raduje me oczy pięknymi, wydłużonymi skokami przez niskie ogrodzenie pasm trawnika. Skacze istotnie dlatego, że wie, iż sprawia mi to przyjemność, gdyż niejednokrotnie nawoływaniem i klepaniem w ogrodzenie zachęcałem go do tego i chwaliłem, gdy uczynił memu życzeniu zadość; także i teraz podbiega po każdym niemal susie, abym mu powiedział, że jest dzielny i zgrabny skoczkiem, po czym skacze jeszcze ku mej twarzy i obronną mą dłoń zanieczyszcza wilgocią swego pyska. Z drugiej strony oddaje się tym ćwiczeniom jako gimnastycznej rannej toalecie; gdyż gimnastycznymi ruchami wygładza swą zjeżoną sierść i gubi owe szpecące ją źdźbła słomy starego Moora.

Miło jest kroczyć tak o poranku, z odmłodzonymi zmysłami, z duszą oczyszczoną w zbawczej kąpieli i długim letejskim upojeniu nocy. Z mocną ufnością patrzysz w czekający cię dzień, ale zwlekasz błogo z rozpoczęciem go, będąc panem nadzwyczajnej, nie zajętej, nie obciążonej niczym przerwy między snem i dniem, przerwy, która stała ci się nagrodą za obyczajne sprawowanie. Uszczęśliwia cię złudzenie stałego, prostego, nie rozproszonego, kontemplacyjnie w siebie zwróconego życia, złudzenie należenia zupełnie do siebie; gdyż

człowiek skłonny jest chwilowy swój stan — czy jest on pogodny, czy chaotyczny, spokojny, czy namiętny — uważać za prawdziwy i trwały stan swego życia i zwłaszcza każde szczęśliwe *ex tempore*¹⁶ czynić natychmiast w swej fantazji piękną regułą i niezłomnym zwyczajem, choć właściwie jest przecie skazany żyć bez przygotowania i pod względem moralnym z dnia na dzień. Tak też i teraz, wchłaniając powietrze poranne, wierzysz też w swoją wolność i cnotę, kiedy powinienesz wiedzieć i wiesz też w gruncie rzeczy, że świat trzyma w pogotowiu swe sieci, aby cię w nie uwikłać, i że prawdopodobnie już jutro znów będziesz leżał do dziewiątej w łóżku, bo położyłeś się wczoraj o drugiej, zgorączkowany, zawiany, namiętnie rozbawiony... Niech będzie. Dzisiaj jesteś panem trzeźwości i wczesnej pory, prawdziwym panem myśliwca, który właśnie znów przeskakuje ogrodzenie z radości, że dziś chcesz, zdaje się, żyć z nim, a nie z tamtym światem.

Kroczymy aleją jakie pięć minut, aż do punktu, gdzie przestaje ona być aleją i podąża dalej z biegiem rzeki jako dzika pustynia żwiru. Porzucamy rzekę i ruszamy szeroko zakreślonym i, jak wszystkie aleje, opatrzonym w jezdnię, ale nie zabudowanym gościńcem, który wiedzie na prawo, między nisko położonymi parcelami w lesie, ku zboczcu ograniczającemu od wschodu naszą nadbrzeżną okolicę, widownię życiową Bauszana. Przekraczamy drogę inną, która biegnie otwarcie między lasem i polem równie przyszłościowego charakteru, a dalej, w kierunku przystanku

¹⁶ *Ex tempore* (lac.) — improwizacja.

tramwajowego, zabudowana jest zwarcie domami czynszowymi; opadająca droga żwirowa prowadzi nas ku pięknie rozplanowanemu łąnowi; wygląda on na ogród uzdrowski, ale jest bezludny jak cała o tej porze miejscowość, z ławkami przy drogach sklepionych, rozszerzających się: w kilku miejscach w ronda, czyste place dla dzieci i obszerne trawniki; na nich w parkowych grupach stoją stare, kształtne drzewa, wiązy, buki, lipy i srebrzyste wierzby z nisko sięgającymi konarami, tak że nad murawą widać tylko mały kawałek pnia. Cieszą mnie staranne plantacje, po których nie mógłbym przechadzać się spokojniej, gdyby należały do mnie. O niczym nie zapomniano. Żwirowe ścieżki opadają okólnym, łagodnym stokiem, a posiadają nawet cementowe krawężniki. A wśród całej tej zieleni istnieją głębokie, pełne wdzięku perspektywy z architekturą — w najdalszym planie — jednej w will, które przezierają z obu stron.

Tu przechadzam się chwilę, Bauszan zaś w odśrodkowym przechyleniu ciała, upojony szczęściem równej przestrzeni, napełnia trawniki spieszными zygzakami galopów lub też szczekotem, w którym oburzenie łączy się z przyjemnością, ściga małego ptaszka, fruwającego mu ustawicznie — z trwogi czy przekory — przed samym pyskiem. Ponieważ jednak siadam na ławce, więc i on zjawia się na miejscu i siada na mej stopie. Gdyż prawem życia jego jest, że biega tylko wtedy, gdy ja sam jestem w ruchu, skoro jednak usiądę, zachowuje też spokój. Nie

ma w tym żadnej jawnej konieczności; ale Bauszan trzyma się tego mocno.

Jest rzeczą osobliwą, miłą i śmieszną, czuć go, jak siedzi mi na stopie, przenikając ją febrycznym ciepłem ciała. Wesołość i sympatia napełniają mą pierś, jak niemal zawsze w jego towarzystwie i na jego widok. Ma bardzo chłopski sposób siedzenia, z łopatkami wykręconymi na zewnątrz, przy nierównomiernie do wewnątrz zwróconych łapach. Postać jego wydaje się w tej postawie mniejsza i niezgrabniejsza, niż jest w rzeczywistości, i biały czubek na jego piersi wysuwa się z komicznym efektem. Ale głowa, z godnością w karku osadzona, nagradza hojnie brak pięknej postawy dzięki wysokiej inteligencji, która się w niej przebija... Jest tak cicho, że obaj siedzimy cicho. Szum rzeki dochodzi bardzo stłumiony. Toteż drobne, tajemne poruszenia dokoła nabierają wagi i zaostrzają zmysły; krótki szelest jaszczurki, głos ptaka, życie kreta pod ziemią. Uszy Bauszana podnoszą się, o ile na to pozwala muskulatura obwisłych słuchów. Przechyliła głowę, by wybyszczyć słuch. A chrapy jego wilgotno-czarnego nosa znajdują się w nieustannym, wrażliwie wietrzącym ruchu.

Potem kładzie się, zachowując jednak styczność z mą stopą. Leży profilem do mnie, w prastarej, pełnej umiaru, zwierzęco-boskiej postawie sfinksa, z podniesioną głową i piersią, z czworgiem ud przy sobie, z łapami wyciągniętymi równolegle. Ponieważ rozgrzał się, otwiera pysk, przez co skupiona mądrość jego miny rozpływa się w bestialstwie, oczy zwięzają się mruga-

jąc; a spomiędzy białych, jędrnych, kłów zwisa długi, różowy język.

JAK NABYLIŚMY BAUSZANA

Powabnie krępa, czarnooka panna, która z pomocą swej tego dorastającej i również czarnookiej córki prowadzi w pobliżu Tölz gospodarstwo górskie, pośredniczyła w zapoznaniu nas z Bauszanem i nabyciu go. Było temu dwa lata, pies miał wtedy pół roku. Anastazja — tak było na imię gospodyni — wiedziała zapewne, że musieliśmy kazać zastrzelić naszego Percy, szkockiego owczarka i arystokratę, nieszkodliwie chorego na umyśle, gdyż w podeszłym wieku nawiedzony był bolesną i szpecącą chorobą skórą, więc od roku pozbawieni jesteśmy stróża. Toteż zawiadomiła nas z swej góry telefonicznie, że pies, jakiego nam właśnie potrzeba, znajduje się u niej na utrzymaniu i w komisie i można go każdej chwili obejrzeć.

Ponieważ dzieci nalegały, a ciekawość starszych nie pozostawała zgoła w tyle, więc już następnego dnia po południu wybraliśmy się na wzgórze Anastazji i zastaliśmy dzierzawczynię w obszernej kuchni, pełnej ciepłych i pożywnych wyziewów; z obnażonymi do łokci ramionami, w sukni rozpiętej u szyi, z zaczerwienioną i wilgotną twarzą gotowała kolację dla

swych pensjonariuszy, w czym pomagała jej córka krzątając się z pełną spokojną pilnością. Przywitano nas uprzejmie; pochwalono, żeśmy nie odkładali sposobności na święty nigdy i zaraz znaleźli do nich drogę. A gdyśmy rozglądali się badawczo, Różia, córka, poprowadziła nas do kuchennego stołu, gdzie wsparłszy ręce o kolana, zwróciła pod stół kilka pieszczotliwie zachęcających słów. Tam bowiem, przywiązane zniszczonym sznurem do nogi stołowej, stało stworzenie, którego nie dostrzeżliśmy dotąd w migocącym półcieniu izby, na którego jednak widok nikt nie mógł się powstrzymać od żalosnego śmiechu.

Stał na wysokich, koślawych nogach, z ogonem między tylnymi udami, skupiając wszystkie cztery nogi kulił się i drżał. Mógł drzeć ze strachu, ale miało się raczej wrażenie, że powodem tego jest brak strawy posilnej, gdyż stworzenie to przedstawiało tylko szkielecik, klatkę piersiową z kręgosłupem, obciążony kostropatą sierścią i podparty w czterech miejscach. Uszy położył po sobie, który to układ mięśniowy gasi przecie natychmiast w psiej fizjonomii każdy blask rozumnej wesołości i w jego zresztą zupełnie jeszcze dziecinnej twarzy osiągał też najzupełniej to wrażenie, tak dalece, że nie wyrażało się w niej nic, prócz głupoty i nędzy, jako też serdecznej prośby o pobłażanie; a w końcu i to, co dziś jeszcze można było nazwać wąsami i bródką, było wówczas stosunkowo daleko wydatniejsze i ogólnemu obrazowi jego postaci nadawało odcień kwaskowatego smaku.

Wszyscy schylili się, by zwrócić doń słowo przynęty i pociechy. Anastazja zaś od paleniska dorzucała do litośnych okrzyków radości dzieci objaśnienia co do osoby pupila. Na razie wabi się Luks i pochodzi od najlepszych rodziców. Matkę znała Anastazja sama, o ojcu słyszała tylko opinię. Luks był rodem z pewnego gospodarstwa w Huglfing i tylko wskutek pewnych okoliczności właściciele pragną oddać go za tani pieniądz, więc przynieśli go do niej ze względu na licznych gości w tym domu. Przyjechali wózkiem, a Luks biegł odważnie między tylnymi kołami, całe dwadzieścia kilometrów. Zaraz przeznaczyła go dla nas, jako że szukamy przecie dobrego psa, i była pewna, że zdecydujemy się. Jeśli go weźmiemy, wszyscy wyjdą na tym dobrze. My znajdziemy w nim z pewnością źródło wielu uciech, on przestanie być sam na świecie, bo znajdzie sobie miły kącik, ona zaś, Anastazja, będzie mogła myśleć o nim spokojnie. Nie powinniśmy tylko uprzedzać się doń z powodu miny, jaką ma teraz. Jest wszak stropiony i pozbawiony pewności siebie z powodu obcego otoczenia. Ale już w najkrótszym czasie pokaże się, że pochodzi od wybitnie dobrych rodziców.

— Tak, ale widać nie bardzo pasowali do siebie.

Owszem; o tyle, o ile oboje byli wspaniałymi okazami. Tkwią w nim najlepsze zalety, za to ręczy ona, panna Anastazja. Jest też nierozpieszczony i umiarkowany w potrzebach, a to dzisiaj rzecz ważna: dotąd żył w ogóle tylko obierzynami kartofli. Powinniśmy go zabrać naprzód do domu, na próbę i bez

zobowiązania. Jeśli przekonamy się, że nie mamy doń serca, ona przyjmie psa z powrotem i zwróci niewielką cenę kupna. Mówi to śmiało i nie lęka się, jeśli zechcemy wziąć ją za słowo. Bo o ile zna nas i jego — więc obie strony — jest przekonana, że polubimy się i nie pomyślimy nawet o tym, aby się rozłączyć.

Mówiła jeszcze dużo w tym sensie, spokojnie, płynnie i przyjemnie, krzątając się koło paleniska, z którego niekiedy buchały przed nią czarodziejsko płomienie. Wreszcie podeszła nawet sama i oburącz otworzyła mordkę Luksa, aby pokazać nam jego piękne zęby i z jakowychś powodów też jego różowe, żłobkowane podniebienie. Na pytanie, zadane zawodowo, czy przechodził już nosaciznę, oświadczyła z lekkim zniecierpliwieniem, że nie umie dać odpowiedzi. Co się zaś tyczy wielkości, jakiej dosięgnie, odparła przytomnie, że będzie wzrostu naszego zmarłego Percy. Było jeszcze dużo gadania, wiele ciepłej namowy ze strony Anastazji, która znajdowała poparcie w prośbach dzieci, wiele na pół przejednanej bezradności ze strony naszej; wreszcie poprosiliśmy o krótki czas do namysłu, czego nam chętnie użyczono, i zesliśmy zamyśleni w dolinę, badając i przerzucając odniesione wrażenia.

Czworonożna nędza spod stołu oczarowała oczywiście dzieci, my, dorośli, zaś udawaliśmy daremnie, że uśmiechamy się z powodu ich niewybredności i braku sądu: i my czuliśmy kolec w sercu i widzieliśmy, że trudno nam będzie usunąć z pamięci obraz owego biednego Luksa. Co się z nim stanie, jeśli nim wzgardzimy? W czyje dostanie się ręce? W wyobraźni

naszej wstawiała mistyczna, straszna postać: rakaż, od którego ohydnej ingerencji uratowaliśmy naszego Percy dzięki rycerskim kulom rusznikarza i honorowej mogiłce na skraju ogrodu. Jeśli chcieliśmy pozostawić Luksa niepewnemu i może straszliwemu losowi, nie powinniśmy byli zawierać z nim znajomości i badać jego dziecinnej twarzy z wąsami i brodą; skoro dowiedzieliśmy się o jego istnieniu, spadła na nas, zda się, odpowiedzialność, której moglibyśmy się zaprzeczyć tylko z trudem i gwałtem. — Toteż już trzeciego dnia wspinaliśmy się znowu na owo łagodne przedgórze Alp. Nie to, żebyśmy postanowili nabyć stworzenie. Ale widzieliśmy, że tak, jak sprawa stoi, nie będzie innego wyjścia.

Tym razem Anastazja z córką siedziały przy stole kuchennym naprzeciw siebie i popijały kawę. Pomiedzy nimi, koło stołu, siedział tak zwany tymczasowo Lusk, siedział już zupełnie tak samo, jak zwykł siadywać dzisiaj, z wykręconymi po chłopsku łopatkami, z łapami zwróconymi do wewnątrz, a za zniszczoną obrozą skórzaną tkwił bukiecik kwiatów polnych, co stanowczo przyczyniło się do uświęcenia jego postaci i nadawało mu minę niedzielnie zawadiackiego parobczaka lub wiejskiego weselnika. Młodsza z panien, sama w strojnym gorsecie ludowym, przyozdobiła go tak na drogę do nowego domu, jak mówiła. A matka i córka zapewniały, że niczego nie były tak pewne, jak naszego powrotu dla zabrania Luksa, i to właśnie dzisiaj.

Toteż zaraz u wstępu wszelka dalsza debata okazała się niemożliwą i skończoną. Anastazja podziękowała we właściwy sobie miły sposób za pieniądze, któreśmy jej wręczyli; cena kupna wynosiła dziesięć marek. Rzecz jasna, że wyznaczała ją raczej w interesie naszym niż swoim własnym lub ekonomostwa: a to dlatego, by nadać biednemu Luksowi w naszych oczach wartość pozytywną i cyfrowo dostępną. Rozumieliśmy to i chętnie zapłaciliśmy żadaną sumę. Luksa odwiązano od nogi stołowej, wręczono mi koniec postronka i najserdeczniejsze życzenia i wróżby towarzyszyły nam, gdyśmy przekraczali kuchenny próg panny Anastazji.

Godzinny powrót nasz do domu z nowym domownikiem nie był pochodem tryumfalnym, zwłaszcza że nasz weselnik wnet stracił w drodze swój bukiet. W oczach napotykanym ludzi czytaliśmy nie tylko wesołość, ale i szydercze lekceważenie, do czego było coraz więcej okazji, gdy wypadło przechodzić przez miasteczko, i to w całej długości. Na domiar pokazało się, że Luks, prawdopodobnie od dawna, chorował na rozwolnienie, co zmuszało nas do częstego przystawania na oczach mieszczan. Oślanialiśmy wtedy kołem jego wewnętrzną niedolę, zapytując się, czy nie są to już złe objawy nosacizny: próżna troska, jak nauczyła nas przyszłość, gdyż wykazała w ogóle, że mieliśmy do czynienia z naturą czystą i zdrową, która aż do tej chwili okazała się rdzennie odporną przeciw zarazom i chorobom.

Przybywszy do domu, kazaliśmy stawić się służącym, by zaznajomiły się z przyrostem rodziny oraz wyraziły swe

skromne o nim zdanie. Widać było, jak gotowały się do podziwu; gdy jednak ujrzały psa i zobaczyły nasze chwiejne miny, roześmiały się grubo i odwróciły się doń plecami z obronnym ruchem ręki. Umocnieni przez to w wątpliwości, czy znajdziemy w nich zrozumienie dla niskiej przez życzliwość ceny, jakiej zażądała Anastazja, powiedzieliśmy im, że pies nic nie kosztuje, i poprowadzili Luksa na werandę, aby mu ofiarować powitalną ucztę, złożoną z pożywnych odpadków.

Nieśmiałość kazała mu pogardzić wszystkim. Obwąchiwał wprawdzie kęsy, do których go zapraszano, stał jednak trwożnie przed nami, nie mogąc zdobyć się na wiarę, że skórka z sera i kurze łapy mogą być przeznaczone dla niego. Natomiast nie wzgardził wypchanym trawą morską workiem, który dla wygody jego przygotowano w sieni, i spoczywał tam podciągawszy łapy pod siebie, gdy wewnątrz pokoju naradzano się nad ostatecznym ustaleniem imienia, które miał nosić w przyszłości.

Również następnego dnia pies wzbraniał się jeść, potem nastąpił okres, w ciągu którego połykał bez miary i różnicy wszystko, co dostało się w zasięg jego pyska, aż wreszcie doszedł w sprawach pożywienia do spokojnej reguły i badawczej godności. Zaznaczony tu jest w grubym zarysie proces jego oswojania się i obywatelskiego utwierdzenia. Nie będę starał się o zbyt wierne odmalowanie tego procesu. Doznał on przerwy z powodu przejściowego zniknięcia Bauszana: dzieci wyprowadziły go do ogrodu, uwolniły z linki, by użyczyć mu swobody ruchu, on zaś korzystając z chwili nieuwagi wymknął się przez

niski otwór pod furtką. Zniknięcie jego wywołało zamęt i smutek, przynajmniej w sferze państwa, gdyż służące nie robiły sobie wiele ze straty darowanego psa lub też w ogóle nie chciały tego uznać za stratę. Telefon gwałtował między nami i gospodarstwem Anastazji, gdzie spodziewaliśmy się go zastać. Daremnie; nie pokazał się tam i minęły trzy dni, zanim panna Anastazja doniosła nam, że otrzymała z Huglfing wiadomość, iż Luks zjawił się przed półtora godziną w ojczystym ekono-mostwie. Tak jest, bawił tam, idealizm jego instynktu zaciągnął go z powrotem w świat obierzyn i kazał mu znowu odbyć, samotnymi marszami dziennymi, dwadzieścia kilometrów drogi, które odwalił niegdyś między kołami. Więc dawni właściciele jego musieli znów zaprząć swój wózek, aby oddać go do rąk Anastazji, i po upływie dalszych dwóch dni wybraliśmy się znowu, aby odebrać zbłąkańca; znaleźliśmy go, jak dawniej, uwiązane do nogi stołowej, skudłanego i zmachanego, obryzganego błotem gościńców. Doprawdy, kiedy nas ujrzał, dawał znaki, że nas poznaje i cieszy się! Ale czemu nas w takim razie opuścił?

Nadszedł czas, gdy widać było, że wybił sobie ekono-mostwo z głowy, ale i u nas nie bardzo jeszcze zapuścił korzenie, tak że był w duszy swojej bezpański i podobny do liścia miotanego wiatrem. Wtedy trzeba było na przechadzce uważać nań pilnie, gdy miał ochotę zerwać wątlą nić sympatii między nami i zgubić się w lasach, gdzie z pewnością, przy samodzielnym włóczęgowskim trybie życia, byłby doszedł do

stanu swych dzikich praojców. Troskliwość nasza ocaliła go od tego ciemnego losu, trzymała go mocno na wysokim, stopniu obyczajowym, zdobytym przez jego ród w ciągu tysiącleci u boku człowieka; następnie stanowcza zmiana miejsca, przesiedlenie się z miasta na przedmieście, przyczyniła się nagle do tego, że musiał wyłącznie oprzeć się na nas i nieodwołalnie związać się z naszym domem.

KILKA WIADOMOŚCI O TRYBIE ŻYCIA

I CHARAKTERZE BAUSZANA

Pewien człowiek w dolinie Izary rzekł mi, że tego rodzaju psy mogą się uprzykrzyć, gdyż chcą być zawsze przy panu. W ten sposób zostałem ostrzeżony, by od początku nie brać zbyt osobiście niewzruszonej wierności, którą Bauszan rzeczywiście zaczął wkrótce okazywać, co ułatwiło mi hamować ją i, o ile to było potrzebne, oganiać się od niej. Chodzi tu o z dawna odziedziczony, patriarchalny psi instynkt, który każe mu, przynajmniej w jego odważniejszych, swobodę miłujących rodzajach, widzieć i czcić w mężczyźnie, głowie domu i rodziny, bezwzględnie pana, obrońcę ogniska domowego, rozkazodawcę, znajdować swą godność życiową w osobliwym do niego stosunku unizonej, niewolniczej przyjaźni i zachowywać

względem reszty domowników daleko większą niezawisłość. W tym też duchu przylgnął Bauszan do mnie niemal od pierwszego dnia, nie spuszczał z osoby mej swych wiernych oczu, jakby pytając o rozkazy, których wolałem nie wydawać, gdyż okazało się wkrótce, że co do posłuszeństwa nie był Bauszan niczym osobliwym, i szedł za mą piętą w tym widocznym przekonaniu, że nierozłączność jego ze mną tkwi w świętej naturze rzeczy. Rozumiało się samo przez się, że w kole rodzinnym zajmował miejsce u moich stóp i niczych innych. Tak samo rozumiało się, że jeśli w drodze odłączyłem się od gromadki, aby pójść własną drogą, przyłączał się do mnie i szedł za mym krokiem. Obstawał też przy mym towarzystwie, kiedy pracowałem, i zastawszy drzwi do ogrodu zamknięte, wskakiwał, nagłym, przerażającym wprost susem przez otwarte okno, wnosząc dużo żwiru do pokoju, i z głębokim westchnieniem rzucał się pod biurko.

Istnieje jednak baczność tak czujna wobec żywych stworzeń, że przeszkadza nawet obecność psa, jeśli idzie o to, aby być samotnym; poza tym Bauszan przeszkadzał mi w dotykalny sposób. Stawał przy moim krześle, kiwał ogonem, pożerał mnie spojrzeniem i dreptał wyzywająco. Najmniejszy ruch odwzajemnienia wywoływał ten skutek, że pies wspinał się przednimi łapami na poręcz krzesła, tulił się do mej piersi, rozśmieszał mnie swymi pocałunkami w powietrzu, potem przechodził do badania blatu biurka, snadź w przypuszczeniu, że musi się tam znajdować coś do zjedzenia, skoro pochylałem się nad nim tak osobliwie, i szerokimi, włóchatymi łapami myśliwca

zamazywał świeże pismo. Wezwany ostro do spokoju, kładł się znowu i zasypiał. Ale gdy tylko usnął, zaczynał śnić, przy czym wszystkimi czterema łapami niby biegł, wydając jednocześnie wysoki i głuchy szczekot, jakby pochodzący z brzucha i z innego świata. Że podniecało mnie to i odrywało uwagę, dziwić się nie można, gdyż po pierwsze było to niesamowite, poza tym wzruszało i obarczało me sumienie. To życie senne było jawnie tylko sztuczną namiastką rzeczywistej gonitwy i polowania, surogatem, który stworzyła sobie natura, gdyż szczęście ruchu na wolnym powietrzu nie było we współżyciu ze mną jego udziałem w tej mierze, jak tego wymagała jego krew i zmysły. Dotykało mnie to; ponieważ jednak nie było innej rady, więc wyższe sprawy kazały mi pozbyć się tych zaniepokojień, przy czym sam zwracałem sobie uwagę, że w niepogodę wnosi do pokoju wiele brudu, a nadto rozdziera pazurami dywany.

Toteż pobyt w pokoju i współżycie ze mną, dopóki przebywałem w domu, zostały mu zabronione zasadniczo, choć z dopuszczeniem wyjątków; on zaś zrozumiał zakaz natychmiast i przystosował się do tego dziwactwa, jako że taka była właśnie niezbadana wola pana i władcy. Oddalenie ode mnie, które często, a zwłaszcza w zimie, trwa dużą część dnia, jest tylko oddaleniem, a nie jakąś rzeczywistą rozłąką i brakiem związku. Nie ma go przy mnie z mego rozkazu, ale jest to właśnie tylko spełnienie mego rozkazu, negatywne przebywanie ze mną, a o samodzielnym życiu Bauszana, które by wiódł beze mnie w ciągu tych godzin, nie może być mowy. Widzę przez szklane

drzwi mego pokoju, jak na małej ogrodowej łączce przed domem uczestniczy w wujkowaty, niezgrabnie pocieszny sposób w zabawach dzieci. Od czasu do czasu podchodzi wytrwale do drzwi, nie mogąc dojrzeć mnie przez tiulowe firanki węży u szpary, aby upewnić się co do mej obecności, i zwrócony grzbietem do drzwi, siedzi stróżując na schodach. Widzę go też od biurka, jak w zadumanym, bezcelowym kłusie biegnie wzniesioną drogą między starymi osikami; lecz także promenady są tylko mdłą rozrywką, bez dumy, szczęścia i życia, i jest rzeczą zgoła nie do pomyślenia, by Bauszan oddał się na własną rękę jakimś wspaniałym uciechom gończym, choć nikt by mu tego nie bronił, a obecność moja, jak się okaże, nie byłaby też bezwzględnie konieczna.

Życie zaczyna się dlań, kiedy wychodzę — ach, a i wtedy często nie zaczyna się jeszcze! Gdyż kiedy opuszczam dom, zachodzi pytanie, czy zwrócę się na prawo, aleją w dół, tam gdzie idzie się w pole i w samotność naszych terenów myśliwskich, czy też na lewo, ku stacji tramwajowej, by pojechać do miasta — i tylko w pierwszym wypadku towarzyszenie mi ma dla Bauszana sens. Zrazu przyłączył się do mnie, ilekroć obrałem drogę w świat, spostrzegał ze zdumieniem łomocący wóz i tłumiąc gwałtem strach wskakiwał za mną ślepym i wiernym susem na platformę, pomiędzy ludzi. Ale burza publicznego oburzenia zmiatała go znowu w dół, więc zdecydował się biec galopem obok huczącego wehikułu, tak niepodobnego do wózka, między którego kołami kłusował

swego czasu. Dotrzymywał uczciwie kroku, dopóki się dało, a siła płuc nie zawodziła go tak łatwo. Ale syna ekonomówki wprawiał miejski ruch w pomieszanie, pies wpadał przechodniom pod nogi, obce psy opadały go z boku, nie znany mu nigdy jeszcze zamęt dzikich woni drażnił i odurzał zmysły, narożniki, przesiąknięte esencjami starych przygód, przykuwały go nieodparcie, pozostawał w tyle, dościgał wprawdzie znów pojazd, ale to nie był ten, za którym dążył, tylko do tamtego zupełnie podobny; Bauszan puszczał się na ślepo w fałszywym kierunku, zapędzał się coraz głębiej w szaloną obczyznę i dopiero po dwóch dniach, wychudzony i kulejący, odnajdywał się w pokoju dalekiego domu nad rzeką, dokąd tymczasem i pan jego wrócił, miał rozum powrócić.

Zdarzyło się to dwa lub trzy razy; potem Bauszan zrezygnował i przestał ostatecznie towarzyszyć mi na lewo. Gdy wyjdę za drzwi, poznaje natychmiast, co mam na myśli, teren myśliwski czy świat. Zrywa się z rogózki, na której pod ochronnym łukiem drzwi czeka mego wyjścia. Podskakuje i w tejże samej chwili wie, dokąd zmierzam: zdradza mu to moje ubranie, laska, którą mam w ręce, zapewne też mina i postawa, spojrzenie, które omija go w chłodnym roztargnieniu lub też zwraca się ku niemu z zachętą. Rozumie to. Jeśli wyjście jest pewne, rzuca się na łeb ze schodów i kręcąc się młyńcem, tańczy w niemym zachwycie przede mną w kierunku furty; jeśli nadzieja znika, kuli się, kładzie uszy po sobie, traci minę, rozpada się niemal w popiół i nędzę i w oczach jego zjawia się

wyraz trwoźnej grzeczności, jaką w oczach ludzi i zwierząt wywołuje nieszczęście.

Czasem nie może uwierzyć — co przecie widzi i wie — że tym razem wszystko przepadło i nie ma mowy o gonitwach. Żądza jego była zbyt silna, Bauszan przeczy oznakom, nie chce widzieć miejskiej laski, mieszczańskiego przystroju mej osoby. Przeciska się ze mną przez furkę, wiruje dokoła swej osi, próbuje pociągnąć mnie na prawo, puszczając się galopem w tym kierunku i odwracając ku mnie głowę, i stara się nie widzieć fatalnej odmowy, którą przeciwstawiam jego wysiłkom. Gdy istotnie idę na lewo, wraca, towarzyszy mi wzdłuż płotu frontowego ogrodu, sapiąc z głębi piersi i wydając drobne, zmieszane, wysokie dźwięki, które powstają z jego nadmiernego naprężenia wewnętrznego, i zaczyna skakać tam i sam przez ogrodzenie przyległych publicznych plantacji, choć ogrodzenie jest wysokie, a on stęka w powietrzu z trwogi, by nie zrobić sobie co złego. Skacze gwoli pewnego rodzaju rozpaczliwej, gardzącej faktami dziarskości, jako też, by mnie przekupić, zjednać sobie swą działalnością. Gdyż wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu nie jest jeszcze rzeczą wyłączoną, że przy końcu plantacji porzucę jednak drogę miejską, jeszcze raz skrećę na lewo i krótką drogą okólną, obok skrzynki na listy, jeśli mam załatwić pocztę, poprowadzę go jednak w pole. To zdarza się, ale zdarza się rzadko, a gdy i ta nadzieja rozwieje się, Bauszan siada zmęczony i pozwala mi odejść.

I siedzi tak, w swej po chłopsku niezgrabnej postawie, na środku ulicy, i patrzy za mną poprzez całą aleję. Gdy odwrócę głowę ku niemu, podnosi uszy, ale nie idzie za mną, nie pójdzie, choćbym wołał i gwizdał, wie, że byłoby to bezcelowe. Widzę go jeszcze od wylotu alei, jak siedzi niby mały, ciemny, niezgrabny punkcik na środku ulicy, i czuję kolec w sercu; wsiadam do tramwaju z wyrzutami sumienia. Czekał tak bardzo, a wiadomo, jaką torturą może być czekanie! Życie jego jest czekaniem — na najbliższą przechadzkę w pole i czekanie to zaczyna się, kiedy odpoczął po ostatnim. Także i w nocy czeka, gdyż sen jego rozkłada się na dwadzieścia cztery godziny obiegu słonecznego; i niejedna godzinka drzemki na murawie ogrodu, gdzie słońce ogrzewa mu sierść, lub za firankami budy musi mu skracać puste okresy dnia. Toteż spoczynek jego nocny jest przerywany i niejednolity, często coś gania go w ciemności po podwórzu i ogrodzie, więc rzuca się to tu, to ówdzie i czeka. Czekając na regularny powrót dozorczy z latarnią i długokrokiemu jego obchodowi wtóruje wbrew własnemu przekonaniu złowróżbnym szczekaniem; czeka, aż niebo zblednie, aż zapieje kogut gdzieś w dalekim ogrodzie, na obudzenie się wiatru porannego w drzewach i na otwarciu drzwi od kuchni, by mógł się tam wśliznąć i zagrzać przy piecu.

Ale sądzę, że tortura nudy nocnej jest łagodna w porównaniu z męką, którą Bauszan znosi w jasny dzień, zwłaszcza przy pięknej pogodzie, czy to zimą, czy latem, gdy słońce wabi w pole, we wszystkich mięśniach drży żądza silnego ruchu, a

pan, bez którego porządna wyprawa jest niemożliwa, wciąż jeszcze nie chce opuścić swego miejsca za szklanymi drzwiami. Ruchliwe, drobne ciało Bauszana, w którym życie pulsuje tak szybko i gorączkowo, jest na wskroś i aż zanadto wypoczęte, o śnie nie ma już co i myśleć. Przychodzi na taras przed moje drzwi, z westchnieniem z głębi piersi rzuca się na żwir i kładzie głowę na łapach, patrząc z dołu w niebo wzrokiem męczennika. Trwa to ledwo kilka sekund, po czym ma dość tej pozycji, uważa ją za niemożliwą. Może zrobić jeszcze co innego. Może zejść po schodach i podnieść nogę przy jednym z piramidalnych krzewów tui, które stoją po bokach grzęd różanych — przy tym z prawej strony, co dzięki nawykowi Bauszana marnieje rokrocznie wskutek przepalenia i musi ulec zmianie. Schodzi więc i robi to, do czego nie zmusza go prawdziwa potrzeba, co jednak mimochodem może służyć mu do rozrywki. Stoi długo, mimo zupełnej niewydajności swego zajęcia, na trzech nogach, tak długo, aż czwarta zaczyna drżeć w powietrzu i Bauszan musi podskoczyć, aby nie utracić równowagi. Potem znów stoi na czworakach i czuje się nie lepiej niż przedtem. Tępo spogląda w gałęzie grupy jesionów, przez które z ćwierkaniem przemykają dwa ptaki, patrzy za pierzastymi, jak śmigają w dal z szybkością strzały, i odwraca się, zdając się wzruszać ramionami z powodu tak dziecinnej płochości. Przeciąga się i wypręża, jakby się chciał rozedrzeć, i gwoli dokładności rozkłada to przedsięwzięcie na dwie fazy; naciąga naprzód przednią część ciała, podnosząc tylną do góry, po czym wypręża tylną, wydłużając wstecz zadnie nogi; i za każdym razem rozdziawia paszczę w

bydlęcym ziewaniu. Potem i to się skończyło, czynność nie da się rozwinąć i przeciągnąwszy się dopiero co wedle wszelkich reguł, niepodobna tego na razie znów robić. Więc Bauszan stoi i patrzy smętnie w ziemię. Potem zaczyna powoli i badawczo kręcić się dokoła siebie, jakby się chciał położyć i nie wie tylko, w jaki sposób. Ale zmienia zamiar i lezie gnuśnym krokiem na środek trawnika, gdzie nagłym, niemal dzikim ruchem rzuca się na grzbiet, by w żywym tarzaniu się na zżętej murawie wytrzeć się i ochłodzić. Musi to być połączone z uczuciem silnej rozkoszy, gdyż tarzając się ściąga kurczowo łapy i w zawrotnym szale podrażnienia i zadowolenia gryzie powietrze na wszystkie strony. Tym namiętniej wypija jałowy puchar rozkoszy do dna, gdyż wie, że puchar ten nie ma żadnej treści, że nie można tarzać się tak dłużej niż dziesięć sekund i że nie następuje potem to słodkie znużenie, które zdobywa się wesołym wysiłkiem, tylko otrzeźwienie i podwójna czczość, opłata za odurzenie, ogłuszającą rozpustę. Leży przez chwilę z przewróconymi oczyma, jak nieżywy, na boku. Potem wstaje, aby się otrząsnąć. Otrząsa się, jak tylko on to potrafi, bez obawy o wstrząs mózgu, otrząsa się, aż klaszcze i klekocze, aż uszy biją go pod brodę i wargi odlatują od białośnieżnych kłów. A potem? Potem stoi na trawniku bez ruchu, w sztywnym zapomnieniu o świecie, nie wiedząc w końcu już zupełnie, co robić. W tych okolicznościach chwyta się ostateczności. Wchodzi na taras, zbliża się do drzwi szklanych i z odrzuconymi w tył uszama, z istną miną żebraka, wyciąga z wahaniem jedną łapę i drapie w drzwi — tylko raz i bardzo słabo, ale ta łagodnie i niepewnie podniesiona łapa, to

delikatne i jednorazowe drapanie, na które się zdobył, bo nie umiał sobie inaczej poradzić, wzruszają mnie potężnie, więc wstaję, aby mu otworzyć, by go wpuścić, choć wiem, że to nie może prowadzić do niczego dobrego; gdyż natychmiast zaczyna skakać i tańczyć dla zachęty do męskich wyczynów, marszczy dywan w sto fałdów, czyni w pokoju zamieszanie i spokój mój przepadł.

Ale proszę teraz osądzić, czy na widok takiego czekania łatwo mi odjechać tramwajem i pozostawić go jako smutny punkcik hen, w głębi topolowej alei! W lecie, gdy dzień jest długi, nieszczęście nie jest ostatecznie tak wielkie, bo wtedy istnieją jeszcze widoki, że przynajmniej przechadzka wieczorna wywabi mnie w pole, tak że Bauszan, choć po ciężkim oczekiwaniu, jednak wyjdzie jeszcze na swoje i jeśli będzie miał szczęście, będzie mógł pogonić za zającem. Ale w zimie, kiedy odjadę w południe, wszystko jest na ten dzień skończone i Bauszan musi na dwadzieścia cztery godziny pożegnać się z wszelką nadzieją. Gdyż wówczas, w porze mego drugiego wyjścia, jest już ciemno i tereny myśliwskie pogrążone są w niedostępnych mrokach, muszę „więc zwracać swe kroki w sztucznie oświetlone okolice, w górę rzeki, przez ulice i miejskie plantacje, a to jest nic dla natury i prostych zmysłów Bauszana; z początku szedł wprawdzie za mną, ale wkrótce dał pokój i zostawał w domu. Nie tylko dlatego, że brakowało mu widnej swobody uganiania, lecz półmrok czynił go strachliwym; bał się szalenie człowieka i krzaka, na widok powiewającej peleryny

policjanta uskakiwał z wyciem na bok i z odwagą przerażenia wpadał na również śmiertelnie przestraszonego stróża porządku, który doznanemu wstrząsowi dawał upust w potoku grubych i groźnych obelg pod adresem moim i Bauszana; i wiele innych nieprzyjemności spotykało nas, gdy towarzyszył mi po nocy. Co do policjanta pragnę zresztą napomknąć, że są trzy rodzaje ludzi, do których Bauszan czuje zdecydowany wstręt: policjanci, zakonnicy i kominiarze. Nie znosi i napada z wściekłym szczekaniem, gdy przechodzą mimo domu lub gdziekolwiek pokażą się na oczy.

Poza tym zima jest porą roku, kiedy świat najśmielej nastaje na naszą wolność i cnotę, nie pozwala nam na równomiernie skupione istnienie, istnienie w odosobnieniu i cichej zadumie, toteż miasto ściąga mnie do siebie często i po raz drugi, jeszcze raz, wieczorem, towarzystwo domaga się swych praw i dopiero późno o północy ostatni tramwaj wysadza mnie na przedostatnim przystanku albo jeszcze później, gdy już w ogóle od dawna nie ma czym jechać, wracam pieszo, roztargniony, rozmarzony winem, z cygarem w ustach, bez śladu naturalnego znużenia i przejęty fałszywą bez troską w stosunku do wszystkiego. Wtedy to zdarza się, że na spotkanie moje wychodzi domatorstwo, moje właściwe i ciche życie, przyjmuje i wita mnie nie tylko bez wyrzutów i gniewu, lecz z wielką radością, wprowadzając mnie znów do siebie — a czyni to wszystko w postaci Bauszana. W zupełnej ciemności, przy szumie rzeki, skręcam w topolową aleję i po kilku krokach czuję

dokoła siebie taniec i wywijanie ogonem — z początku nie wiem przez kilka minut, co się dzieje. — Bauszan? — pytam w ciemność... Wtedy taniec i wywijanie urasta do ostatecznych granic, zmienia się w pług derwisza i szaleństwo wśród trwającej wciąż ciszy i w chwili, gdy przystaję, mam uczciwe, choć mokre i brudne łapy u klap płaszcza na piersi i czuję przed swą twarzą mlaskot i prychanie, tak że muszę podać się w tył, klepiąc chudą, również od śniegu czy deszczu mokrą łopatkę... Tak, pocziwiec wyszedł po mnie do tramwaju; znając moje nawyki, jak zawsze, wybrał się, gdy mu się wydała po temu pora, i oczekiwał mnie na stacji — czekał może długo w śniegu i deszczu i jego radość z mego ostatecznego powrotu nie ma w sobie nic z urazy z powodu mej okrutnej niewierności, chociaż dziś zaniedbałem go zupełnie, a cała jego nadzieja i oczekiwanie było daremne. Klepiąc, chwalebę go bardzo i chwalebę w drodze powrotnej. Mówię mu, że pięknie postąpił, i daję wiążące obietnice co do dnia jutrzejszego, zapewniam go (to znaczy, nie tak jego, jak siebie), że jutro w południe pójdziemy z pewnością i bez względu na pogodę razem na polowanie, i wśród takich postanowień rozwiewa się mój nastrój światowy, powaga i trzeźwość wracają do duszy, a z wyobrażeniem terenów myśliwskich i samotności wiąże się myśl o obowiązkach wyższych, tajemnych i cudownych.

Ale pragnę dodać do charakterystyki Bauszana dalsze cechy, tak aby wystąpił przed oczyma życzliwego czytelnika w możliwej do osiągnięcia żywości. Może uczynię najzręczniejsz,

jeśli dla porównania scharakteryzuję nieboszczyka Percy, gdyż trudno w zakresie jednego gatunku przedstawić sobie wybitniejsze przeciwieństwo niż to, jakie istniało między tymi dwiema naturami. Zasadniczo trzeba stwierdzić, że Bauszan cieszy się całkowitym zdrowiem duchowym, natomiast Percy, co już wspomniałem i co u psów szlachetnej rasy często się zdarza, był przez całe swe życie błaznem, wariatem, wytworem przesadnej do niemożliwości hodowli. Wspomniałem o tym przy innej sposobności. Czymś biegunowo różnym jest ludowa prostota Bauszana, objawiająca się na przykład przy wychodzeniu lub powitaniu; w chwilach tych oznaki jego wzruszeń mieszczą się w zakresie zrozumiałości i zdrowej serdeczności, nie tykając nawet granic hysterii, które zachowanie Percy przekraczało przy takich sposobnościach często w sposób oburzający.

Nie wyczerpuje to jednak całego przeciwieństwa tych dwóch stworzeń; w rzeczywistości jest ono bardziej zawile i złożone. Gdyż Bauszan jest wprawdzie surowy jako istota z ludu, ale również jak ona wrażliwy na ból; natomiast szlachecki jego poprzednik łączył z większą delikatnością i zdolnością cierpienia nieporównanie silniejszą i dumniejszą duszę i mimo całego wariactwa przewyższał chłopka o wiele samokarnością. Nie w znaczeniu jakiegoś artystokratycznego twierdzenia naukowego, ale jedynie gwoli prawdzie życiowej, zaznaczam tę mieszaninę przeciwieństw: surowości i miękkości, delikatności i stałości. Bauszan na przykład potrafi najzimniejsze noce zimowe

spędzać na dworze, to znaczy na słomie, za grubymi zasłonami swej budy. Słabość pęcherza nie pozwalała mu przebywać siedem godzin bez przerwy w zamkniętym domu, aby nie zawinić; więc trzeba, chcąc nie chcąc, zamykać przed nim drzwi nawet w nieprzyjaznych porach roku, ufając jego potężnemu zdrowiu. Bo jeśli nawet kiedy po niezwykle lodowato-mglistej nocy zjawi się nie tylko z bajecznie oszronionymi wąsami i brodą, lecz i trochę zaziębiony, z jednozgłoskowym, urywanym psim kaszlem, po kilku godzinach przewycięża podrażnienie nie ponosząc żadnej szkody. Któż by się był ważył narażać jedwabistego Percy na srogość takiej nocy? Z drugiej strony boi się Bauszan każdego, nawet najmniejszego bólu i odpowiada nań wprost nieszczemnością, która musiałaby budzić wstręt, gdyby właśnie nie rozbrajała przez swą naiwną ludowość i nie budziła wesołości. Co chwila, kiedy poluje w zaroślach, słyszę jego głośnie kwiki, bo drasnął go cierń lub smagnęła sprężysta gałąź; jeśli w skoku przez ogrodzenie otrze sobie trochę brzuch lub zwichnie nogę, wydaje wówczas wrzask antycznego bohatera, kuszyka na trzech nogach i skomli nieutulony w płaczu, tym bardziej zresztą przejmującym, im litośniej się doń przemawia, choć za kwadrans znów będzie gonił i skakał jak przedtem.

Co innego z Percevałem. Tamten zaciskał zęby. Harapa bał się jak Bauszan i, niestety, wachał go częściej niż ten; gdyż po pierwsze byłem młodszy i bardziej porywczy za jego życia, a poza tym jego brak rozsądku przybierał czasem piętno zbrodniowości i złości, które po prostu wołały o karę i nadto drażniły.

Kiedy więc, doprowadzony do ostateczności, zdejmowałem korbacz ze ściany, on, skulony, wlaził wprawdzie pod stół lub ławkę, ale ani jeden głos bólu nie wyszedł z jego warg, gdy świsnął cios jeden i drugi; co najwyżej stęknęcie, jeśli raz zapiekł go nazbyt — natomiast kum Bauszan kwiczy i wrzeszczy już z ordynarnego tchórzostwa, gdy tylko podniosę ramię. Krótko, brak poczucia honoru, brak surowości wobec siebie. Zresztą sprawowanie jego nie daje prawie powodu do karnych wystąpień, zwłaszcza że dawno oduczyłem się żądać od niego wyczynów, które sprzeciwiają się jego naturze i których wymaganie mogłoby doprowadzić do starcia.

Sztuczek, na przykład, nie wymagam od niego; byłoby to daremne. Nie jest uczonym dziwem jarmarcznym czy arcyzabawnym służalcem; jurny myśliwczyk, żaden profesor. Zaznaczyłem już, że skoczek z niego wyborny. Jeśli trzeba, bierze każdą przeszkodę; gdy jest za wysoka, by pokonać ją swobodnym skokiem, to wdrapuje się na nią z rozbiegu i opuszcza się z drugiej strony, dość że ją bierze. Ale przeszkoda musi być przeszkodą rzeczywistą, to znaczy taką, pod którą nie można przebiec lub prześliznąć się: inaczej Bauszan uzna skakanie przez nią za wariactwo. Mur, rów, krata, niedziurawy parkan, oto są takie przeszkody. Poprzeczny drag, podstawiona laska nie są nimi, więc też nie można przez nie skakać nie popadając w błazeńską sprzeczność z sobą i rzeczami. Bauszan nie chce tego czynić. Wzbrania się. Próbuje skłonić go do skoku przez taką nierzeczywistą przeszkodę; z wściekłości nie pozosta-

nie ci wreszcie nic innego, jak chwycić psa za kołnierz i przeraźliwie kwiczącego przerzucić na drugą stronę, po czym przybiera minę, jakby celowi życzeń twych stało się zadość, i święci to zdarzenie tańcami i natchnionym szczekaniem. Pochlebiaj mu, bij go — stoisz wobec rozumnego oporu przeciw czystej sztuce, którego nie przełamiesz żadną miarą. Nie jest nieuczynny, ceni sobie zadowolenie pana, przesadza zamknięty płot na moje życzenie lub rozkaz, nie tylko z własnego popędu, i podbiega radośnie po pochwałę za to lub podziękę. Przez drąg, przez laskę nie przeskoczy, tylko podbiegnie, choćbyś go zabił. Stokrotnie prosi o przebaczenie, o wzgląd, o litość, gdyż boi się przecie bólu, boi się go aż do tchórzostwa; ale żaden strach i żaden ból nie zdołają go zmusić do czynu, który pod względem fizycznym byłby dlań tylko dziecinną igraszką, a do niej brak mu widocznie duchowych danych. Wymagać ich od niego nie znaczy postawić go wobec pytania, czy chce skakać, czy nie, to pytanie jest z góry rozstrzygnięte, a rozkaz znaczy po prostu — baty. Gdyż żądać od niego tego, co niezrozumiałe, a przez tę niezrozumiałość i niewykonalne, znaczy w jego oczach szukać tylko pretekstu do waśni, do zakłócenia przyjaźni i do batów, i jest już tym samym początkiem tego wszystkiego. Takie jest, o ile widzę, zapatrywanie Bauszana i wątpię, czy może tu być mowa o zatwardziałości. Zatwardziałość da się w końcu złamać, pragnie nawet być złamana, ale on przypieczętowałby swój opór przeciw sztuce absolutnej śmiercią.

Przedziwna dusza! Tak bliska przyjaźnią, a jednak tak obca, tak odmienna w pewnych punktach, że słowo nasze okazuje się niezdolne do zrozumienia jego logiki. Jak się ma sprawa, na przykład, ze straszliwymi dla uczestników jak i widzów denerwującymi okolicznościami, wśród których odbywa się spotkanie, zapoznanie się lub tylko powzięcie wiadomości o sobie psów? Sto razy w wyprawach swych z Bauszanem byłem świadkiem takiego spotkania, powiem lepiej: musiałem być z ściśniętym sercem jego świadkiem i każdym razem, na przeciąg trwania sceny, jego znane zresztą zachowanie stało się dla mnie nieprzejrzyste — niepodobna mi było wnikać współczująco w uczucia, prawa, obyczaje rodowe, będące podstawą tego zachowania. Istotnie, spotkanie dwóch obcych sobie psów na wolnym powietrzu należy do najprzykrzejszych, najciekawszych i najfatalniejszych z wszystkich możliwych procesów; owiane jest demonicznością i osobliwością. Panuje tu mus, dla którego nie ma dokładniejszych nazw; nie mogą się minąć, jest to straszne zakłopotanie.

Nie mówię o wypadku, że jedna ze stron zamknięta jest w obejściu, za parkanem lub płotem — i wtedy nie można zrozumieć, jak jest obojgu na sercu, ale sprawa jest stosunkowo mniej drastyczna. Wietrzą się wzajemnie z niedosiężnej dali i nagle Bauszan, jakby szukając opieki, zbliża się do mnie, wydając skomlenie, które mówi o nie dającej się określić, żadnym słowem wyrazić męce i udreće duszy, gdy jednocześnie pies obcy, zamknięty, zanosi się wściekłym szczekaniem, które chce

mieć pozór energicznej, oznajmiającej czujności, chwilami jednak niepostrzeżenie przechodzi w tony podobne wygłosom Bauszana, w tęskne, płaczliwie zazdrosne, biadające skomlenie. Zbliżamy się do miejscowości, mijamy ją. Obcy pies oczekiwał nas za płotem, stoi tam, lżąc i opłakując swą bezsilność, wspina się dziko na parkan i przybiera minę — o ile na serio, nikt nie wie — jakby miał niechybnie rozszarpać w kawały Bauszana, gdyby mógł tylko dostać się do niego. Mimo to Bauszan, który mógłby przecie zostać przy mym boku i przejść mimo, podchodzi do płotu; musi, uczyniłby to nawet wbrew memu słowu; jego trzymanie się z daleka obraziłoby wewnętrzne prawa, ugruntowane głębiej i bardziej niezłomne niż mój rozkaz. Podchodzi więc i wykonywa przede wszystkim z pokorną i cicho zamkniętą miną ową czynność ofiarną, przez którą, jak mu wiadomo, da się zawsze osiągnąć pewne uspokojenie i przejściowe przejednanie tamtego, dopóki mianowicie tamten na innym miejscu czyni to samo, choć wśród cichych obelg i łkań. Potem oba zaczynają dziką gonitwę wzdłuż płotu, jeden z tej, drugi z tamtej strony, niemo i zawsze tuż obok siebie. Zawracają jednocześnie na końcu obejścia i szaleją raz jeszcze. Ale nagle, w środku, stają jak wryte, już nie bokiem do płotu, lecz prostopadle do niego, i zbliżają przezeń swe nosy. Tak stoją długą chwilę, by podjąć znów osobliwą, bezowocną gonitwę, ramię przy ramieniu, z dwóch stron parkanu. Wreszcie mój korzysta z wolności i oddala się. Straszna chwila dla zamkniętego! Nie może tego znieść, widzi bezprzykładną nikczemność w tym, że tamtemu mogło przyjść choćby na myśl odejść sobie

po prostu; szaleje, pieni się z wściekłości, zachowuje się jak wariat, galopuje sam po całym obejściu, grozi, że przeskoczy przez płot, by zdławić niewiernego, i ściga go najbardziej prostackimi obelgami. Bauszan słyszy to wszystko i jest tym bardzo boleśnie dotknięty, o czym świadczy jego cicha, strapiona mina: ale nie ogląda się za siebie i drałuje cicho naprzód, gdy straszliwe klątwy za nami przechodzą stopniowo znów w skomlenie i milkną powoli.

Taka mniej więcej odgrywa się scena, gdy jedna strona znajduje się w zamknięciu. Atoli niebezpieczeństwo dochodzi do szczytu, gdy spotkanie odbywa się w równych warunkach i oba znajdują się na wolnej stopie — niemiło to opisywać; jest to najbardziej przygnębiająca, najdrażliwsza, najkrytyczniejsza sprawa na świecie. Bauszan, który dopiero co jeszcze skakał beztrosko, podchodzi do mnie, ciśnie się po prostu do mych nóg z owym płynącym z głębi duszy skomleniem, o którym nie można powiedzieć, jakie wyraża uczucie, które jednak poznaję natychmiast i z którego wnoszę o zbliżaniu się obcego psa. Muszę bystro wyteżać oczy i istotnie, oto nadchodzi i widać już z daleka po ociągłych i napiętych ruchach, że i on spostrzegł tamtego. Mój własny niepokój nie ustępuje ich nieśmiałości; zdarzenie to jest dla mnie zgoła niepożądane. — Idź precz! — mówię do Bauszana. — Czemu przy mojej nodze? Czy nie moglibyście załatwić swej sprawy w pewnej odległości? — I staram się przepędzić go laską; bo jeśli dojdzie do gryzienia, co bez względu na to, czy widzę do tego powód, czy go nie widzę,

nie jest zgoła nieprawdopodobne, to odbędzie się ono u mych stóp i doznam najniemilszego wrażenia. — Idź precz! — mówię cicho. Ale Bauszan nie odchodzi, trzyma się mnie mocno, niespokojny, i tylko na chwilę odchodzi pod drzewo, by złożyć ofiarę, gdy obcy, jak widzę, z tyłu czyni to samo. Teraz zbliżyły się na dwadzieścia kroków, napężenie jest straszne. Obcy położył się na brzuchu, przykucnął jak tygrys, z wyciągniętą w przód głową i w postawie zbója na czatach czeka zbliżenia się Bauszana, widocznie, aby w danej chwili skoczyć mu do gardła. Ale to się nie dzieje i Bauszan, zda się, też nie oczekiwał tego; w każdym razie idzie, choć strasznie ociągłowie i z ciężkim sercem, wprost na czatownika, uczyniłby to i musiałby to uczynić nawet wtedy, gdybym skręcił w boczną ścieżkę i pozostawił go samego wszystkim trudnościom położenia. Mimo grozy spotkania o ustąpieniu, o ucieczce nie ma co myśleć. Idzie oczarowany, przykuty jest do tamtego, oba przykute są do siebie w sposób wrażliwy i ciemny i nie śmieją temu zaprzeczyć. Zbliżyliśmy się teraz na dwa kroki.

Tamten wstaje cicho, jakby nigdy nie przybierał miny tygrysa w dżungli, i stoi teraz tak samo jak Bauszan; zmyte, nędzne i głęboko zakłopotane stoją oba psy i nie mogą się minąć. Chciałyby snadź, odwracają głowy, zezują smutnie na bok, wspólne poczucie winy zda się ciążyć na nich. W napięciu, z chmurną ostrożnością suną i pełzną ku sobie i obok siebie, bok przy boku, obwąchując sobie wzajem tajemnicę płodzenia. Zaczynają przy tym warczeć, więc cichym głosem wołam

Bauszana po imieniu i ostrzegam go, gdyż jest to chwila, w której się rozstrzygnie, czy dojdzie do gryzienia, czy też minie mnie ten wstrząs. Zaczęło się gryzienie, nie wiadomo jak, a jeszcze mniej, dlaczego; nagle oba tworzą tylko jeden kłęb i szalony wir, z którego wrywają się straszne, gardłowe dźwięki drapieżnych bestyj. Wtedy muszę interweniować laską, by zapobiec nieszczęściu, muszę też nieraz chwycić Bauszana za obrożę lub skórę na karku, aby go przemocą podnieść do góry, gdy tamten zajadle wisi na nim, i nałykać się jeszcze wiele innych strachów, które przez dłuższy czas przechadzki czuję w kościach. Ale zdarza się też, że po przygotowaniach i ceremoniach wszystko kończy się jak najlepiej i spełza na niczym. W każdym razie trudno jest ruszyć z miejsca: nawet jeśli się nie pogryzły, łączy ich jednak zbyt silny węzeł wewnętrzny. Już zdają się rozchodzić, nie trwają już przy boku, lecz stoją niemal w prostej linii, ten zwrócony tu, drugi tam, nie widzą się, nie odwracają nawet głowy wstecz, zezują tylko, ile można, gałkami ślepiów za siebie. Jednak, choć dzieli ich już przestrzeń, nie popuszcza silny, smutny węzeł i żaden z nich nie wie, czy nastąpiła już chwila dozwolonego oswobodzenia, oba chciałyby już odejść” tylko żaden nie śmie wyrwać się przez jakiś niepokój sumienia. Aż nareszcie czar mija, węzeł pęka i Bauszan skacze, wyzwolony, z ulgą serca, jakby mu na nowo darowano życie.

Mówię o tych rzeczach, aby zaznaczyć, jak obco i osobliwie przedstawia się czasem istota tak bliskiego przyjaciela; wtedy robi mi się nieswojo i mroczno; patrzę na to kiwając

głową i orientuję się tylko przeczuciem. Poza tym jednak znam jego duszę tak dobrze, z pogodną sympatią rozumiem wszystkie jej objawy, grę jego min, jego całe zachowanie. Jakże znam, by przytoczyć jaki bądź przykład, pewne piskliwe ziewanie, które zjawia się, gdy jakaś wycieczka rozczarowała go przez to, że była za krótka i pod względem sportowym jałowa: kiedy zacząłem dzień późno, dopiero przed samym obiadem wyszedłem z Bauszanem w pole i zaraz znów wracam. Wtedy idzie obok mnie i ziewa. Jest to ziewanie bezwstydnego, nieuprzejmego, rozdziawionego, bydlęcego ziewanie, któremu towarzyszy piskliwy ton gardłowy i obrażający wyraz znudzenia. „Ładnego mam pana — mówi pies. — Późno w nocy przyprowadziłem go od mostu, a dzisiaj siedzi za szklanymi drzwiami i każe czekać na siebie u wyjścia, że można by zdechnąć z nudów; i kiedy wreszcie wyjdzie, to po to, aby znów wrócić, zanim się powącha zwierzyny. A hi! Ładny pan. Żaden pan! Huncwot!”

To właśnie wyraża ziewanie Bauszana z taką wyrazistością, że nie sposób tego nie zrozumieć. Przyznaję też, że ma słusność i że zawiniłem względem niego; więc wyciągam rękę, by na pociechę poklepać go po łopatce lub pogłaskać po głowie. Ale on dziękuje za pieśczoć tak ceremonialną, nie przyjmuje ich, ziewa raz jeszcze, możliwie jeszcze nieuprzejmiej, i unika ręki, choć z natury, w przeciwieństwie do Percy, a w zgodzie z swą ludową wrażliwością na ból, jest wielkim amatorem delikatnych pieśczoć. Zwłaszcza lubi, jeśli go drapać w gardło, i ma

śmiesznie energiczny sposób skierowywania ręki, krótkimi poruszeniami głowy, na to właśnie miejsce. Że jednak teraz nie chce o czułościach nic wiedzieć, to pochodzi, poza rozczarowaniem, stąd, iż w stanie ruchu, to jest, gdy ja znajduję się w ruchu, nie przemawiają doń i nie obchodzą go. Pies znajduje się wtedy w zbyt męskim nastroju ducha, by lubować się nimi, co zmienia się jednak natychmiast, kiedy usiądę. Wtedy pieszczoły przyjmuje z serdeczną wdzięcznością, a sposób jego odwzajemniania cechuje niezgrabne marzycielskie natręctwo.

Kiedy czytam książkę, siedząc na krześle w kącie ogrodu przy murze albo na trawie, oparty plecami o ulubione drzewo, chętnie przerywam umysłowe zajęcie, aby pomówić trochę i pobawić się z Bauszanem. O czym z nim mówię? Przeważnie wymawiam jego nazwisko, dźwięk, który spomiędzy wszystkich najbardziej go obchodzi, gdyż oznacza jego samego, i który przeto na całą jego istotę działa elektryzująco. Pobudzam i rozpalam jego poczucie jaźni, zapewniając go z rozmaitym akcentem i każąc mu rozważać, że nazywa się Bauszan i jest nim; i kiedy czynię to przez pewien czas, wprawiam go w prawdziwy zachwyty, w pewnego rodzaju upojenie tożsamością, tak że zaczyna kręcić się dokoła siebie i z dumnej cieśni swej piersi szczeka głośno i radośnie ku niebu. Albo bawimy się tak, że uderzam go w nos, on zaś łapie moją rękę jak muchę. To rozśmiesza nas obu — tak, Bauszan śmieje się także i to jest najdziwniejszy i najbardziej przejmujący widok na świecie. Wzruszony jestem widząc, jak pod wpływem zaczepki drżą

kąciki jego warg i jego zwierzęco chude policzki, jak w czarniawej minie stworzenia zjawia się fizjonomiczny wyraz ludzkiego śmiechu lub choćby mętny, niezaradny i melancholijny jego odblask i znowu znika, by ustąpić miejsca oznakom strachu i zakłopotania, i znów się wydobywa...

Ale urywam tu, nie chcąc gubić się dalej w szczegółach. Prócz tego niepokoi mnie objętość, jaką wbrew memu zamiarowi przybrać może ten pobieżny opis. Pragnę teraz pokrótce przedstawić bohatera mego w jego świetności i w jego żywiole, w owym położeniu życiowym, w którym jest najbardziej sobą i które uwydatnia najbardziej jego wszystkie zalety, to jest na polowaniu. Przedtem jednak muszę dokładniej zaznajomić czytelnika z widownią tych uciech, z naszym terenem myśliwskim, moim krajobrazem nad rzeką; gdyż ma on ścisły związek z osobą Bauszana, jest mi osobliwie miły, znany i ważny, co w konsekwencji i bez dalszych nowelistycznych racji musi być uznane za dostateczny tytuł do jego opisu.

W KNIEI

W ogrodach naszej małej, szeroko rozplanowanej kolonii odcinają się wszędzie ostro od delikatnych, nowych plantacyj stare olbrzymy drzewne, przewyższające dachy, i występują

niedwuznacznie jako oryginalne zalesienie i praludność tej okolicy. Są dumą i ozdobą tej młodej jeszcze osady; oszczędzono je starannie i zachowano, o ile się dało, w całości, gdzie zaś przy wymierzaniu i ogradzaniu parcel doszło do konfliktu z jednym z olbrzymów, to znaczy, gdzie okazało się, że taki srebrzysto-omszały dostojnik stoi właśnie na linii demarkacyjnej, tam płot opisuje małe półkole dokoła niego, aby go włączyć do ogrodu, albo też w betonie muru pozostawiono uprzejmą lukę, w której starzec sterczy obecnie, na pół prywatnie, na pół publicznie, z obciążonymi śniegiem konarami lub w ozdobie swego drobnego, późno puszczonego listowia.

Gdyż są to okazy jesionu, drzewa, jak mało które lubiącego wilgoć, i to charakteryzuje osobliwość gruntu naszej okolicy. Niedawne to czasy, kiedy przemysł ludzki skarczował ją i uczynił zdatną do zamieszkania, piętnaście lat temu. Przedtem było tu dzikie bagno, siedlisko komarów, gdzie wierzby, karłowate topole i tym podobne pokrzywione drzewska przeglądały się w gnijących stawach. Okolica bowiem jest namuliskiem, kilka metrów pod ziemią znajduje się warstwa nieprzepuszczalna, więc grunt był od niepamiętnych czasów moczarowaty i we wszystkich wgłębieniach stała woda. Osuszono go obniżając zwierciadło rzeki; nie znam się na inżynierii, ale w zasadzie chodziło o tę sztukę, dzięki której woda, nie mogąc wsiąknąć, musiała odpłynąć, tak że teraz na wielu miejscach podziemne potoki wpadają do rzeki i grunt mógł nabrać stałości, przynajmniej po większej części; gdyż jeśli kto

zna miejscowość tak jak ja i Bauszan, ten wie, że idąc w dół rzeki znajdzie się w gęstwinie niejedną sitowiem obrosłą kotlinkę, która przypomina swój stan pierwotny, ukryte miejsca, gdzie wilgotnemu chłodowi nie zaszkodzi najgorętszy dzień letni i gdzie w takie dni chętnie spędza się chwil parę, by zaczerpnąć oddechu.

W ogóle okolica ta zachowała ciekawą swą osobliwość, przez którą różni się już na pierwszy rzut oka od brzegów wód górskich, ukazujących zresztą zazwyczaj lasy szpilkowe i omszałe łąki — zachowała, powtarzam, pieścotliwą swą osobliwość, nawet gdy nabyło ją towarzystwo parcelacyjne, i wszędzie, nawet poza ogrodami, oryginalna jej prawegetacja przeważa nad wprowadzoną i zaszczepioną. W alejach i publicznych plantacjach chowa się dziki kasztan, szybko rosnący klon, nawet buki i różne krzewy ozdobne; ale wszystko to nie jest oryginalne, wszystko sadzone, tak samo jak włoska topola, która sterczy rzędami w swej bezpłodnej męskości. Wymieniłem jesion jako drzewo tubylcze — jest on bardzo rozpowszechniony, znajdujemy go w każdym okresie wieku, jako stuletniego olbrzyma i miękką latorośl, która masami, jak chwast, wyrasta ze żwiru; i on to, wraz z srebrną i drzącą topolą, brzozą, wierzbą, jako drzewem i krzewem, nadaje charakterystyczne piętno krajobrazowi. Są to jednak wszystko drzewa małowzrostne i małowzrostność, drobność listowia, przy olbrzymich często wymiarach kształtów drzewnych, stanowi też wpadającą natychmiast w oko cechę okolicy. Wyjątek stanowi wiąz, który w wielu

miejscach rozpościera pod słońce swój duży liść, jakby piłką w ząbki wycinany i na powierzchni lepkości, poza tym wielkie mnóstwo roślin pnących, które wszędzie wśród drzewostanu oplatają młodsze pnie, mieszając z ich liśćmi swe własne. Smukła postać olchy skupia się w miejscach zagłębionych w małe gaiki. Lipę jednak spotyka się bardzo rzadko, dębu nie ma wcale ani sosny. Widnieją one jednak w kilku miejscach na wschodnim stoku, granicy naszej dziedziny, gdzie z innym rodzajem gruntu zaczyna się inna, zwykła zresztą, roślinność. Czarno odcinają się tam sosny na tle nieba, spoglądając strażniczo na naszą dolinę.

Od stoku do rzeki nie ma więcej nad pięćset metrów, wyliczyłem to krokami. Być może, że w dół rzeki pas brzeżny rozszerza się nieco w wachlarz — różnica w każdym razie nie jest wielka i rzecz dziwna» jak bogatą różnorodność krajobrazową przedstawia wąska okolica nawet i wtedy, gdy z dowolnej przestrzeni wzdłuż rzeki, w kierunku jej biegu, czynimy z Bauszanem tak umiarkowany użytek, gdyż wyprawy nasze trwają rzadko dwie godziny, licząc drogę tam i z powrotem. Wszelako różnorodność widoków, możliwość kombinowania coraz nowych przechadzek, przeto też nieuprzykrzenie sobie krajobrazu i nieuświadomienie jego ciasnoty, mimo ustawicznej z nim styczności, polega na tym, że rozpada się on na trzy różne regiony czy strefy, które można przemierzać pojedynczo lub też łączyć razem skośnymi ścieżkami: istnieje strefa rzeki z jej bez-

pośrednim wybrzeżem z jednej strony, strefa stoku z drugiej strony i strefa lasu pośrodku.

Największą część szerokości zajmuje strefa lasu czy parku, gaju wierzbowego czy zarośli nadrzecznej — szukam dla tego dziwnego szmatu ziemi nazwy trafniejszej i dokładniejszej niż słowo las i nie znajduję jednak, jak mi się zdaje, stosownej. O lesie w zwykłym tego słowa znaczeniu, o takim salonie z mszystościółkowym podszyciem i pniami równej niemal grubości, nie ma zgoła mowy. Drzewa naszego rewiru są najrozmaitszego wieku i najrozmaitszej objętości; są między nimi olbrzymie praojce rodu wierzb i topoli, zwłaszcza wzdłuż rzeki, ale też i wewnątrz zagajnika; potem są - inne, już dorosłe, mogące liczyć dziesięć do piętnastu lat, i wreszcie legion cienkich pieńków, dzikie, naturalnego siewu szkółki młodych dębów, brzoź i olch, które jednak mimo to nie robią wrażenia chudości, gdyż, jak już wspomniałem, obrastają je grubo pnącze, które na ogół tworzą obraz niemal podzwrotnikowej bujności; atoli podejrzewam je, że hamują wzrost swych gospodarzy, gdyż w ciągu lat, odkąd tu żyję, nie widzę, aby te pieńki nazbyt zgrubiały.

Drzewa przedstawiają nieliczne, blisko spokrewnione gatunki. Olcha należy do rodziny brzoź, topola nie jest ostatecznie niczym innym jak wierzbą. I można by stwierdzić podobieństwo ich wszystkich do zasadniczego typu tej ostatniej, wiadomo bowiem leśnikom, że ród drzew bardzo lubi przystosowywać się do charakteru okolicy, naśladować każdorazowo

panujący styl linii i kształtu. Tutaj panuje fantastyczna, wiedźmowo-koślawa linia wierzby, tej wiernej towarzyszki i mieszkanki płynących jak i stojących wód, z gałęzmi wyciągniętymi jak krzywe paluchy, jak miotły, a inne starają się jawnie naśladować jej wygląd. Srebrna topola wykrzywia się zupełnie w jej guście; od niej zaś trudno często odróżnić brzozę, która pod wpływem ducha miejscowości lubuje się w osobliwych skrzywieniach, co nie znaczy, aby to miłe drzewo nie występowało też tu i ówdzie, nawet licznie, w niezwykle kształtnych, a przy korzystnym oświetleniu popołudniowym w czarujących oczy okazach. Okolica zna je jako srebrną łodyżkę z kilku rzędami w czub spiętrzonych liści; jako wysmukłą, zgrabną dziewicę o strzelistym kredowym pniu, zwieszającą w sposób wdzięczny i tęskny warkocze swego listowia; jednocześnie zaś w istic słoniowatej grubości z pniem, którego człowiek nie obejmie ramionami i którego kora nie wykazuje prawie śladu gładkiej bieli, spodem zaś jest szorstkim, czarnym jak węgiel, popękany drzewskiem.

Co do gruntu, nie ma on z gruntem leśnym żadnego podobieństwa. Jest żwirowaty, gliniasty nawet piaszczysty i nie należałoby uważać go za urodzajny. Mimo to w granicach swych jest on żyzny aż do zbytku. Rośnie na nim wybujala trawa, która często przybiera postać suchą, ostrokanciastą, jak na wydmach, w zimie zaś pokrywa ziemię niby stratowane siano, często przechodzi wprost w sitowie, gdzie indziej jednak kołysze się wśród sękatych korzeni drzew miękka, gruba, soczysta, zmie-

szana z cykuta, pokrzywą, podbiałem i przeróżnym pełzającym zielskiem, z wybująłym ostem, miękkimi jeszcze pędami drzew, tworząc wygodną kryjówkę dla bażantów i innych kur leśnych. Nad tą obfitością i gęstwą pnie się w szerokolistnych wieńcach po drzewach dzikie wino, spiralny dziki chmiel i jeszcze w zimie łodygi ich oplatają pnie niby twarde, nierozzerwalny drut.

Nie jest to las ani park, tylko ni mniej, ni więcej ogród zaczarowany. Będę bronił tego słowa, choć w gruncie rzeczy idzie o skąpą, ograniczoną i ku zwyrodnieniu chylącą się naturę, którą można wyczerpać i określić kilkoma prostymi botanicznymi nazwami. Grunt jest falisty, podnosi się i opada ciągle, co wytwarza piękną zwartość krajobrazu, nieprzejrzaność nawet z boków; ba, gdyby poręba ciągnęła się na lewo i prawo milami lub tak daleko, jak ciągnie się na długość, zamiast mierzyć z obu stron od środka tylko sto kilkadziesiąt kroków, to nie można by czuć się bardziej skrytym, utajonym, odosobnionym. Tylko równomierny szum od zachodu przypomina uchu przyjazną bliskość rzeki, której nie widać... Są tu wądoły pełne bzu, kocierpki, jaśminu i czeremchy, tak że w parne dni czerwcowe pierś ledwie pomieścić może wonie. Istnieją też wklęsłości, proste jamy żwirne, których zbocza i dno porasta kilka pędów wierzbowych i trochę suchej szaławii.

Wszystko to nie przestaje działać na mnie w sposób przedziwny, choć od wielu lat stało się dla mnie chlebem codziennym. To mnóstwo jesionów, podobnych do olbrzymich paproci, te pnące i oczerety, ta wilgoć i suchość nastrajają mnie

jakoś fantastycznie i aby wyrazić całe me wrażenie: zdaje się, jakby człowiek znajdował się wśród krajobrazu innej epoki geologicznej lub też w krainie podmorskiej, jakby chodził po dnie wód, i wyobrażenie to ma coś wspólnego z rzeczywistością: gdyż woda stała tu niegdyś w wielu miejscach, zwłaszcza w owych zagłębieniach, które teraz jako czworokątne kotliny, porośnięte zasianymi przez naturę dzikimi szkółkami jesionów, służą owcom za pastwiska, a jedna taka kotlinka leży tuż za moim domem.

Puszcza pocięta jest wszerek i wzdłuż drózkami, po części smugami stratowanej trawy lub też zwirowymi ścieżkami, które widocznie nie zostały założone, tylko wydeptane, choć nikt nie mógłby powiedzieć, kto je wydeptał. Gdyż niezmiernie rzadko spotykamy na nich z Bauszanem człowieka i towarzyszy mój staje na jego widok stropiony, wydając głuchy szczekot, który bardzo dokładnie wyraża też moją własną postawę uczuciową wobec tego zdarzenia. Nawet w piękne, letnie popołudnie niedzielne, gdy mnóstwo spacerowiczów z miasta wylewa się w naszą okolicę (gdyż zawsze jest tu o kilka stopni chłodniej niż gdzie indziej), możemy snuć się po tych drogach niemal bez przeszkód, gdyż ludzie nie znają ich, a pociąga ich potężnie przede wszystkim woda, rzeka, na której najniższym nadbrzeżu gęsty tłum ludzki faluje tam i sam, o ile nie uniemożliwia tego powódź. Co najwyżej spotkać można obozującą w gęstwinie parę miłosną, która spogląda na nas z swego gniazda zuchwałymi i nieśmiałymi oczyma zwierzów, jakby chciała

spytać przekornie, czy może nie podoba się nam jej obecność i ustronne zachowanie, czemu przeczy my milcząco, skręcając na bok: Bauszan z obojętnością, z jaką przyjmuje wszystko, co nie zalatuje zapachem zwierzyny, ja zaś z miną niemą, bez wyrazu, która może mówić wszystko, a nie zdradza ani cienia pochwały czy nagany.

Ścieżki te jednak nie są jedynymi środkami komunikacji w mym parku. Są tam ulice, dokładnie mówiąc, zamiary, które kiedyś były ulicami lub kiedyś nimi być miały, albo też, jeśli Bóg da, naprawdę jeszcze kiedyś będą... Rzecz ma się tak: jeszcze dobry kawał za zabudowaną częścią okolicy, małą kolonią will, widać ślady torującej drogę siekiery i sangwicznej przedsiębiorczości. Myślano o przyszłości, robiono śmiałe plany. Spółka handlowa, która przed dziesięciu czy piętnastu laty wzięła ten szmat ziemi w swe ręce, miała inne, to jest wspanialsze, co do niej (i co do siebie samej) zamiary, niż później wypadło; osiedle nie miało ograniczać się do garstki will, które dziś tutaj stoją. Istniało mnóstwo parcel, na przestrzeni całego kilometra wzdłuż rzeki wszystko było — i jest jeszcze dzisiaj — gotowe do przyjęcia nabywców i miłośników domatorskiego trybu życia. Nie poprzestawano na umacnianiu brzegów, na wybudowaniu dostępnego pobraża czy ogrodowych plantacjach. Ręka kultury sięgnęła nawet w gęstwinę, zaczęto karczować, zwirować, łączyć dzikie zarośla ulicami wzdłuż i w poprzek — pięknie pomyślanymi, wspaniałymi ulicami lub projektami na nie, z grubym żwirem, z

zaznaczeniem jezdni i szerokich miejskich chodników, po których jednak teraz nie przechadzają się obywatele poza Bauszanem i mną: pierwszy na dobrej i wytrwałej skórze swych czterech podszew, ja w butach, podbitych z powodu żwiru gwoździami. Gdyż nie ma na razie will, które wedle obliczeń i zamiarów spółki winny by od dawna je były zdobić, choć ja przecie dałem tak dobry przykład i zbudowałem sobie dom w tej okolicy. Nie ma ich, powiadam, od dziesięciu czy piętnastu lat i nie dziw, że jakiś niemiły nastrój owiał te okolice, a w łonie spółki zagnieździła się niechęć do dalszych wydatków i wykończenia szeroko zakreślonego dzieła.

A jednak rzecz doszła już tak daleko, że te ulice bez mieszkańców posiadają już swoje uregulowane nazwy, jak w jakiej miejskiej lub zamiejskiej dzielnicy; pragnąłbym jednak wiedzieć, co za marzycielski czy retrospektywnie myślący pięknoduch-spekulant nadał im je. Jest tu ulica Gellerta, ulica Opitza, ulica Flemminga, ulica Bürgera, a nawet ulica Adalberta Stiftera, po której z dziwną sympatią i nabożeństwem przechadzam się w swych podbitych gwoździami butach. U wejścia do nich, jak to bywa zwykle na nieszczelnie zabudowanych ulicach podmiejskich, które nie mają narożnika, umieszczone są słupy, a na nich umocowane tabliczki; niebieskie, wedle tutejszego zwyczaju, emaliowane tabliczki z białymi literami. Ale tabliczki te nie są w najlepszym stanie, zbyt długo już oznaczają nazwiskami szkice ulic, przy których nikt nie chce mieszkać, i one to w nie najmniejszym stopniu są oznaką przykrego

nastroju, klapy i zatamowanego rozwoju. Wiszą zaniedbane; nikt się nie troszczy o ich zachowanie, o ich odnowienie, a słońce i deszcze dały im się dobrze we znaki. Emalia odprysnęła w kilku miejscach, białe litery zjadła rdza, tak że zamiast napisów zieją z nich tylko brunatne plamy i luki z brzydki ząbkowanymi brzegami, przerywają obrazy nazwisk i utrudniają często ich odczytanie. Kiedym się tu sprowadził i zapoznawał z okolicą, jedna zwłaszcza tablica zmuszała mnie do mozolnego łamania sobie głowy. Była to tablica wyjątkowo długa, a słowo „ulica” utrzymane było w całości; z właściwego jednak imienia, które, jak rzekłem, było bardzo długie, znakomita większość liter pozostała ślepa i zżarta rdzą; brązowe luki pozwalały wnioskować o ich ilości: rozpoznać jednak było można tylko połowę S na początku, jakieś e w środku i znowuż e na końcu. Było tego za mało dla mej bystrości, uważałem, że jest to równanie o zbyt wielu niewiadomych. Stałem długo z rękami na plecach, wpatrzony w długą tablicę, i studiowałem. Potem z Bauszanem ruszyłem dalej chodnikiem. Ale kiedy wyobrażałem sobie, że myślę o czymś innym., coś po kryjomu pracowało we mnie dalej, duch mój szukał zniszczonego nazwiska i nagle strzeliło mi do głowy — stanąłem i przestraszyłem się: zawróciłem szybko, stanąłem znów przed tablicą, porównywałem i próbowałem. Tak, pasowało i zgadzało się. Ulica, którą szedłem, była ulicą Shakespeare'a.

Tabliczki odpowiadają ściśle ulicom, a ulice tabliczkom: są rozmarzone i dziwnie podupadłe. Biegają przez gąszcz, w którym

zostały wycięte, ale gąszcz nie spoczywa, nie pozwala, aby ulice trwały dziesiątki lat nietknięte, aż zjawią się osadnicy; czyni wszystko, aby się zewrzeć, gdyż to co tu rośnie, nie boi się żwiru, przyjmuje się na nim, toteż na jezdni, jak i na chodnikach, bujają sobie purpurogłowe osty, niebieska szałwia, srebrzysta wierzbina i zieleń młodych jesionów; nie ma wątpliwości: ulice parkowe o poetycznych nazwach zapuszczają się chwastem, gęstwina wchłania je znowu i bez względu na to czy się będziemy tym martwić, czy radować, za dalsze lat dziesięć po ulicach Opitza i Flemminga nie będzie można chodzić, gdyż prawdopodobnie znikną, jakby ich nigdy nie było. Oczywiście na razie nie ma powodu do skargi, gdyż z punktu widzenia malarskiego i romantycznego nie ma z pewnością na całym świecie ulic piękniejszych niż te w swym obecnym stanie. I nic przyjemniejszego, jak włóczyć się wśród zaniedbanego i niegotowego parku, o ile ma się na nogach mocne buciska, aby nie bać się żwiru, nie ma nic miłszego, jak patrzeć ponad urozmaiconą gęstwiną podszycia na drobnolistną, miękką, wilgocią stonowaną porębę, która obramia i zamyka perspektywy. Jest to poręba, jaką malował przed trzystu laty ów lotaryński pejzażysta. Ale cóż mówię: jaką malował. Malował tę właśnie! Był tutaj, znał okolicę, studiował ją niewątpliwie; i gdyby marzycielski akcjonariusz, który nazywał ulice parku, nie był się tak surowo ograniczył do literatury, to jedna z zardzewiałych tabliczek powinna by nosić nazwisko Claude Lorraina¹⁷.

¹⁷ Claude Lorrain (1600—1682) — malarz i rytownik francuski, mistrz pejzażu.

Opisałem rejon średniego zagaja. Ale i strefa wschodniego stoku posiada dla mnie i dla Bauszana uroki nie do pogardzenia z powodów, które później wyłuszczę. Można by ją też nazwać strefą potoku, gdyż on nadaje jej piętno sielskiego pejzażu i tworzy, wraz z kontemplacyjnością swych niezapominajkowych gruntów, z tej strony odpowiednik wielkiej rzeki z tamtej strony, rzeki, której szum przy wiejącym przeważnie wietrze zachodnim dochodzi aż tutaj. Tam, gdzie pierwsza z sztucznych przecznic, biegnąca między pastewnymi kotlinami i leśnymi parcelami na kształt grobli ku stokowi, kończy się nad rzeką, prowadzi na lewo w niżej leżącą okolicę droga, która w zimie służy młodzieży za tor saneczkowy. Tam, gdzie się droga wyrównywa, potok zaczyna swój bieg i po jego brzegach, z lewej czy z prawej strony, co znów może być urozmaiceniem, pan i pies lubią się przechadzać wzdłuż rozmaicie ukształtowanego stoku. Po lewej roztaczają się drzewami otoczone łąki. Widać tam wiejskie gospodarstwo ogrodowe, pokazujące tyły swych zabudowań; owce, skubiąc koniczynę, pasą się pilnowane przez małą, niezupełnie mądrą dziewczynkę w czerwonej sukience: w rozkazodawczej wściekłości opiera ona ciągle ręce o kolana i z całych sił krzyczy niemile brzmiącym głosem, straszliwie jednak boi się przy tym wielkiego barana, któremu wełna nadaje pozór majestatycznej grubości i który nie słucha żadnego zakazu i robi, co mu się żywnie podoba. Najokropniej krzyczy dziecko wtedy, gdy pojawienie się Bauszana wywołuje panikę wśród owiec, a dzieje się to regularnie, wbrew zamiarom i chęciom Bauszana, któremu owce są w głębi duszy raczej obojętne i który zupełnie

nie zwraca na nie uwagi, a nawet przez akcentowane niedostrzeżenie i pogardliwą ostrożność stara się zapobiegać wybuchowi szaleństwa. Gdyż, choć dla mego powonienia pachną mocno (zresztą w sposób nieprzykry), nie wydają jednak woni dzikiej zwierzyny, toteż Bauszan nie ma najmniejszego powodu ścigać ich. Mimo to wystarczy jeden ruch z jego strony, a nawet samo pojawienie się, by naraz cała trzoda, która dopiero co, becząc spokojnie dziecięcymi i męskimi głosy, pasła się w rozproszeniu, rzuciła się nagle zbitą masą, grzbiet przy grzbiecie, w bok, gdy poza nimi nierozumne dziecko, nisko skulone, krzyczy na całe gardło, aż oczy wyłażą mu na wierzch. Bauszan jednak patrzy na mnie niemal, jakby mówił: sam powiedz, czy jestem winien i czy dałem jaki powód?

Raz jednak stało się coś przeciwnego, co robiło jeszcze przykrzejsze, w każdym razie dziwniejsze wrażenie niż panika. Jedna z owiec, zwykły okaz swego rodzaju, średniej wielkości i przeciętnej owczej twarzy, zresztą z wąskim, w górę wykrzywionym pyskiem, który zdawał się uśmiechać i nadawał stworzeniu wyraz złośliwej niemal głupoty, zadurzyła się, jakby zakochała w Bauszanie i przyłączyła się doń. Poszła po prostu za nim, opuściła trzodę i uśmiechając się cicho, z przesadną głupotą, towarzyszyła Bauszanowi wszędzie, dokądkolwiek się zwrócił. Pies opuścił drogę, owca za nim; on zaczął biec, ona również puściła się cwałem; on stanął, ona to samo tuż za nim, uśmiechając się tajemniczo. Niezadowolenie i zakłopotanie malowały się na twarzy Bauszana i rzeczywiście położenie jego

było do najwyższego stopnia niesmaczne, nie miało najzupełniej sensu, zdawało się tak głupie, że ani mnie, ani jemu nie zdarzyło się nigdy nic podobnego. Owca oddalała się coraz bardziej od swej bazy, ale to zdawało się nic ją nie obchodzić, szła coraz dalej za rozgniewanym Bauszanem, zdecydowana widocznie nie rozłączać się z nim zupełnie, tylko trzymać się go, dopóki się da. Bauszan trzymał się mnie cicho, mniej z obawy, do której nie było zgoła powodu, niż ze wstydu, że znajduje się w tak niehonorowej sytuacji. Wreszcie, jakby miał tego dość, stanął, odwrócił głowę i warknął groźnie. Owca beknęła, aż się rozległo, jak kiedy człowiek zaśmieje się bardzo złośliwie, co biednego Bauszana przeraziło tak, że uciekł z podwiniętym ogonem, a owca w śmiesznych podskokach za nim.

Odeszliśmy już daleko od trzody, a tymczasem szalona dziewczynka krzyczała, jakby miała pęknąć, nie tylko pochylając się ku kolanom, lecz podnosząc je w krzyku na przemian aż do twarzy, tak że z daleka przedstawiała widok pokraccznego szaleństwa. Po czym nadbiegła podkasana dziewczka, czy to zwabiona krzykiem, czy też dziwacznym zdarzeniem. Biegła dzierżąc w jednej ręce widły, drugą przytrzymując nie umocowane piersi, które nazbyt chwiały się w biegu, doścignęła nas bez tchu i starała się owcę, która szła znów wolnym krokiem, bo czynił to i Bauszan, odpędzić widłami w należyтым kierunku, co się jej jednak nie udawało. Wprawdzie owca uskakiwała przed widłami na bok, ale zakosem znajdowała się znów przy Bauszanie i żadna moc nie mogła jej odeń oderwać.

Wtedy poznałem, że jedno tylko pomoże, i zawróciłem. Wracaliśmy wszyscy, Bauszan za mną, za nim owca, a za owcą dziewczka z widłami, dziewczynka zaś w czerwonej sukience krzyczała ku nam, kuląc się i tupiąc nogami. Nie dość jednak na tym, że wróciliśmy do trzody, musieliśmy całą drogę przebyć do końca. Musieliśmy zejść do fermy i do owczarni, której szerokie drzwi na kółkach dziewczka rozsunała przed nami. Weszliśmy do środka i gdyśmy wszyscy tam stali, musieliśmy obaj znów wymknąć się zrećźnie i zamknąć oszukanej owcy drzwi przed nosem, tak że była uwięziona. Dopiero wtedy mogliśmy z Bauszanem, wśród dziękczynień dziewczki, podjąć przerwana przechadzkę, podczas której jednak Bauszan aż do końca był markotny i upokorzony.

Tyle o owcach. Z budynkami gospodarczymi łączy się z lewej strony rozległa kolonia ogródków działkowych, która swymi letniami, podobnymi do kapliczek domkami i licznymi płotkami sprawia wrażenie cmentarne. Kolonia ogrodzona jest też jako całość, przez furtę wejścia mają tam dostęp tylko przynależni ogrodnicy i często widuję też jegomościa z gołymi ramionami, który okopuje swój dziewięciostopowy warzywnik, tak iż ma się wrażenie, jakby kopał swój własny grób. Potem ciągną się znów otwarte, kretowiskami okryte łąki, które sięgają po skraj średniego rejonu leśnego i w których prócz kretów gnieźdzą się też liczne myszy polne, co zaznaczam ze względu na Bauszana i jego różne żyłki myśliwskie.

Z drugiej, to jest z prawej strony płynie potok i ciągnie się zbocze w rozmaitej, jak rzekłem, postaci. Zrazu posiada posepny, bezsłoneczny charakter i porośnięte jest sosnami. Potem staje się kopalnią piasku, która odbija ciepło promienie słoneczne, potem kopalnią żwiru, wreszcie zwaliskiem cegieł, jakby w górze zburzono dom i zsypano tu po prostu bezwartościowe szczątki, tak że potok napotyka chwilowo trudności w biegu. Ale daje sobie z nimi radę, wody jego zatrzymują się nieco i przelewają się zabarwione czerwono miałem palonej gliny, barwiąc też trawę, którą skrapiają. Potem jednak płyną tym czystsze i pogodniejsze, migocąc tu i ówdzie słońcem na powierzchni.

Lubię bardzo potok jak wszystkie wody, od morza do kałuży sitowiem porosłej, i kiedy latem wśród gór ucho me usłyszy z daleka tajemny plusk i szum strumienia, to idę długo, jeśli trzeba, za płynnym dźwiękiem, by odkryć jego łożysko, spojrzeć w twarz skrycie rozmownemu synowi wyżyn i zawrzeć z nim znajomość. Piękne są potoki, które spływają z głośnym hukiem wśród jodeł, przez strome progi skalne, tworzą zielone, lodowate kipiele i białą pianą spadają prostopadle na następny próg. Ale patrzę z przyjemnością i miłością również na strumienie równin, zarówno te płytkie, co ledwo pokrywają toczony, srebrzystośliski żwir swego koryta, czy też głębokie jak małe rzeki, które w pełni i w sile toczą się pod opieką nisko z obu stron zwieszonych brzóz, mając w środku prąd szybszy niż po bokach. Któż wśród wędrowek nie szedł za biegiem wód,

jeśli tylko miał wolność wyboru? Siła przyciągania, jaką wywiera woda na człowieka, jest naturalna i sympatycznego rodzaju. Człowiek jest dzieckiem wody, w dziewięciu dziesiątych składa się z niej nasze ciało i w pewnym stadium naszego rozwoju przed urodzeniem posiadamy skrzela. Co do siebie wyznaję chętnie, że patrzenie na wodę, w każdej formie i postaci, jest dla mnie najbezpośredniejszym, najgłębszym rodzajem rozkoszowania się naturą, ba, sądzę, że tylko to patrzenie pozwala mi naprawdę pogrążyć się w sobie, naprawdę zapomnieć o sobie, stopić własną ograniczoną istotę z powszechnością. Patrzenie to, nawet nie na śpiące lub grzmiałoszturmujące morze, zdolne jest wprowadzić mnie w stan tak głębokiego, organicznego rozmarzenia, tak dalekiej nieobecności, że tracę wszelkie poczucie czasu i nuda staje się pojęciem nijakim, gdyż w takim zjednoczeniu i towarzystwie godziny upływają mi jak minuty. Ale również przechylony przez poręcz kładki, wiodącej przez potok, mógłbym stać bez końca, zapatrzony w toki, wiry i prądy, nie czując trwogi lub zniecierpliwienia z powodu innego toku dokoła mnie i we mnie, szybkiej ucieczki czasu. Ta sympatia z naturą wody czyni mi dlatego drogim i cennym ten wąski szmat ziemi, który zamieszkuję, że z dwóch stron oblany jest wodą.

Potok tutejszy jest jednym z prostych i serdecznych potoków, nie ma w nim nic nadzwyczajnego, cechuje go uprzejma przeciętność. Naiwnie przeźroczy jak szkło, bez fałszu i obłudy, ani myśli mętem udawać głębinę, jest płytki i jasny i

pokazuje niewinnie na swym dnie, w zielonym szlamie, wyrzucone garnki blaszane i zewłok sznurowanego trzewika. Zresztą jest dość głęboki, by służyć za mieszkanie ładnym, srebrzystoszarym i niezwykle chybkiem rybkom, które za naszym zbliżeniem uciekają w szerokich zygzakach. W kilku miejscach rozlewa się na kształt stawów, porastając na brzegach pięknymi wierzbami, z których jedną szczególnie podziwiam mijając ją. Rośnie ona na stoku, więc w pewnym oddaleniu od wody. Ale jedna gałąź pręży się stamtąd tęsknie ku potokowi, dokazując istotnie tyle, że nurt wody zwilża lekko srebrzyste listowie jej kończyny. A ona rozkoszuje się tym zetknięciem.

Miło jest przechadzać się tam w powiewie ciepłego letniego wiatru. Jeśli jest gorąco, Bauszan wchodzi do potoku, aby ochłodzić sobie brzuch; gdyż górnej części ciała dobrowolnie nie zanurzy. Położywszy uszy po sobie stoi i z pobożną miną płucze się w wodzie. Potem podchodzi do mnie, aby się otrzepać, co jego zdaniem odbyć się musi w bezpośrednim moim pobliżu, choć wobec gwałtowności tych otrząsów obryzguje mnie ulewa wody i szlamu. Nic nie pomaga, że bronię się słowem i kijem. Nie da się ograniczyć w tym, co wydaje mu się prawidłowe i niezbędne.

Przechodzimy do strefy rzeki, która widnieje przed nami, zielona i biało-pienista. W gruncie rzeczy jest to tylko wielki potok, płynący od gór, ale jego nieustanny szum, który mniej lub więcej stłumionym głosem roznosi się po okolicy, tu jednak w całej pełni wnika do uszu, może w całości zastąpić święty

rozwiar morza, o ile mieć go nie można. Łączy się z tym nieustanny pokrzyk niezliczonych mew, które w jesieni, w zimie i nawet jeszcze na wiosnę z głodnym skrzeczeniem okrążają ujścia rur odpływowych, szukając tam pożywienia, zanim pora roku pozwoli im bytować nad górnymi jeziorami, podobnie jak dzikie i półdzikie kaczki, które również tutaj, w pobliżu miasta, spędzają chłodne i zimne miesiące, kołyszą się na falach, dają się unosić wirującemu, chybotliwemu spadowi, w ostatniej chwili porywają się z progu i osiadają znów wyżej na rzece...

Rejon wybrzeża dzieli się na następujące człony i stopnie: na skraju zagaja roztacza się szeroka płaszczyna żwiru, jako dalszy ciąg kilkakrotnie wymienianej alei topolowej na przestrzeni jakiegoś kilometra w dół rzeki, to znaczy do domu przewoźnika; o domu tym, za którym gąszcz zbliża się do rzeki, będzie jeszcze mowa. Wspominaliśmy już o pustyni żwiru: jest to główna i najważniejsza z dalekobieżnych, sztucznych ulic, zaprojektowana wspaniale przez spółkę, jako krajobrazowo najpiękniejsza esplanada dla eleganckich pojazdów; tam właśnie wytworni panowie na koniach mieli podjeżdżać do drzwiczek połyskliwie lakierowanych land i z uśmiechniętymi, wygodnie rozpartymi damami zamieniać kilka dowcipnych słów. Koło domu przewoźnika duża, skrzywiona, upadkiem grożąca tablica poucza, jaki miał być bezpośredni cel i chwilowy kres kursa powozów, gdyż wielkie litery głoszą, iż plac ten jest do sprzedania dla urządzenia na nim kawiarni parkowej i wytwornego zakładu restauracyjnego... Tak, jest do sprzedania i pozostaje nadal.

Gdyż zamiast kawiarni ze stolikami, latającymi kelnerami i siorbającymi gośćmi sterczy wciąż jeszcze krzywa tablica, beznadziejnie kłoniąca się do upadku propozycja bez popytu, a korso jest tylko pustynią grubego żwiru, wierzbiny i niebieskiej szaławii, pustynią tak gęsto zachwaszczoną jak ulica Opitza i Flemminga.

Obok esplanady, bliżej rzeki, biegnie wąska i również mocno zachwaszczona żwirowa grobla z trawiastymi szkarpami; stoją na niej słupy telegraficzne. Korzystam z niej jednak chętnie podczas przechadzek, przede wszystkim dla różnorodności, po wtóre dlatego, że choć utrudnia chodzenie, pozwala nie brudzić się, gdyż ścieżka gliniasta na dole jest w czas słotny nie do użycia. Ścieżka ta, właściwa promenada, która godzinami ciągnie się wzdłuż rzeki, przechodząc wreszcie w dzikie ścieżki nadbrzeżne, obsadzona jest od strony wody młodymi drzewkami, klonem i brzozą, od strony lądu zaś stoją potężni pramieszkańcy okolicy, wierzby, osiki i srebrne topole olbrzymich rozmiarów. Zbocze jej spada stromo i głęboko ku łożysku rzeki. Wiklina i beton w dolnej części zabezpieczają ją przeciw powodzi, która raz czy dwa razy do roku, w czasie tajania śniegu w górach lub długotrwałych deszczów, dociera aż do niej. Tu i ówdzie widać drewniane szczeble, na pół drabiny, na pół schody, po których można zejść wygodnie do właściwego łożyska; jest to przeważnie suche, prawie sześć metrów szerokie zapasowe łożysko wielkiego potoku górskiego, który zachowuje się zupełnie na wzór małych i najmniejszych członków swej

rodziny, to jest czasami, stosownie do opadów w wyższych okolicach swego biegu, przedstawia tylko zielony ściek z ledwo zalanymi skałami, gdzie wysokonogie mewy zdają się stać na wodzie; w innych okolicznościach zaś przybiera po prostu niebezpieczny charakter, wzbiera w rzekę, napełnia swe szerokie koryto strasznym hukiem, wirując unosi kosze, krzaki, zdechłe koty, okazując skłonność do wylewów i gwałtów. Również łożysko zapasowe umocnione jest przeciw powodzi równoległe skośnymi plecionkami z wierzbiny. Porasta wszędzie ostrą trawą, głuchym owsikiem i wszędzie obecną, ozdobną rośliną okolicy, suchą niebieską szałwią; łożysko jest dostępne dzięki temu, że pas wybrzeża z równych kamieni biegnie samym skrajem fal i stwarza mi dalszą, najmielszą możliwość urozmaicenia przechadzek. Wprawdzie marsz po niepodatnych kamieniach nie należy do najwygodniejszych; ale w pełni nagradza za to swoiste poblize wody, zresztą można niekiedy iść obok nadbrzeża piaskiem: tak, między żwirem i ostrą trawą jest piasek, zmieszany trochę z gliną, nie tak nieskazitelnie czysty jak piasek morski, lecz jednak piasek napływowy; więc można przechadzać się bez końca skrajem wody, nie brak szumu ani krzyku mew, ani owej czas i przestrzeń pochłaniającej jednostajności, która użycza pewnego rodzaju ogłuszającej rozrywki. Wszędzie szemrzą płaskie katarakty i w połowie drogi do domu przewoźnika miesza się z tym szum wodospadu, którym kanał skośnym ujściem wpada do rzeki. Tułów wodospadu jest sklepiony, lśniący, szklany jak ciało ryby i wrze u dołu nieustannie. Pięknie tu jest, gdy niebo błękitne, a prom ozdo-

biony chorągiewką na cześć pogody lub z innego świątecznego powodu. Jest więcej łodzi w tym miejscu, lecz prom przymocowano do liny drucianej, która z inną, grubszą liną drucianą, rozpiętą przez rzekę, połączona jest w ten sposób, że biegnie po niej na krążku. Sam prąd pędzi prom, ster w ręku przewoźnika dokonywa reszty. Przewoźnik z żoną i dzieckiem mieszka w domu, który z ogródkiem i kurnikiem leży nieco za górną ścieżką i jest z pewnością mieszkaniem urzędowym i bezpłatnym. Jest to rodzaj willi karlich rozmiarów, zbudowanej kapryśnie i lekko, z małymi wykuszami i stryszkami, mieszczącej, jak się zdaje, dwie izby na dole, a dwie na górze. Chętnie przesiaduję na ławce przed ogródkiem, tuż przy górnej ścieżce, Bauszan waruje u mych nóg. Kury przewoźnika chodzą dokoła mnie, wyrzucając za każdym krokiem głowy, kogut najczęściej wlatuje na poręcz ławki, zwiesza w dół zielone, bersalierskie pióra swego ogona i siedzi tak obok mnie, lustrując mnie bystro z boku swym czerwonym okiem. Przyglądam się ruchowi przewozowemu, którego nie można nazwać gwałtownym ani ożywionym, gdyż odbywa się on z długimi przerwami. Tym chętniej widzę, gdy od czasu do czasu zjawi się mężczyzna lub kobieta z koszem i żądają, by przewieziono ich przez rzekę; gdyż poezja „przeprawy” pociąga nadal człowieka jak za najdawniejszych czasów, choć czynność ta, jak tutaj, odbywa się w formach nowocześnie postępowych. Drewniane, podwójne schody, dla przybywających i odjeżdżających, prowadzą z boczem w dół ku łóżysku rzeki i w górę ku ścieżkom i z obu stron przy każdym z wejść umieszczony jest guzik elektryczny.

Na drugim brzegu zjawia się człowiek, stoi cicho i spogląda przez wodę. Nie woła już, jak niegdyś, przez dłoń zwiniętą w trąbkę. Podchodzi do guzika, wyciąga rękę i przyciska. W willi przewoźnika rozbrzmiewa przeraźliwy dzwonek: to znaczy „holuj”; nawet i tak zawsze jeszcze poetycznie. Potem przybysz stoi, czeka i wygląda. I niemal w tej samej chwili, gdy rozlega się dzwonek, wychodzi przewoźnik z swego urzędowego domku, jak gdyby stał za drzwiami lub siedział na krześle, czekając tylko na znak — wychodzi, a w krokach jego jest coś takiego, jakby w sposób mechaniczny został bezpośrednio przez naciśnięcie dzwonka wprowadzony w ruch, jak kiedy w strzelnicach strzela się w drzwi domku; jeśli trafisz, drzwi otwierają się i wychodzi z nich figura, jakaś pasterka lub szyldwach. Nie śpiesząc się i kołysząc miarowo rękami, schodzi przewoźnik przez ogródek, przez ścieżkę i stopnie drewniane do rzeki, uruchamia prom i dzierży ster, gdy krążek mknie po biegnącej w poprzek linie, i przeprowia łódź na drugą stronę. Na drugiej stronie zabiera przybysza, który, przebywszy rzekę, z tej strony, na ścieżce, wręcza mu nikłowy pieniądz, wbiega wesoło po schodach i zwraca się na prawo lub lewo. Czasami, kiedy słabość lub pilne zajęcie domowe wstrzymują przewoźnika, wychodzi jego żona lub nawet dziecko i przewozi przybysza; umieją to równie dobrze i ja umiałbym także. Urząd przewoźnika jest łatwy i nie wymaga szczególnych zdolności lub przygotowań. Może mówić o szczęściu i pomyślnym losie, mogąc prebendę tę nazwać swoją i zamieszkiwać karłą willę. Każdy głupiec mógłby go doskonale zastąpić, o czym on wie

zapewne i zachowuje się skromnie i wdzięcznie. Wracając mówi mi, siedzącemu na ławce między psem i kogutem, „Szczęść Boże” i widać, że nie chce robić sobie wrogów.

Woń dziegciu, wiatr znad wody i głuchy plusk o drzewo łodzi. Czegóż chcieć więcej? Czasem nachodzi mnie inne swojskie wspomnienie: woda śpi głęboko, pachnie nieco zgnilizną — to laguny, to Wenecja. Ale potem znów burzy się fala, deszcz leje bez końca; w płaszczu gumowym, z zalaną twarzą, pruję na górnej ścieżce twardy wiatr zachodni, który w alei odrywa młode topole od ich palów i pozwala zrozumieć, dlaczego drzewa rosną tu skośno i mają jednostronnie rozwiniętą koronę; Bauszan zaś często przystaje w drodze, by się otrzepać, aż bryzga na wszystkie strony. Rzeka nie jest już tym, czym była. Wezbrana, ciemnożółta, toczy się z wyrazem katastrofalnym. Dzika fala kołysze się, prze i śpieszy, brudnymi wodami zapełnia całe zapasowe łożysko aż do brzegu szkarpy, ba, tryska nad obetonowanie, nad zabezpieczające zarośla wierzbowe, tak że błogosławi się zabiegliwą przezorność. Rzecz niesamowita: w tym stanie rzeka staje się cicha, cichsza niż zazwyczaj, niemal bezgłówna. Nie ma wartkich zazwyczaj spadków, jest na to zbyt wezbrana; ale miejsca te poznać po tym, że fale tworzą tam głębsze doliny i wznoszą się wyżej niż gdzie indziej i że grzebienie ich przewalają się w tył, nie zaś w przód, jak grzebienie kipieli. Wodospad nie gra już w ogóle żadnej roli: tułów jego jest płaski i nędzny, szum u jego stóp prawie unicestwiony przez wysoki stan wody. Co zaś do Bauszana, to

zdumienie jego z powodu takiej zmiany rzeczy nie zna granic. Nie posiada się z podziwu, nie pojmuje, że sucha przestrzeń, po której zwykle kłusuje i gania, dziś znikła przykryta wodą; przestraszony ucieka na szkarpe przed wysokim przyborem fali, ogląda się za mną machając ogonem, spogląda znów na wodę, z zakłopotaniem otwiera krzywo pysk i znów go zamyka wtykając jęzor w kąty; ta mimika robi zarówno ludzkie jak zwierzęce wrażenie, jako środek wyrazu może mało subtelna i nieokrzesana, lecz zupełnie zrozumiała; na taką samą, wobec fatalnego stanu rzeczy, mógłby się zdobyć prosty, nędznie urodzony człowiek, drapiąc się jednocześnie jeszcze za uchem. Zająwszy się bliżej i strefą rzeki, opisałem całą okolicę i, o ile widzę, uczyniłem wszystko, aby ją unaocznić. Podoba mi się ona bardzo w opisie, ale w naturze podoba mi się jeszcze bardziej. Jest w tej sferze dokładniejsza i bardziej urozmaicona, jak i sam Bauszan jest w rzeczywistości cieplejszy, żywszy i weselszy niż jego magiczne odbicie. Kocham ten krajobraz i jestem mu wdzięczny, dlatego go opisałem. Jest on mym parkiem i moją samotnością; myśli moje i sny są zmieszane i zrosnięte z jego obrazami, jak listowie jego pnączy z jego drzewami. Patrzyłem nań w różnych porach dnia i roku: w jesieni, gdy chemiczna woń więdnących liści napęlnia powietrze, kiedy okwita wełną mnóstwo krzewiastych ostów, kiedy wielkie buki „parku zdrojowego” zaścielają łąkę dokoła siebie rdzawym kobiercem liści, a ociekające złotem popołudnia przechodzą w teatralno-romantyczne odwieczere z pływającym po niebie sierpem księżycy, z mleczną szezogą unoszącą się nad ziemią i z zorzą

płonącą poprzez czarne sylwety drzew... W jesieni więc, jako też i zimą, kiedy śnieg pokrywa miękko i wygładza żwir, tak że można kroczyć po nim w kaloszach, kiedy rzeka mknie czerniąc się wśród bladych, mrozem spętanych brzegów, a krzyk setek mew napełnia powietrze od rana do wieczora. Ale najswobodniej i najzażyłej obcuje się z nim jednak w czasie łagodnych miesięcy, kiedy nie trzeba żadnych przygotowań, by szybko, między dwiema przelotnymi ulewami, wyjść na kwadransik, mimochodem odgiąć przed twarzą gałąź kaliny i rzucić tylko okiem na wędrujące fale. Może byli w domu goście, którzy już wyszli, człowiek zmęczony rozmową pozostał wśród czterech ścian, gdzie unosi się jeszcze w powietrzu tchnienie obcości. Wtedy dobrze jest, tak jak się stoi, wyjść, powłóczyć się po ulicy Gellerta czy Stiftera, aby odetchnąć i wypocząć. Spojrzy się w niebo, potem w głąb pięknych i miękkich zarośli, nerwy uspokajają się, powaga i cisza wstępuje znów do duszy.

Ale Bauszan zawsze jest przy tym. Nie mógł przeszkodzić wtargnięciu świata do domu, protestował strasznym głosem i przeciwstawiał mu się, ale wszystko było na nic, więc usunął się na bok. Teraz jest rad, że znowu jestem z nim w rewirze. Z odrzuconymi niedbale w tył płatami uszu, biegnąc powszechnym psim zwyczajem na skos, tak że nogi tylne nie poruszają się wprost za przednimi, tylko nieco bokiem, cwałuje po żwirze przede mną. I nagle widzę, jak go przejęło całego, a sztywnie podniesiony kikut ogona zaczyna gwałtownie merdać. Głowa rzuca się w przód i w tył, ciało wypręża się i wydłuża, pies

skacze tam i sam i nagle pędzi, z nosem ciągle przy ziemi, w określonym kierunku. To ślad. Jest na tropie zająca.

POLOWANIE

Okolica obfituje w łowną zwierzynę i polujemy na nią: Bauszan poluje, a ja się przyglądam. W ten sposób polujemy na zające, kuropatwy, myszy polne, krety, kaczki i mewy. Ale nie stronimy też od wielkich łowów, polujemy też na bażanty, a nawet na sarnę, jeśli ta czasem w zimie zabłądzi do kniei. Denerwujący to wtedy widok, gdy wysokonogie, lekko zbudowane zwierzę, żółciejąc na tle śniegu, kołysząc wysoko białym talerzem, ucieka przed małym, dobywającym wszystkich sił Bauszanem: śledzę tę scenę z największym zaciekawieniem i napięciem. Nie, aby coś z tego miało wyniknąć; nigdy się to nie stało i nie stanie się. Ale brak namacalnych wyników ani nie umniejsza ochoty i namiętności Bauszana, ani nie uszczupla w najmniejszym stopniu mej własnej przyjemności. Uprawiamy łowy dla łowów, łowy jako takie, nie dla łupów, dla korzyści, i Bauszan jest, jak rzekłem, stroną czynną. Nie oczekuje po mnie niczego prócz moralnej pomocy, gdyż innego sposobu współdziałania, bystrzejszego i bardziej rzeczowego, w uprawianiu tej czynności nie zna z osobistego i bezpośredniego doświadczenia.

Podkreślam te słowa: „osobisty” i „bezpośredni”; albowiem jest rzeczą więcej niż prawdopodobną, że jego przodkowie, przynajmniej o ile należeli do linii wyżłów, znali prawdziwe polowanie, i nieraz zapytywałem się, czy wspomnienie to mogło dotrzeć aż do niego i zbudzić się dzięki przypadkowemu impulsowi. Na jego stopniu rozwoju życie jednostki oddziela się z pewnością powierzchowniej od życia gatunku niż w naszym wypadku, narodziny i śmierć stanowią mniej dogłębne zachwianie istnienia, może tradycje krwi zachowują się nienaruszalniej, tak że pozorną tylko sprzecznością byłaby mowa o wrodzonych doświadczeniach, o nieświadomych wspomnieniach, które, wywołane, mogłyby zbałamucić stworzenie co do jego osobistych doświadczeń, przejąć je względem nich niezadowoleniem. Rozmyślałem raz o tym z pewnym niepokojem; ale równie prędko wybiłem sobie znów tę myśl z głowy, jak Bauszan widocznie wybił sobie z głowy brutalne zdarzenie, którego był świadkiem i które dało mi powód do tych rozważań.

Wychodzę z nim zwykle na polowanie w południe, o wpół do dwunastej lub dwunastej, niekiedy, zwłaszcza w ciepłe dni letnie, w późne popołudnie, około szóstej lub później, albo też dzieje się to o tej porze już po raz drugi; w każdym razie stan mój jest wtedy zupełnie inny niż podczas naszego pierwszego, beztroskiego spaceru rano. Dziewiczość i świeżość owej godziny minęła dawno, przechodziłem tymczasem zmartwienia i walki, pokonywałem trudności, że aż trzeszczało, mocowałem się z tym i owym, zmuszony jednocześnie utrzymywać w myśli dalekie i

wielostronne związki i z całą przytomnością umysłu przenikać ostateczne ich rozgałęzienia. Toteż mam głowę zmęczoną. Wtedy polowanie z Bauszanem rozrywa mnie i rozpogadza, budzi we mnie siły życiowe i przywraca równowagę na resztę dnia, w którym jeszcze zrobić trzeba niejedno. Z wdzięczności opiszę je.

Oczywiście nie ma mowy o tym, byśmy co dzień brali na cel jeden z wymienionych gatunków zwierzyny i wychodzili tylko na zajęce lub kaczki. Raczej polujemy na wszystko razem, co nam się właśnie nawinie — omal nie powiedziałem pod lufę; i nie musimy chodzić daleko, by natknąć się na zwierzynę; polowanie może zacząć się dosłownie zaraz za. furtką ogrodową, gdyż myszy polnych i kretów jest już na łące za domem mnóstwo. Te futronośce nie są, ściśle biorąc, zwierzyną; ale ich tajemniczo-ryjący charakter, zwłaszcza chytra zwinność myszy, które nie są ślepe jak ich grzebiący kuzyni i zmyślnie harczą nieraz na powierzchni ziemi, wszelako, gdy zbliża się niebezpieczeństwo, czmychają do czarnej jamy, tak że nie można rozróżnić nóg i ich ruchu — wszystko to, bądź co bądź, działa potężnie na popęd prześladowczy psa i poza tym właśnie one są zwierzyną, która niekiedy staje się jego łupem: mysz polna, kret, to kąsek nie do pogardzenia w tak chudych czasach jak obecne, kiedy Bauszan w misce swej przy budzie znajduje często tylko trochę jałowej kaszy jęczmiennej.

Toteż ledwo uszedłem, podpierając się laską, kilka kroków w topolowej alei i ledwo Bauszan, by rozpocząć wycieczkę,

wyszczał się trochę, kiedy widzę go już, jak z prawej strony wyprawia najdziwniejsze koziolki. Już ogarnęła go namiętność myśliwska, Bauszan nie słyszy i nie widzi już nic poza drażniaco kryjomym harcowaniem żywych stworzeń dokoła niego: z wyteżoną uwagą, machając ogonem, podnosząc wysoko nogi, skrada się w trawie, przystaje w połowie kroku, zawieszając to przednią, to tylną nogę w powietrzu, wietrząc, patrzy skosem z góry na dół, przy czym płaty sztywnie podniesionych uszu spadają po obu stronach oczu, potem skacze, dotykając nieraz obiema przednimi łapami ziemi i spogląda stropiony tam, gdzie właśnie dopiero coś było, a gdzie teraz nic nie ma. Potem zaczyna grzebać. Mam wielką ochotę pójść za nim i czekać wyniku; ale w ten sposób nie ruszylibyśmy z miejsca, całą na ten dzień nagromadzoną ochotę myśliwską wyczerpałby na tej łące. Więc idę dalej, nie troszcząc się o to, żeby mnie dogonił, choć długo jeszcze stoi na miejscu, nie widząc, dokąd się zwróciłem: czuje mój ślad nie mniej niż trop zwierzyny, z głową między przednimi łapami wietrzy go utraciwszy mnie z oczu, już słyszę dźwięk jego marki policyjnej, jego silny galop za moimi plecami: przemyka obok mnie jak strza3a i zawraca, by machając ogonem zameldować swą obecność.

Ale dalej w zagaju lub na łąkach w strefie potoku zatrzymuję się jednak niekiedy i przyglądam mu się, jak grzebie w poszukiwaniu myszy, nawet kiedy jest późno i kiedy, przypatrując się, tracę czas przeznaczony na przechadzkę. Jego namiętne prace wprost przykuwa, jego głęboka gorliwość za-

raza, nie mogę powstrzymać się, by mu nie życzyć z serca powodzenia, i chciałbym bardzo być jego świadkiem. Z zewnątrz nie było może nic poznać po miejscu, w którym grzebie; pewno było to omszałe, korzeniami drzew przeplecione wzniesienie u stóp brzozy. Ale on usłyszał, zwietrzył, a może nawet jeszcze zobaczył tam umykającą zwierzynę; jest pewny, że siedzi ona pod ziemią w swym chodniku czy gnieździe, chodzi tylko o to, by dotrzeć do niej, więc grzebie z całych sił, z bezwzględnym, zapamiętałym oddaniem, nie wściekle, ale ze sportowo-rzeczową namiętnością; wspaniały to widok. Jego małe, pręgowane ciało, pod którego gładką skórą rysują się zebra, grają mięśnie, jest w środku przełamane; tył z kikutem ogona, poruszającego się nieustannie w najszybszym tempie, sterczy stromo do góry, głowa między przednimi łapami tkwi w wygrzebanej już, skośnie wgłębiającej się. jamie i Bauszan, z odwróconym w bok wzrokiem, wyrywa, jak może najszybciej, coraz więcej ziemi stalowymi pazurami, tak że grudy, kamyki, strzępy trawy i cząstki korzeni lecą aż pod skrzydła mego kapelusza. Chwilami rozbrzmiewa w ciszy jego prychanie, gdy po dłuższym wdzieraniu się ryje pyskiem grunt, oblegając węchem mądre, ciche, trwożne tam w dole stworzenie. Głuchy to dźwięk: Bauszan dyszy gwałtownie, aby tylko szybko opróżnić i znów rozszerzyć płuca i zwęszyć znów delikatną, ostrą, choć jeszcze daleką i skrytą woń mysia. Co tam czuje zwierzątko słysząc to głuche prychanie? To jego rzecz lub rzecz Pana Boga, który stworzył Bauszana wrogiem i prześladowcą myszy polnych, zresztą trwoga jest też przecie wzmocnionym

poczuciem życia: myszka nudziłaby się prawdopodobnie, gdyby nie było Bauszana: i po cóż istniałaby w takim razie jej perłowooka roztropność i zwinna sztuka górnicza, dzięki której warunki walki wyrównują się hojnie, tak że sukces napastnika pozostaje zawsze wielce nieprawdopodobny? Słowem, nie mam litości dla myszy, duchowo stoję po Bauszana stronie i często nie mogę wytrzymać w roli widza: gdy staje w drodze mocno osadzony kamień lub twardy korzeń, ingeruję laską i wiercą, podważając, pomagam usunąć przeszkodę. Wtedy Bauszan, w trakcie pracy, obrzuca mnie szybkim, gorączkowym spojrzeniem porozumienia. Pełnymi szczękami wgryza się w twardą, poprzerastałą ziemię, odrywa skiby, ciska je na bok, parska znów głucho w głąb i podniecony zapachem wprawia znów pazury we wściekły ruch...

W większości wypadków cały ten trud jest daremny. Z uwalanym ziemią pyskiem, zabrudzony aż po łopatkę, obwąchuje Bauszan raz jeszcze powierzchnie miejsce i porzuca je drałując dalej.

— Nic nie było, Bauszanie — mówię, gdy patrzy na mnie.
— Nic nie było — powtarzam, kiwając gwoli zrozumiałości głową, podnoszę brwi i ramiona.

Ale nie trzeba wcale pocieszać go, niepowodzenie nie przytłacza go ani na chwilę. Polowanie jest polowaniem, pieczeń nie ma znaczenia, a przecie wysiłek był wspaniały, myśli Bauszan, o ile w ogóle wspomina jeszcze dopiero co tak

potężnie forsowaną przygodę, bo już nęcą go nowe przedsięwzięcia, do których, zaiste, nigdy nie brak sposobności we wszystkich trzech strefach.

Ale zdarza się też, że pochwyci myszkę i dzieje się to nie bez wstrząsu dla mnie, gdyż kiedy ją złowi, pożera bez miłosierdzia żywcem z futrem i kośćmi. Może nieszczęsne stworzenie było nieopatrne i wybrało sobie zbyt miękkie, źle ubezpieczone, łatwe do odkopania miejsce na gniazdo; może chodnik podziemny nie sięgał dość głęboko i zwierzątko nie zdołało w przestrachu poprowadzić go szybko niżej, straciło głowę i przycupnęło tylko kilka cali pod powierzchnią, gdy na głos straszliwego prychnania perłowe oczki z przerażeniem wyłaziły mu z głowy. Dość, że żelazne pazury dobywają mysz na wierzch, wyrzucają w górę na okrutne światło dzienne. Stracona myszko! Słusznie bałaś się tak i dobrze, że wielki, usprawiedliwiony strach pozbawił cię już prawdopodobnie na połę przytomności, gdyż oto zmieniasz się w miazgę. Chwycił ją za ogon, dwa czy trzy razy grzmotnął nią o ziemię; słychać cichutkie piśnienie, które zdołała wydać opuszczona przez Boga myszka, i Bauszan chwytą ją w pysk między białe zęby. Zaparty na szeroko rozstawionych przednich łapach, stoi z pochylonym karkiem i żując wyciąga w przód głowę, chwytając niejako wciąż na nowo kąsek i podrzucając go w pysku. Kostki trzeszczą, kawałek futra zwisa jeszcze chwilę z kąta paszczy, on łapie go i stało się; Bauszan zaczyna rodzaj radosnego

zwycięskiego tańca dokoła mnie: nie ruszam się z miejsca, oparty na lasce, jak stałem podczas całej sceny.

— A ty drabie! — mówię doń w pełnym zgrozy uznaniu, kiwając głową. — Ładny z ciebie morderca i kanibali

Na te słowa pies zaczyna tańczyć jeszcze żwawiej i brakuje tylko, by się głośno roześmiał. Więc idę dalej swą drogą, czując lekki ziąb w członkach z powodu tego, co widziałem, a jednak trochę rozweselony w duchu brutalnym humorem życia. Wszystko jest w naturalnym porządku, upośledzona na instynkcie myszka staje się właśnie papką. Ale rad jestem bardziej, jeśli w takim wypadku przyrodzonego rozsądku rzeczy nie pomagałem laską, tylko ograniczyłem się do roli obserwatora.

To straszne, gdy nagle bażant wyfrunie z gęstwiny, gdzie spał lub czuwał w nadziei, że nikt go nie odkryje, i gdzie wąż Bauszana spłoszył go po krótkim szczekaniu. Łopocząc i trzepocząc porywa się z trwożnie oburzonym krzykiem i gdakaniem wielki, rdzawoczerwony, długopióry ptak i chroni się, opuszczając z wyżyny swój kał w zarośla, z głupowatą nieprzytomnością kury, na drzewo, gdzie nie przestaje biadać, gdy Bauszan oparty o pień drzewa szczeka gwałtownie. Dalej, dalej! mówi ten szczekot. Leć dalej, głupi przedmiocie mej ochoty, bym cię mógł gonić! I kurak nie może uprzeć się potężnemu głosowi, z szumem zrywa się znów z gałęzi i w ciężkim locie przebija się przez wierzchołki, wciąż skrzecząc i

skarżąc się, gdy Bauszan ściga go ostro na równej ziemi, w męskim milczeniu.

Na tym polega jego rozkosz; niczego więcej nie chce i nie umie. Bo i cóż by się stało, gdyby schwytał ptaka? Nic. Widziałem, jak miał w pazurach jednego, który może pogrążony był w głębokim śnie, tak że ociążałe skrzydła nie mogły podnieść się na czas z ziemi; Bauszan stał wtedy nad nim, zakłopotany zwycięzca, i nie wiedział, co począć z fantem. Z wyprężonym jednym skrzydłem, z odrzuconą szyją, leżał bażant w trawie, krzycząc bez przerwy, że zdawało się, jakby ktoś w krzakach mordował staruszkę. Przybiegłem, by zapobiec czemuś okropnemu. Ale przekonałem się szybko, że nie ma się czego obawiać; jawna bezradność Bauszana, mina na pół ciekawa, na pół pełna wstrętu, z jaką spode łba patrzył na swego jeńca, upewniła mnie o tym. Babski wrzask u jego stóp musiał podziałać mu na nerwy, cała sprawa zgotowała mu więcej zakłopotania niż tryumfu. Czy poskubał trochę ptaka dla honoru, czy ze wstydu? Widziałem, zda mi się, że wargami, bez użycia zębów, wyrwał mu z szaty kilka piór i cisnął je na bok, gniewnie odrzucając głowę. Potem odstąpił od łupu i uwolnił go, nie przez szlachetność, lecz dlatego, że sprawa go nudziła, nie zdawała się mieć już nic wspólnego z wesołym polowaniem. Nigdy nie widziałem bardziej zdumionego ptaka! Widocznie pożegnał się z życiem i zdawało się na razie, jakby nie umiał już zrobić zeń użytku: jak martwy leżał przez chwilę w trawie. Potem zatoczył się kawałek na ziemi, pofrunął na drzewo, zdało się, że spadnie,

ocknął się i ciężko wlokąc za sobą pióra odleciał. Nie krzyczał już, stulił dziób. Leciał niemo nad parkiem, nad rzeką, nad lasem z drugiej strony, hen, hen, jak można najdalej, i z pewnością nie powrócił nigdy.

Ale dużo jest takich jak on w naszym rewirze i Bauszan ściga je przystojnie i przyzwoicie. Myszożerstwo pozostaje jedynym jego morderstwem i nawet ono wydaje się czymś zbędnie ubocznym; węszyć, płoszyć, gonić, ścigać — oto szlachetny cel dla siebie; tak powiedziałby każdy, kto obserwował go przy tej świetnej zabawie. Jak pięknym się staje, jak idealnym, jak doskonałym! Tak to chłopski, niezgrabny góralczyk staje się doskonałością i wzorem, łowcą kozic wśród skał. Wszystko, co w Bauszanie szlachetne, rzetelne, najlepsze, wydostaje się na zewnątrz i rozkwita w tych godzinach; dlatego tak tęskni do nich i cierpi, gdy miną one bezużytecznie. To nie pinczer, to legawiec, to wyżeł czystej krwi i wysoka radość z powodu samego siebie przemawia z każdej wojennej, męskopierwotnej postawy, jaką przybiera w ustawicznej zmianie. Mało jest rzeczy, które by mi tak pokrzepiały spojrzenie, jak jego widok, gdy w sprężystym kłusie sady przez zarośla i potem staje jak przykuty, z jedną nogą zgrabnie wzniesioną i zgiętą do wewnątrz, rozumny, uważny, znaczny w prześlicznym napięciu wszystkich swych zalet! Chwilami piszczy. Noga uwięzła mu w jakichś cierniach i krzyknął głośno. Ale i to jest naturą, radującą odwagą pięknej prostoty, godność opuszcza go tylko przelotnie i już po chwili wraca zupełnie wspaniałość psiej postawy.

Przyglądam mu się i przypomina mi się pewien okres, kiedy utracił całą swą dumę i szlachetność i spadł znów dosłownie do cielesnego i duchowego stanu, w jakim ukazał się nam po raz pierwszy w kuchni nimfy górskiej i z którego wznosił się mozolnie do wiary w siebie i świat. Nie wiem, co mu się stało, krew ciekła mu z pyska czy z nosa, czy z szyi, sam nie wiem do dziś dnia; gdzie tylko się znalazł, zostawiał krwawe ślady, na trawie rewiru, na słomie legowiska, na podłodze pokoju, do którego wszedł, choć nie ujawniał żadnego zranienia na zewnątrz. Pysk jego wyglądał często jakby posmarowany czerwoną farbą olejną. Kichał i bryzgała z niego krew, w którą wstępował łapą, tak że gdzie tylko stanął, pozostawiał ceglaste odciski swych .palców. Staranne badania nie doprowadziły do żadnego wyniku, tym samym wzmogły zaniepokojenie. Czy był gruźlikiem? Czy też był obarczony jakąś nieznaną chorobą, do której skłonny jest jego gatunek? Gdy to niesamowite i nieczyste zjawisko nie ustępowało przez kilka dni, postanowiliśmy oddać go do kliniki weterynaryjnej.

Następnego dnia, około południa, włożył mu pan uprzejmie i stanowczo, lecz przemocą, kaganiec, ową skórzaną, kratowaną maskę, której Bauszan bał się, jak mało czego, i której starał się nieustannie pozbyć potrząsaniem głowy i ruchami łap; potem wziął go na smycz i tak wprzęgniętego poprowadził na lewo aleją, potem przez park miejski i miejską ulicę ku zabudowaniom uniwersytetu, którego bramę i podwórze przekroczyliśmy. Znaleźliśmy się w poczekalni, gdzie pod ścianami siedziało

kilka osób, z których każda trzymała na smyczy psa; psy różnej wielkości i rasy patrzyły na siebie smętnie poprzez skórzane przyłbice. Była tam babuleńka z apoplektycznym mopsem, lokaj w liberii z wysokim, białym jak kwiat chartem rosyjskim, który od czasu do czasu kaszłał w wytwornie skrzeczący sposób, jakiś wieśniak z jamnikiem, który z pewnością miał zasięgnąć porady ortopedycznej, gdyż wszystkie nogi jego były fałszywie osadzone, powykrzywiane i powykręcane, oraz kilka innych. Znikający i znów zjawiający się służący zakładowy wpuszczał je kolejno do przyległego pokoju ordynacyjnego, którego drzwi otwały się w końcu dla mnie i dla Bauszana.

Profesor, mężczyzna w sile wieku, w białym płaszczu operacyjnym, w złotych okularach, o kędzierzawych włosach i tak uczonej, uprzejmej łagodności, że bez namysłu powierzyłbym mu w każdej potrzebie zdrowotnej siebie samego i wszystkich swoich, uśmiechał się podczas mego wykładu po ojcowsku do siedzącego przed nim i ze swojej strony spoglądającego nań ufnie pacjenta.

— Oczy ma ładne — rzekł nie wspominając o bródce i oświadczył gotowość natychmiastowego zbadania. Z pomocą służącego Bauszan, ze zdumienia nie stawiający oporu, rozciągnięty został na stole i warto było widzieć, jak lekarz przyłożył mu czarną słuchawkę i sumiennie osłuchiwał pręgowanego samca, zupełnie jak to niejednokrotnie w życiu działo się ze mną. Badał szybko bijące psie serce, badał jego organiczne życie wewnętrzne z różnych punktów. Potem ze

słuchawką pod pachą zbadał obu rękoma oczy Bauszana, nos, jamę ustną, po czym wydał tymczasowy wyrok. Pies jest trochę nerwowy i anemiczny, rzekł, poza tym jednak w dobrym stanie. Pochodzenie krwawienia jest niepewne. Może to być epistaksis lub hematemesis. Może na razie najtrafniej będzie określić to jako hemaptysę. Wskazana jest staranna obserwacja zwierzęcia. Należy go zostawić na miejscu i zgłosić się poń znowu za tydzień.

Tak pouczony, podziękowałem i na pożegnanie poklepałem Bauszana po łopatce. Widziałem jeszcze, jak pomocnik prowadził nowo przyjętego pacjenta przez podwórze do budynku w głębi i jak Bauszan z wyrazem zmieszania i lęku oglądał się za mną. A przecież powinien był czuć się pogłaskany, jak i ja sam się czułem, tym, że profesor uznał go za nerwowego i anemicznego. Nie śpiewano mu wszak nad kołyską, że tak go określą i że w ogóle będą go brać kiedyś poważnie i uczenie.

Ale teraz przechadzki me stały się tym, czym są nie solone potrawy dla podniebienia; sprawiały mi mało przyjemności. Gdy wychodziłem, nie wybuchała cicha burza radości, nie było dokoła mnie dumnych harców myśliwskich. Park zdawał się pusty, nudziłem się. Nie omieszkałem w czasie obserwacji zasięgać telefonicznie wiadomości. Odpowiedź udzielona przez podrzędną figurę brzmiała, że pacjent znajduje się w odpowiednim stanie, w stanie, którego bliższe cechy pomijano z niewia-

domych powodów. Gdy minął tydzień od dnia, w którym umieściłem Bauszana w zakładzie, udałem się tam znowu.

Kierując się wedle obficie przytwierdzonych tablic z napisami i wskazujących rąk, dotarłem prostą drogą, bez błędzeń, do drzwi klinicznego oddziału, goszczącego Bauszana, nie zapukałem wedle umieszczonego na drzwiach przykazu i wszedłem. Średniej wielkości pokój, który mnie otaczał, robił wrażenie menażerii dzikich zwierząt, taka też panowała w nim atmosfera, tylko że zapach drapieżców mieszał się z różnymi medycznymi wyziewami w sposób ckliwy i mdły. Dokoła stały klatki, wszystkie niemal zamieszkałe. Głęboki szczekot doszedł mnie z jednej z nich, przy której otwartych drzwiczkach jakiś człowiek, widocznie dozorca, manipulował grabiami i łopatą. Nie przerywając swej pracy, poprzestał na oddaniu mi ukłonu, pozostawiając mnie zresztą na razie mym wrażeniom.

Na pierwszy rzut oka dokoła, jeszcze przy otwartych drzwiach, poznałem Bauszana i podszedłem doń. Leżał za prętami swej klatki na podściółce, którą stanowiła garbówka lub coś podobnego i która osobliwą swą woń łączyła z zapachem ciał zwierzęcych oraz karbolu czy lizoformu. Leżał tam jak lampart, ale bardzo znużony, bardzo apatyczny i zniechęcony lampart; przestraszyłem się markotną obojętnością, z jaką przyjął moje wejście. Słabo stuknął dwa czy trzy razy ogonem w podłogę i dopiero gdym doń przemówił, podniósł głowę z łap, ale tylko po to, by ją znowu opuścić i mrugać smętnie na bok. W głębi klatki stała miska gliniana z wodą do jego rozporządzenia.

Z zewnątrz przymocowana była do prętów rozpięta w ramach, częściowo drukowana, częściowo pisana tabela, która pod stwierdzeniem imienia, rasy, płci i wieku Bauszana podawała krzywą gorączki. „Wyżeł-bastard — przeczytałem tam — imieniem Bauszan. Samiec. Dwa lata. Oddany tego i tego dnia i miesiąca roku — do obserwacji z powodu tajemniczych krwawień”. Po czym następowała krzywa ciepłoty, piórem kreślona, o małych zresztą wahaniach, obok cyfrowych zapisek co do częstości pulsu Bauszana. Mierzono go więc, jak widziałem, i liczono puls ze strony lekarskiej — pod tym względem nie brakło niczego. Ale stan jego duchowy martwił mnie.

— Czy to pański? — spytał dozorca, który tymczasem zbliżył się do mnie z narzędziami w ręce. Na sobie miał rodzaj ogrodniczego fartucha. Był to człowiek krępy, pyzaty i rumiany, z piwnymi, nieco krwią nabiegłymi oczami, których wierny i wilgotny wzrok robił uderzająco psie wrażenie.

Potwierdziłem jego pytanie, powołałem się na otrzymane polecenie, by zjawić się dzisiaj, na rozmowy telefoniczne i oświadczyłem, iż przychodzę dowiedzieć się, co słyhać. Człowiek rzucił okiem na tabelę. Tak, pies cierpi na tajemne krwawienia — rzekł — a z tym jest zawsze długa i zawiła historia, zwłaszcza jeśli nie wiadomo, skąd się biorą.

— Więc wciąż jeszcze nie wiadomo?

— Tak, nie wiadomo jeszcze dokładnie. Ale pies znajduje się tu przecie dla obserwacji i obserwuje się go.

— A krwawienia trwają wciąż jeszcze?

— Tak, powtarzają się jeszcze czasem.

— I obserwuje się je wtedy?

— Tak, bardzo dokładnie.

— A czy ma gorączkę? — pytam starając się zorientować w tabeli na klatce.

— Nie, gorączki nie ma. Pies ma normalną ciepłotę i puls, prawie dziewięćdziesiąt uderzeń na minutę, to jest prawidłowo, mniej być nie powinno, gdyby było mniej, trzeba by go obserwować jeszcze dokładniej. W ogóle pies mimo tajemnych krwawień trzyma się dobrze. Wprawdzie z początku był okrągły dwadzieścia cztery godziny, ale potem przywykł. Jeść oczywiście nie chce dużo; ale brak mu też ruchu, zresztą nie wiadomo, ile jadł przedtem.

— Co mu się daje?

— Polewkę — mówi człowiek. — Ale, jak powiedziałem, nie zjada dużo.

— Robi wrażenie przygnębionego — rzekłem z udaną przedmiotowością.

— A tak, robi, ale to nic nie znaczy. Boć ostatecznie niewesoła dla psa rzecz tak leżeć i być obserwowanym. Wszystkie są mniej lub więcej przygnębione, to znaczy, te

łagodne; niektórzy staje się złośliwy i gryzie. Ale tego o tym tu powiedzieć nie można. Jest łagodny, nie będzie gryzł, choćby nawet obserwowano go do końca życia.

Przyznałem słuszność dozorczy, ale uczyniłem to z troską i oburzeniem w sercu.

— Na jak długo — spytałem — oblicza się jeszcze w przybliżeniu pobyt Bauszana tutaj?

Człowiek spojrział znów na tabelę.

— Potrzeba jeszcze — rzekł — tygodnia, powiedział pan profesor. Po tygodniu można przyjść i zapytać, wtedy będzie razem dwa tygodnie i wtedy będzie można dać pewną odpowiedź co do psa i leczenia jego tajemnych krwawień.

Wyszedłem, spróbowałem raz jeszcze krzepkim słowem obudzić siły życiowe w Bauszanie. Odejście moje poruszyło go równie mało jak wejście. Pogarda i gorzka beznadziejność zdawały się go przytłaczać. „Ponieważ byłeś zdolny — zdawała się mówić jego postawa — oddać mnie do tej klatki, nie spodziewam się niczego po tobie”. I czyż nie musiał stracić orientacji i zwątpić o rozumie i sprawiedliwości? Cóż przewinił, że go to spotkało i że nie tylko pozwoliłem na to, lecz sam dopomogłem do tego? Miałem dobre i godne co do niego zamiary. Krwawił i choć sam niewiele robił sobie z tego, to jednak ja uważałem za wskazane, by odpowiednia nauka zajęła się nim, jako psem znajdującym się w dobrych warunkach, i

doczekałem się tego, że uznała go ona za nieco nerwowego i anemicznego, jak hrabskie dziecko. I teraz tak się to dla niego skończyło! Jak wytłumaczyć mu, że wyświadczało mu się zaszczyt i wzgląd, zamykając go w klatce jak jaguara, odbierając rau powietrze, słońce i swobodny ruch, by zamiast tego dzień w dzień udrećczać go termometrem?

Tak pytałem się, wracając do domu; i jeśli dotąd tylko brak mi było Bauszana, teraz przyłączyła się do tego uczucia troska o niego, o jego zdrowie duchowe, i sam się oskarżałem w niepewności. Czy do oddania go do uniwersytetu nie skłoniła mnie aby jedynie próżność i samolubna pycha? Czy może nadto grało tu rolę tajemne życzenie, by pozbyć się go na jakiś czas, pewna ciekawość i chęćka uwolnienia się od jego gorliwego dozoru i przekonania się, jak to będzie, gdy w chłodnym spokoju duszy będę mógł zwracać się na lewo lub prawo, nie budząc przez to w ożywionym świecie zewnętrznym żadnych uczuć, czy to radości, czy gorzkiego rozczarowania? Istotnie, od czasu internowania Bauszana czułem pewną dawno już nie doznawaną wewnętrzną niezależność. Nikt nie naprzykrzał mi się przez drzwi szklane widokiem swej tortury czekania. Nikt nie zjawiał się z nieśmiało podniesioną łapą, by wstrząsać mą pierś śmiechem politowania i skłonić do natychmiastowego powstania. Nikogo nie bolała głowa, czy idę do parku, czy zostaję w pokoju. To było wygodne, uspokajało i miało urok nowości. Ponieważ jednak brakło zwykłego bodźca, więc przestałem niemal chadzać na spacer. Zdrowie moje cierpiało na tym; i znajdując

się w stanie uderzająco podobnym do stanu Bauszana w klatce, zrobiłem moralne spostrzeżenie, że pęta litości były korzystniejsze dla mego samopoczucia niż egoistyczna wolność, której mi się zachciało.

Minął i drugi tydzień i w oznaczony dzień znalazłem się znów razem z pyzatym dozorcą przed klatką Bauszana. Mieszkaniec jej leżał na boku, leżał niedbale wyciągnięty na ściółce, która brudziła mu sierść; głowę miał w tył odrzuconą, tak że szklanymi i tępymi oczami patrzył wstecz na wapienną ścianę swego więzienia. Nie ruszał się. Było ledwo widać, że oddychał. Tylko niekiedy jego klatka piersiowa, której każde żebro wyraźnie się zaznaczało, sklepiła się w westchnieniu, wydawanym z cichym, rozdzierającym serce przy dźwiękiem strun głosowych. Nogi Bauszana, zdawało się, stały się za długie, łapy bezkształtnie duże, co miało przyczynę w jego strasznym wychudzeniu. Sierść jego była paskudna, zmięta i, jak wspomniałem, zanieczyszczona tarzaniem się na ściółce z kory. Nie zwracał na mnie uwagi, jak nie chciał, zda się, zwracać jej w ogóle nigdy już na nic.

— Tak całkiem — rzekł dozorca — krwawienia nie znikły; zdarzają się wciąż jeszcze od czasu do czasu. Skąd pochodzą, jeszcze nie ustalono, w każdym razie są nieszkodliwe. — Mógłbym, twierdził, jeśli zechcę, pozostawić psa jeszcze do dalszej obserwacji, by być zupełnie pewnym, lub mógłbym go też zabrać do domu, gdzie choroba z czasem sama zniknie.

Wtedy wyciągnąłem plecioną smycz z kieszeni — wziąłem ją ze sobą — i oświadczyłem, że zabieram Bauszana do domu. Dozorca uznał to za rozsądne. Otworzył kratę i zaczęliśmy obaj wołać Bauszana po imieniu, na przemian i jednocześnie, ale nie chciał wyjść, tylko patrzył nieruchomo ponad siebie w ścianę wapienną. Wszelako nie bronił się też, gdy wsadziłem rękę do kratki i wyciągnąłem go za obrożę. Zeskoczył w dół na łapy i stał z podwiniętym ogonem, z położonymi po sobie uszami, obraz nędzy i rozpaczy. Zabrałem go, wręczyłem dozorczy napiwek i opuściłem oddział, by we frontowym budynku zakładu wyrównać dług, który, wobec zasadniczej taryfy siedemdziesięciu fenigów za dzień, łącznie z honorarium lekarskim za pierwszą wizytę wynosił dwanaście marek pięćdziesiąt. Potem poprowadziłem Bauszana do domu, spowity słodkawo-zwierzęcą atmosferą kliniczną, którą towarzysz mój zabrał w swojej sierści.

Był złamany na ciele i duszy. Zwierzęta są bardziej niepoahamowane i pierwotniejsze, a więc w cielesnym wyrazie swych stanów duchowych poniekąd bardziej ludzkie niż my; powiedzenia, które wśród nas żyją już tylko w moralnej przenośni, w odniesieniu do nich jeszcze — i jest to w każdym razie coś rozweselającego dla oka — nie straciły swego świeżego, dosłownego znaczenia i nie nabrały charakteru metafory. Bauszan „opuścił — jak to mówią — głowę”, to znaczy: czynił to rzeczywiście i naocznie, czynił to jak zmęczona szkapa dorożkarska, która z wrzodami na nogach, z

drgającą od czasu do czasu skórą, stoi na swym przystanku, jak gdyby cetnarowy ciężar ciągnął ku ziemi jej biedny, rojący się od much nos. Było tak, jak rzekłem: te dwa uniwersyteckie tygodnie doprowadziły go do stanu, w jakim odebrałem go niegdyś w górach; był tylko cieniem samego siebie, powiedziałbym, gdyby to nie było obrazą cienia wesołego, dumnego Bauszana. Zapach szpitalny, który przyniósł z sobą, znikł wprawdzie niemal doszczętnie pod mydłem kilkakrotnej kąpieli w balii; ale jeśli dla nas, ludzi, kąpiel może posiadać duchowy wpływ symbolicznej czynności, to dla Bauszana cielesne oczyszczenie nie mogło wcale oznaczać podniesienia ducha. Już pierwszego dnia wziąłem go z sobą do rewiru, ale on z głupawo wywieszonym językiem włókł się za mą nogą, a bażanty cieszyły się stale czasem ochronnym. W domu leżał jeszcze całymi dniami, tak jak ostatnio w klatce, i patrzył szklanym wzrokiem ponad siebie, wewnątrz zwiotczały, bez zdrowej niecierpliwości, nie przynaglając mnie do wyjścia, tak że raczej ja musiałem iść po niego i spędzać go z legowiska u wejścia do budy. Nawet dziki i niewybredny sposób, w jaki pochłaniał pożywienie, przypominał jego chamską przeszłość. Potem jednak miło było patrzeć, jak znowu odnajdywał siebie, jak przywitania jego odzyskiwały stopniowo dawną serdeczno-żartobliwą gwałtowność, jak zamiast kuszykać markotnie nadbiegł po raz pierwszy jak burza na mój gwizd ranny, by położyć mi przednie łapy na piersi i klapnąć zębami w kierunku mej twarzy; jak w polu wróciła mu dumna radość fizycznego istnienia, jak oczom moim ukazywały się znowu owe śmiałe i

wdzięczne pozy wystawiania, owe strome skoki ze ściągniętymi łapami ku jakiemuś stworzeniu w wysokiej trawie... Zapominał. Brzydkie i dla pojęcia Bauszana tak niedorzeczne zdarzenie zapadło w przeszłość, właściwie nie rozwiązane, nie zniesione przez wyjaśniające porozumienie, które było niemożliwe, ale czas pokrywał je, jak to dzieje się niekiedy i wśród ludzi, i żyliśmy dalej ponad nim, gdy rzecz nie wypowiedziana cofała się coraz głębiej w przeszłość... Przez kilka tygodni zdarzało się jeszcze, w coraz dłuższych odstępach czasu, że Bauszan miał zaczerwieniony nos; potem zjawisko to znikło, przestało istnieć, więc było też rzeczą zgoła obojętną, czy chodziło o epistaksis, czy o hematemesis...

Otóż wbrew memu zamiarowi opowiedziałem i o klinice! Czytelnik wybaczy tę obszerną dygresję i wróci ze mną do parku ku przyjemnościom myśliwskim, któreśmy sobie przerwali. Czy znacie płaczliwe wycie, z jakim pies, zbierając wszystkie siły, zaczyna ścigać zająca, i na które składa się wściekłość i rozkosz, tęsknota i ekstatyczna rozpacz? Ileż razy słyszałem je z piersi Bauszana! To namiętność głosi się po okolicy, zamierzona, wyszukana i w upojeniu przeżywana namiętność, i każdym razem, gdy dziki jej krzyk z daleka doleci do mego ucha, przeżam się na wesoło; dreszcz przebiega wszystkie me członki; rad, że Bauszan odbije sobie dziś wszystko, śpieszę naprzód lub w bok, by o ile możliwości objąć okiem zasięg pogoni, i kiedy ta mija mnie z szumem, stoję przykuty i napięty, choć nijaki wynik

przygody jest z góry pewny, i przyglądam się z nerwowym uśmiechem na twarzy.

Ten pospolity czy lękliwy szarak! Kładąc uszy po sobie, z głową zadartą, gna ratując życie i długimi susami czmycha przed głucho skamlącym Bauszanem, wyrzucając w górę tylne skoki i białozółty zad. A przecież powinien w głębi swej trwożliwej, nawykłej do ucieczki duszy wiedzieć, że nie ma poważnego niebezpieczeństwa i że ujdzie cały, jak każdy z jego braci i siostr, a jak i on sam, w tym samym wypadku, uchodził już niejednokrotnie. Nigdy w życiu nie schwytał Bauszan żadnego z nich i nie schwyta, to więcej niż pewne. Psów gromada, mówi przysłowie, to śmierć dla zająca; jeden mu nie poradzi. Choćby przewyższał nawet Bauszana wytrwałą szybkością. Gdyż zając umie „kluczyć”, czego oczywiście Bauszan nie umie; to rozstrzyga o wszystkim. Jest to niechybna broń i zdolność tego urodzonego uciekiniera, dający się w każdej chwili zastosować wybieg, który kryje w duszy, aby go użyć w rozstrzygającej, a dla Bauszana pełnej nadziei chwili, i Bauszan wychodzi na dudka.

Oto bieżą skośnie zagajem, przecinają przede mną ścieżkę i mkną ku rzece, zając niemo, z swym dziedzicznym fortelem w zapasie, Bauszan wyjąc w wysokich, żalonych, falsetowych tonach. „Nie wyj — myślę. — Trwonisz przez to siły, siły płuc, siły oddechu, które powinieneś oszczędzać i szanować, aby go dostać!” A myślę tak, gdyż jestem wewnątrznie zainteresowany w sprawie, gdyż stoję po stronie Bauszana, gdyż namiętność

jego ogarnia i mnie, tak że gorąco życzę mu zwycięstwa, choćby miał nawet w moich oczach rozszarpać zająca na kawałki. Jak on pędzi! Piękną i rozkoszną jest rzeczą widzieć stworzenie w ostatecznym napięciu wszystkich swych sił. Goni lepiej niż zając, mięśnie jego są silniejsze, odstęp między nimi zmniejszył się znacznie, zanim zniknęły mi z oczu. I ja śpieszę także, na przełaj, w lewo przez park ku brzegowi i w sam czas zjawiam się na żwirowej ścieżce, by ujrzeć, jak pogoń nadciąga z prawej strony, pełna nadziei, denerwująca pogoń, gdyż Bauszan dopędza już niemal zająca, zamilkł, gna z zaciśniętymi zębami, bezpośrednia bliskość zwierzęcia roznamiętnia go do ostateczności i — „no, jeszcze jeden sus, Bauszanie!” myślę i chciałbym zawołać: — „mierzysz dobrze i ostrożnie, bacność na klucz!” Ale oto jest i klucz, jest nieszczęście. Ostatni skok dokonany, lecz w tej samej chwili zając daje susa, krótko, lekko przytknął w bok pod kątem prostym do kierunku biegu, Bauszan mknie jak strzała mimo jego zadka, mknie prosto, wyjął bezsilny, hamując, aż żwir i kurz wzbija się do góry, i zanim zatrzymał się w ruchu, zanim zawrócił i znów puścił się w nowym kierunku, zanim, powiadam, dokonał tego wśród męki duchowej i żalostnego wycia, zając zyskał już znaczny odskok w kierunku zagaja, ba, znikł nawet prześladowcy z oczu; gdyż ten podczas swego rozpaczliwego hamowania nie mógł widzieć, dokąd tamten się zwrócił.

„Na próżno wszystko, pięknie, ale daremnie — myślę, gdy dzika pogoń oddala się w przeciwnym kierunku przez park. —

Powinno by być więcej psów, pięć albo sześć, cała sfora. Inne musiałyby zająć go z flanki, odciąć mu z przodu drogę, osadzić go i capnąć za kark..” I rozdrażnione me oko widzi łaję ogarów zwanych posokowcami, które z wywieszonymi jęzorami dopadają koncentrycznie zająca.

Myślę i marzę tak przez namiętność myśliwską, gdyż co zawinił mi zając, abym mu życzył tak przerażającego końca? Wprawdzie Bauszan jest mi bliższy i wszystko jest w porządku, jeśli z nim współczuję i jeśli towarzyszą mu moje życzenia; ale zając jest też żywym stworzeniem i okpił mego łowcę nie ze złości, lecz z usilnej żądzy, by jeszcze przez jakiś czas ogryzać miękkie pędy drzew i płodzić sobie podobnych. „Co innego — myślę mimo to dalej — co innego, gdyby to tutaj — i przyglądam się lasce w mej ręce — gdyby to tutaj nie było nieużytecznym, pocziwym kijem, lecz rzeczą poważniejszej konstrukcji, błyskawicznym, dalekonośnym przyrządem, którym mógłbym pomóc dzielnemu Bauszanowi i zatrzymać zająca tak, by zrobiwszy salto mortale został na miejscu. Wtedy nie zachodziłaby w ogóle potrzeba innych psów i Bauszan zrobiłby swoje, gdyby tylko dostał zająca. Ale rzecz się ma tak, że przeciwnie, właśnie Bauszan, który chce odbić przeklęty „klucz”, przekopyrtnie się czasem, co zresztą w pewnych wypadkach robi i zając; ale dla niego jest to drobnostką, coś łatwego i stosownego, nie związanego z pewnością z jakimś uczuciem nędzy, gdy dla Bauszana jest to ciężkim wstrząśnięciem, przy którym może kiedyś łatwo skrócić kark.

Często gonitwa taka kończy się już po kilku minutach, mianowicie jeśli zającowi po krótkim szczwaniu uda się przykucnąć i skryć się w poszyciu albo też zbić z tropu myśliwca kluczami i fortelami, tak że ten, niepewny, stropiony, ciska się tam i sam, gdy ja, w swej żądzy krwi, daremnie wołam za nim i staram się laską wskazać mu kierunek, w którym w mych oczach zając dał drapaka. Często jednak jazgot niesie się daleko i szeroko po okolicy, tak że żarliwe ujadanie Bauszana rozbrzmiewa jak róg myśliwski, na przemian to bliższe, to dalsze, gdy ja cicho, w oczekiwaniu jego powrotu, idę swą drogą. I, mój Boże, w jakimże stanie wraca wreszcie do mnie! Piana cieknie mu z pyska, boki zapadłe, żebra pracują, długi jęzor zwisa z rozdziawionej nad miarę paszczy, która wykrzywia mu upojeniem wilgotne, skośne, mongolskie oczy, i oddech jego sapie jak maszyna parowa.

— Połóż się, Bauszan, i wypocznij, inaczej dostaniesz paraliżu płuc! — mówię do niego i zatrzymuję się, by dać mu czas do wytchnienia. Boję się o niego zwłaszcza w zimie, podczas mrozu, gdy dysząc wciąga w rozgrzane płuca lodowate powietrze i bucha białą parą oraz połyka całe garście śniegu, by ugasić pragnienie. Kiedy jednak leży, patrzy na mnie błędnie i od czasu do czasu łyka ślinę, nie mogę powstrzymać się, aby nie poszydzić zeń trochę z powodu niezmiennej daremności psiego wysiłku.

— Gdzież zając, Bauszanie? — pytam. — Więc nie przyniesiesz mi zajączka?

A on bije ogonem o ziemię, przycisza na chwilę, gdy mówię, gwałtowny miech swych boków i połyka w zakłopotaniu ślinę, gdyż nie wie, że moje szyderstwo ma tylko na celu ukryć przed nim i przed sobą samym uczucie wstydu i nieczystego sumienia, gdyż z mojej strony nie poparłem go w tej sprawie i nie „zatrzymałem” zająca, co prawdziwy pan powinien by uczynić. Nie wie o tym i dlatego mogę szydzić i udawać, jakby on był wszystkiemu winien.

Podczas polowań zdarzają się dziwne wypadki. Nie zapomnę, jak pewnego razu zając wpadł mi w ramiona... Było to nad rzeką, na wąskiej, gliniastej ścieżce. Bauszan gonił, szedłem z zagaja do strefy brzegu, przedzierałem się przez osty żwirowej grobli i zeskakiwałem z trawiastej szkarpy na drogę w chwili, gdy zając, mając za sobą Bauszana w odległości piętnastu kroków, sadził w długich susach od strony domku przewoźnika, do którego zwrócony byłem twarzą, i szedł wprost na mnie. Pierwszym mym po myśliwsku wrogim odruchem było skorzystać ze sposobności, zastąpić zającowi drogę i wpędzić go o ile możliwości w paszczę jazgoczącego boleśnie prześladowcy. Więc stanąłem jak wryty bez ruchu i, owładnięty pasją, ważyłem skrycie w ręce laskę, gdy zając zbliżał się coraz bardziej. Wiedziałem, że ma zły wzrok, tylko słuch i powonienie ostrzegają go przed niebezpieczeństwem. Mógł mnie uważać za sterczące drzewo i pragnąłem gorąco, by popełnił tę straszną pomyłkę, z której możliwych następstw nie zdawałem sobie jasno sprawy, którą jednak pragnąłem wyzyskać. Czy w jakiejś

chwili podlegał tej pomyłce, jest rzeczą niepewną. Sądzę, że zauważył mnie w ogóle dopiero w ostatniej chwili, i to, co uczynił, było tak nieoczekiwane, że pomieszało w mgnieniu oka wszystkie me plany i wywołało w mym umyśle wstrząs nagłej zmiany. Czy oszalał z śmiertelnego strachu? Dość, że wskoczył na mnie jak piesek, wbiegł przednimi łapami na mój płaszcz, mierząc głową w me łono, w łono straszego myśliwca! Z podniesionymi ramionami, z przechylnym w tył ciałem, stałem spoglądając na zająca, który spoglądał znów na mnie. Trwało to tylko sekundę, czy też część sekundy, ale tak było. Widziałem go z tak dziwną dokładnością, jego długie słuchy, z których jeden sterczał prosto do góry, a drugi zwisał w dół, jego wielkie, jasne, wypukłe oczy, rozdwojoną wargę, biel jego piersi i małych łap, czułem lub zda się, że czułem drżenie jego zgonionego serca; było rzeczą dziwną widzieć go tak dokładnie i mieć przy sobie tak blisko małego demona miejscowości, wewnątrz bijące serce okolicy, to wiecznie pierzchające stworzenie, które widziałem zawsze tylko na krótko, jak dawało śmiesznie drapaką, i które teraz w najwyższej potrzebie i braku wyjścia tuliło się do mnie i niejako obejmowało me kolana; kolana człowieka, nie tego, jak mi się zdało, który był panem Bauszana, lecz kolana tego, który był też panem zająca i jego panem, tak samo jak Bauszanowym. Trwało to, powtarzam, tylko sekundę, po czym zając oderwał się ode mnie, znów stanął na nierównych nogach i wskoczył na szkarpę z lewej, a zamiast niego znalazł się przy mnie Bauszan z wszystkimi swymi falsetami, które z jego przybyciem zostały ostro przerwane.

Gdyż wymierzony i obmyślony cios laski z ręki zającowego pana sprawił, że Bauszan kwicząc stoczył się z przelotnie sparaliżowanym biodrem ze stoku po prawej, na który kulejąc znów wspiąć się musiał, zanim z wielkim opóźnieniem mógł znów podjąć pościg niewidocznego zająca.

W końcu bywają jeszcze polowania na ptactwo wodne, którym też pragnę poświęcić kilka wierszy. Mogą odbywać się tylko w zimie i chłodną wiosną, zanim ptaki przeniosą się z pobliza miasta, które jest im tylko ucieczką w ostatniej potrzebie i zapomogą żołądka, na jeziora. Te łowy są mniej denerwujące niż szczywanie zająca, mają jednak również swoje powaby dla myśliwca i psa lub raczej dla myśliwca i jego pana: dla tego ostatniego pod względem krajobrazowym, gdyż łączy się z tym poufała bliskość żywej wody; poza tym i dlatego, że obserwacja bytowania tych pływaków i latawców i niejako wydobywanie się przez to z własnej formy istnienia jest bardzo miłą zabawą i rozrywką.

Uspodobienie kaczek jest łagodniejsze, bardziej mieszczańskie, wygodniejsze niż mew. Zdają się prawie zawsze syte i mało udęczone troskami o żywność, prawdopodobnie dlatego, że to, czego im trzeba, istnieje stale i stół ich jest zawsze nakryty. Gdyż, jak widzę, żrą niemal wszystko: robaki, ślimaki, owady albo po prostu trochę szlamu i mają wtedy dużo czasu, by siedzieć na kamieniach przybrzeżnych w słońcu, z dziobem wsuniętym wygodnie pod skrzydło uciąć sobie drzemkę, napuścić tłuszczem pióra, które tak jakby wcale nie miały

styczności z wodą, spływającą raczej perłowymi kroplami z ich powierzchni; albo też dla samej przyjemności pływają po ruchomych falach, podnosząc kuper do góry, kręcąc się, wiercąc, i z samozadowoleniem wzruszają ramionami.

Natomiast w charakterze mew jest coś dzikszego, zachrypniętego, odludnego, smutnie jednostajnego; owiewa je twardej nastrój biedującego zbójstwa, gdy cały niemal dzień skrzecząc krzyżują się stadami w skośnym locie nad wodospadem i owym miejscem, gdzie brunatne odpływy z ujść szerokich rur wlewają się do rzeki. Gdyż rzucanie się na ryby, w którym ćwiczą się niektóre, jest bardzo niewystarczające do zaspokojenia ich masowego głodu i często muszą zadowalać się wstrętnymi odpadkami, wyrywając je w locie z dopływów i unosząc w krzywych dziobach na stronę. Nie lubią brzegu. Ale przy niskim stanie wody stoją i siedzą gęsto na sterczących z rzeki skałach, które okrywają białym tłumem, tak jak bielą się rojnie skały i wyspy mórz północnych od mnóstwa gnieźdzących się edredonek; i wspaniały jest widok, jak wszystkie naraz zrywają się skrzecząc i wzbijają w powietrze, gdy Bauszan zagrozi im z brzegu szczekaniem poprzez dzielącą je wodę. Mogłyby czuć się pewne; nie ma poważnego niebezpieczeństwa. Gdyż nie mówiąc już o wrodzonym mu wodowstręciu, strzeże się Bauszan rozumnie i słusznie prądu rzeki, któremu by nie sprostały nigdy jego siły i który porwałby go Bóg wie jak daleko, prawdopodobnie do Dunaju; dotarłby tam jednak w niezwykle szpetnym stanie, którego przykłady mieliśmy przed

oczyma w postaci wzdętych trupów kocich, płynących ku owym dalom. Nigdy nie wchodzi do rzeki dalej jak po pierwsze zwilżone kamienie nadbrzeżne, choć rozkoszna wściekłość myśliwska drży w jego członkach i Bauszan przybiera minę, jakby miał właśnie zamiar rzucić się do rzeki i spełnić go w najbliższej chwili; wszelako można liczyć na jego rozsądek czuwający pod namiętnością i wszystko skończy się na zapędzie, na ostatecznym przygotowaniu do czynu, czystych pogróżkach, których chyba w ogóle nie dyktowała namiętność i które obliczone były tylko na przestraszenie pletwonogów, stworzeń o znaczniejszej zimnokrwistości.

Mewy zdradzają zbyt wielkie ubóstwo umysłu i serca, by szydzić z przygotowań Bauszana. Bauszan nie może dostać się cło nich, ale śle ku nim poprzez wodę szczekanie, huczący pogłos, dochodzący do nich i stający się też czymś materialnym, szturmem, który nimi wstrząsa i któremu długo oprzeć się nie mogą. Starają się wprawdzie nie ruszać z miejsca, ale niepokój wkrada się w ich rojowisko, kręcą głowami, ta i owa trzepoce na wszelki wypadek skrzydłami i nagle porywa się z szumem w powietrze cała masa mew, podobna białej chmurze, kracząc gorzko i złowieszczo; Bauszan zaś skacze po kamieniach tam i sam, aby je rozproszyć i wprowadzić w ruch; gdyż właśnie o ruch mu chodzi, ażeby nie siedziały, lecz latały w górę i w dół rzeki, ażeby mógł je gonić.

Wali wybrzeżem, gna z daleka wzdłuż rzeki, gdyż wszędzie siedzą kaczki z dziobem pod skrzydłami i wszędzie, dokąd się

zapędzi, polatują przed nim, tak że w samej rzeczy wygląda to jak zamiatanie i wzbijanie w powietrze całego nadbrzeżnego pasa; szybują i opadają ciężko na wodę, która bezpiecznie kołysze je i obraca, albo też lecą z wyciągniętą w przód szyją; tymczasem Bauszan, mknąc brzegiem, porównywa chwalebnie siłę swych nóg z mocą ich skrzydeł.

Jest zachwycony i wdzięczny, jeśli tylko lecą, jeśli dają mu sposobność do wspaniałych wyścigów wzdłuż rzeki, one zaś znają, zda się, jego życzenie i przy sposobności wyciągają z tego korzyść. Widziałem kaczkę-kokosz z pisklętami, było to wiosną, na rzece nie było już ptaków; tylko ta kaczka pozostała u nas z pisklętami, które jeszcze nie mogły ciągnąć; więc pilnowała ich w szlamiastym bajorze, które po ostatniej powodzi napełniało wgłębienie suchego koryta rzeki. Tam zastał je Bauszan, obserwowałem tę scenę z górnej drogi. Skoczył w kałużę, ciskał się w niej z szczekaniem, wśród dzikich wykrętasów, i rozpędził do cna kaczą rodzinę. Rozumie się, że żadnemu z jej członków nie uczynił nic złego, ale nastraszył ją niezmiernie, tak że pisklęta, bijąc kikutami skrzydeł, rozproszyły się na wszystkie strony; wszelako stara wezbrała heroizmem macierzyństwa, który ślepo i zuchwale rzuca się w celu ochrony piskląt na najsilniejszego nieprzyjaciela i szaleńczą, przekraczając pozornie naturalne granice odwagą umie stropić go i zapędzić w kozi róg. Z najeżonymi piórami, z okropnie rozdartym dziobem, podfruwiała coraz Bauszanowi w oczy, napierała nań bohatersko co chwila sycząc i rzeczywiście dokazywała swą karykaturalną

bezwzględnością tego, że nieprzyjaciel, stropiony, cofał się, acz nie mogła zmusić go poważnie i ostatecznie do odwrotu, gdyż Bauszan szczekając nacierał ciągle. Wtedy kaczką zmieniła postępowanie i ponieważ bohaterstwo okazało się niepraktyczne, wybrała rozsądek. Prawdopodobnie знаła Bauszana, znała z dawniejszych czasów jego słabostki i dziecinne życzenia. Porzuciła swe małe, uczyniła to pozornie, uciekła się do chytrych, podfrunęła, poleciała nad rzekę „ścigana” przez Bauszana, ścigana, jak się jemu zdawało, choć, przeciwnie, prowadziła go, i to na błazeńskim postronku jego namiętności, leciała z prądem, potem pod prąd, coraz dalej i dalej, gdy Bauszan ścigał się z nią i pognał w górę rzeki tak daleko od bajora z pisklętami, że straciłem kaczkę i psa z oczu. Później głupty znalazł się znowu przy mnie, zziębnięty, bez tchu. Ale oblegana kałuża, gdyśmy ją znów mijali, była pusta...

Tak czyniła kaczką-matka i Bauszan był jej za to wdzięczny. Ale nienawidzi kaczek, które w burżujskim spokoju ducha nie chcą mu służyć za zwierzynek, które po prostu, gdy on nadbiega pędem, puszczają się z nadbrzeżnych kamieni na wodę i z pogardliwą pewnością siebie kołyszają mu się przed nosem, nie wzruszone potężnym szczekaniem, nie wprowadzone w błąd, jak nerwowe mewy, mimiką jego zapędów. Tak tedy stoimy, Bauszan i ja, obok siebie na kamieniach, a dwa kroki przed nami kołysze się zuchwale pewna siebie, z dziobem kokieteryjnie przyciśniętym do piersi kaczką na falach, szturmowana wściekłym głosem Bauszana, jednak nie wzruszona tym w swym

rozsądku i swej trzeźwości. Wiosłuje pod prąd, tak że trwa niemal na miejscu; ale jednak coś niecoś cofa się w kierunku prądu, a z boku, o metr od niej, znajduje się próg wodny, jedna z pięknych, pienistych katarakt, ku której zwraca sterczący z pychą kuper. Bauszan szczeka zapierając przednie łapy o kamienie, a ja w duszy szczekam z nim razem; gdyż nie mogę obronić się od wewnętrznej wspólnoty z jego uczuciem nienawiści do kaczek i ich bezczelnego rozsądku i życzę im źle. „Uważaj przynajmniej na nasze szczekanie — myślę — a nie na kataraktę, byś niepostrzeżenie znalazła się w wirze i wpadła w naszych oczach w sytuację haniebną i niebezpieczną”. Ale i ta gniewna nadzieja nie spełnia się, gdyż właśnie w chwili, gdy kaczka znalazła się na brzegu wodospadu, podfruwa trochę do góry, leci kilkanaście metrów przeciw prądowi i, bezwstydną, siada znowu.

Nie mogę myśleć o tym, z jaką wściekłością patrzymy obaj w takich wypadkach na kaczki, by nie stanęła mi w pamięci przygoda, którą chcę pod koniec opowiedzieć. Związana była z pewnym dla mnie i mego towarzysza zadośćuczynieniem, miała jednak też swą stronę przykrą, niemiłą i bałamutną, ba, wywołała przelotny chłód w stosunku między Bauszanem i mną i gdybym umiał ją przewidzieć, byłbym z chęcią omijał miejsce, w którym nas oczekiwała.

Było to daleko w kierunku biegu rzeki, za domem przewoźnika, tam gdzie gąszcz nadbrzeżny zbliża się do wyższej drogi nad rzeką, którą szliśmy z Bauszanem, biegnącym trochę

przede mną skośnym, niegłaźnym kłusem. Tropił zająca, albo, jeśli chcecie, pozwolił się tropić jemu, spłoszył trzy czy cztery bażanty i szedł właśnie trochę obok mnie, by nie zaniedbywać zupełnie i pana. Stado kaczek z wyciągniętymi szyjami leciało klinem nad rzeką, bardzo wysoko i bliżej przeciwnego brzegu, tak że zwierzyna dla nas nie wchodziła zgoła w rachubę. Leciały z nami, w naszym kierunku, nie zwracając na nas uwagi, nawet nie dostrzegając nas i również z nas to jeden, to drugi rzucał na nie od czasu do czasu okiem umyślnie obojętnym.

Wtem zdarzyło się, że na przeciwnym, podobnie jak nasz bardzo stromym brzegu wynurzył się z zarośli człowiek i skoro tylko wystąpił na widownię, przybrał pozycję, która nas obu, zarówno Bauszana jak i mnie, skłoniła do powstrzymania kroku i zajęcia badawczej postawy. Był to dość okazały mężczyzna, nieco surowej powierzchowności, z obwisłym wąsem, w owijaczach na nogach, w lodenowym kapeluszu na bakier, w bufiastych spodniach, które mogły być zrobione z pewnego rodzaju twardego aksamitu, zwanego manchesterem, i w odpowiedniej kurtce, na której widniały rozmaite pasy i rzemienie, gdyż miał na grzbiecie plecak, a na ramieniu strzelbę. Ledwo zjawił się na widowni, zdjął broń, przyłożył kolbę do policzka i zwrócił skośno lufę ku niebu. Jedną nogę w owijaczu wysunął naprzód, w dłoni zwróconej ku górze lewicy spoczywała lufa, łokieć lewy zgiął nieco ku dołowi, prawy, którego dłoń leżała na kurku, odchylił mocno w bok i celującą twarz skośnie i śmiało wystawił na światło niebieskie. Coś stanowczo

operowego było w postaci mężczyzny, sterczącej nad zwirowiskiem brzegu, wśród powietrznej scenerii zarośli, rzeki i nieba. Wszelako nasza pełna szacunku i przenikliwa obserwacja nie mogła trwać długo, gdyż huknął krótki strzał, na który czekałem z napięciem, więc na którego głos drgnąłem; jednocześnie błysnął blady w świetle dziennym ogienek, za nim ukazała się chmurka dymu i kiedy mężczyzna uczynił operowy krok naprzód, z pierśią i twarzą wyrzuconą w niebo, ze strzelbą w prawej garści, tam w górze, dokąd patrzył i dokąd patrzyliśmy i my, odegrała się scena krótkiego, pierzchliwego zamieszania: stado rozleciało się, powstał dziki trzepot, jak kiedy wiatr strzeli w luźne żagle, nastąpiła próba ślizgowego lotu i, nagle zmieniona w rzecz, spadła ugodzona kaczka, szybko jak kamień, w pobliżu drugiego brzegu na powierzchnię wody.

Była to tylko pierwsza część akcji. Ale muszę tu przerwać jej opis, aby żywe spojrzenie mej pamięci zwrócić na Bauszana. Nastreńczają się ukute zwroty dla określenia jego zachowania, obiegowe monety, uchodzące w wielkich wypadkach; mógłbym powiedzieć, że był jakby rażony piorunem. Ale nie przypada mi to do smaku, więc nie uczynię tego. Wielkie, zużyte słowa nie nadają się bardzo do wyrażenia rzeczy niezwykłych; uczynić to można raczej wzbijając małe słowa do góry i podnosząc je do szczytu ich istnienia. Powiem tylko tyle, że Bauszan, na odgłos strzału wraz z towarzyszącymi mu okolicznościami i zjawiskami następczymi, zdziwił się, a było to zdziwienie, które jest mu w ogóle właściwe wobec uderzających przypadków i mnie u niego

znane, lecz co prawda wzmożone do nieskończoności. Było to zdziwienie, które ciskało jego ciałem w tył, w lewo i prawo, zdziwienie, które mu przy odskoku ściągało łeb na pierś, a przy doskoku wyrywało go prawie z barków, zdziwienie, które zdawało się krzyczeć zeń: „Co? Co? Co to takiego? Stać, do stu diabłów! Jak to się stało?” W miarę jak rozpraszało się zdumienie, wchłaniał z pewnego rodzaju złością rzeczy wzrokiem i słuchem w siebie i oto zastawał je już tam, były tam jakimś sposobem dawno już obecne, choć wydawały się niesłychanymi nowościami. Ba, gdy rwało go tak, że susami kręcił się w lewo, w prawo i dokoła siebie, miałem wrażenie, jakby nagle oglądał się za sobą samym i pytał: „Czym ja jestem? Kim jestem? Czyż to ja?” W chwili gdy kaczką spadła na wodę, dał Bauszan susa naprzód ku krawędzi skarpy, jakby chciał skoczyć do koryta rzeki i rzucić się do wody. Ale przypomniał sobie prąd, wstrzymał swój zapęd, zawstydził się i oddał się znów patrzeniu. Obserwowałem go z niepokojem. Gdy kaczką spadła, doszedłem do przekonania, że widziałem już dosyć, i zaproponowałem ruszyć dalej. Ale on usiadł na tylnych łapach, z wysoko nastawionymi uszama i wzrokiem utkwionym w przeciwległy brzeg; a kiedy rzekłem: — Idziemy, Bauszan? — zwrócił tylko na mgnienie oka głowę w mą stronę, jak ktoś, co mówi nie bez szorstkości: „Proszę mi nie przeszkadzać!” — i patrzył dalej. Więc poprzestałem na tym, skrzyżowałem nogi, oparłem się na lasce i przyglądałem się również, co się dzieje.

Więc kaczka, jedna z tych kaczek, które często z bezczelną pewnością siebie kołysały się przed naszym nosem, płynęła po wodzie niby szczątek okrętu, nie wiadomo, gdzie przód, gdzie tył. Rzeka jest tu spokojniejsza, spadek jej nie tak rwący jak trochę wyżej. Mimo to prąd porwał natychmiast kaczkę, zakręcił nią dokoła i uniósł i jeśli strzelcowi nie chodziło o samo trafienie i zabijanie, lecz miał też na oku cel praktyczny, to powinien był się śpieszyć. Uczynił to też nie tracąc chwili czasu; wszystko odegrało się z największą szybkością. Gdy tylko kaczka spadła, rzucił się w dół szkarpy, skacząc, potykając się, niemal padając. Trzymał przy tym strzelbę w wyciągniętej ręce przed sobą i czynił wrażenie niezwykle operowe i romantyczne, gdy, niby zbójca lub śmiały przemytnik z melodramatu, zeskakiwał po dekoracyjnie efektownym usypisku. Z wyrachowania trzymał się nieco skośnie na lewo, gdyż kaczka płynęła przed nim i chodziło mu o to, aby ją złapać. I rzeczywiście udało mu się, wychyliwszy się daleko i zamoczywszy nogi, zatrzymać ją wyciągniętą kolbą i chwycić ostrożnie, wśród wielkich trudności, wyholował ją kolbą wśród kamieni i wyciągnął na ląd.

Dzieło zostało dokonane i mężczyzna odetchnął. Położył strzelbę na brzegu, zdjął plecak, schował zdobycz, zasznurował znów torbę i z miłym ładunkiem, oparty na strzelbie jak na lasce, zaczął znów spokojnie wspinać się na usypisko ku zaroślom.

„No, ma pieczeń na jutro — pomyślałem z uznaniem i niechęcią. — Chodź, Bauszan, idziemy, nic się już nie stanie”.

Ale Bauszan, powstawszy i okręciwszy się dokoła siebie, usiadł znowu i patrzył za strzelcem, choć ten ustąpił już z widowni i znikł wśród zarośli. Ani mi się śniło wołać go po raz drugi. Wiedział, gdzie mieszkamy, i jeśli tak mu się podobało, mógł siedzieć tam jeszcze dłużej i gapić się, chociaż wszystko się skończyło i nie było już nic do zobaczenia. Droga do domu była długa i co do mnie, zabierałem się, by ją odwalić. Wtedy ruszył za mną.

Przez całą tę przykrą drogę trzymał się mnie nie polując. Nie biegł skosem przede mną, jak to było jego. Zwyczajem, gdy właśnie nie miał ochoty szukać i węszyć, lecz szedł nieco za mną, krok za krokiem, i, jak zdołałem zauważyć, krzywił nos, gdy się przypadkiem nań obejrzałem. To mogło jeszcze ujść i daleko mi było do tego, by wpadać z tego powodu w gniew; przeciwnie, miałem ochotę roześmiać się i wzruszyć ramionami. Ale on co trzydzieści czy pięćdziesiąt kroków ziewał i to mnie rozgoryczało. Było to bezwstydnie, rozdziawione, grubiańsko znudzone ziewanie, któremu towarzyszył piszczący ton gardłowy i które mówiło wyraźnie: „Ładny pan! Żaden pan! Gałgan!” I jeśli obraźliwy ten ton zawsze robił na mnie wrażenie, to tym razem omal nie zburzył do gruntu naszej przyjaźni.

— Idź — mówię. — Idź precz! Wynośże się do swego pana ze strzelbą i zostań sobie przy nim, widocznie nie posiada psa, może przydasz mu się przy jego wyczynach. Wprawdzie ma na sobie tylko manchester i nie jest panem, ale w twoich oczach może nim być, panem dla ciebie; przeto radzę ci szczerze przejść

do niego, gdyż już cię zaniepokoił i dodał nową pchłę do twoich własnych. (Tak się daleko posunąłem). Czy może się wykazać kartą myśliwską, o to go pytać nie zamierzamy, być może, że będziecie mieli nieprzyjemności, gdy pewnego dnia przyłapią was na takim zajęciu; ale to wasza rzecz, a ja radzę, jak rzekłem, najszczerzej. O, ty strzelcze! Czy przyniosłeś mi kiedy do kuchni jednego z tych licznych zajęcy, które pozwoliłem ci ścigać? Nie moja wina, jeśli nie umiesz zrobić klucza i nosem, jak wariat, ryjesz żwir w chwili, gdy należałoby okazać zgrabność! Albo bażanta, który byłby nie mniej pożądanym w tych skąpych czasach? A teraz ziewasz! Odejdź, powtarzam. Idź do twego pana w owijaczach i przekonaj się, czy on będzie cię dra-pał w szyję albo zdoła doprowadzić cię do śmiechu; moim zdaniem on sam nie umie się nawet śmiać, chyba bardzo surowo! Jeśli, myślisz, że on podda cię naukowej obserwacji, gdy przyjdzie ci do głowy tajemnie krwawić, albo że jako jego pies uznany zostaniesz za nerwowego i anemicznego, to idź sobie do niego, ale być może, że łudziłeś się co do miary szacunku, jakim darzyć cię będzie tego rodzaju pan! Istnieją rzeczy i różnice, dla których tacy uzbrojeni ludzie posiadają dużo zrozumienia: naturalne zasługi lub wady (aby aluzję mą wyrażniejszą uczynić); przebiegłe zagadnienia drzewa genealogicznego i wyvodu szlachectwa (aby uniknąć już wszelkich nieporozumień); zagadnienia, nad którymi nie każdy z delikatnym humanitaryzmem przechodzi do porządku; i jeśli przy pierwszej różnicy zdań ten zbrojny pan uczyni ci zarzut z

twej bródki i obrzuci cię niemile brzmiącymi przezwiskami, wtedy pomyśl o mnie i mych obecnych słowach.

Tak zjadliwie mówiłem w drodze do domu do wlokącego się za mną Bauszana i choć mówiłem tylko wewnętrznie, nie wygłaszając swych słów, by nie wydawać się egzaltowanym, jestem jednak przekonany, że rozumiał dokładnie, co miałem na myśli, i w każdym razie nadażał za główną linią jej toku. Słowem, poróżnienie było dogłębne i doszedłszy do domu zatrzasnąłem umyślnie tuż za sobą furtkę ogrodową, tak że nie mógł przemknąć się za mną i musiał z rozbiegiem skoczyć na drugą stronę. Nie oglądając się wcale, wszedłem do domu i słyszałem jeszcze, że skomlał, gdyż przełaząc uderzył się w brzuch, nad czym ironicznie wzruszyłem ramionami.

Ale to było już dawno, przeszło pół roku temu, i stało się w tym względzie to samo, co z wypadkiem klinicznym: czas i zapomnienie pokryły to wszystko, a nad ich namulem, który jest gruntem wszelkiego życia, żyjemy dalej. Choć jeszcze przez kilka dni wydawał się zadumany, cieszy się Bauszan od dawna znów w całej pełni polowaniem na myszy, bażanty, zajęce i ptactwo i gdy wrócimy do domu, zaczyna już, na zapas, czekać na następny raz. Przy bramie domu zwracam się wtedy raz jeszcze ku niemu i na ten znak w dwóch susach po schodach przyskakuje ku mnie i przednimi łapami opiera się na drzwiach wyprostowany, bym mógł na pożegnanie poklepać go po łopatce.

— Jutro znowu, Bauszanie — powiadam — o ile nie będę musiał iść w świat.

I potem wchodzę spiesznie, by zrzucić buty z gwoździami, gdyż zupa już na stole.

MARIO I CZARODZIEJ

(1930)

Wspomnienie z Torre di Venere ma niemiły nastrój. Gniew, rozdrażnienie, napięcie wisiały od początku w powietrzu i potem skończyły się wstrząsem z tym strasznym Cipollą, w którego osobie, zda się, wcielił się i groźnie skupił w sposób fatalny, i zresztą po ludzku pełen wrażeń, szczególnie złośliwy nastrój. Że przy końcu strachu (jak nam się później zdawało, z góry oznaczonym i z samej istoty rzeczy wypływającym) musiały być jeszcze obecne dzieci, było smutną i na nieporozumieniu polegającą niewłaściwością, zawinioną przez fałszywe mamidła osobliwego człowieka. Dzięki Bogu, nie zrozumiały one, gdzie się skończyło widowisko i zaczęła katastrofa, i zostawiono je w szczęśliwym złudzeniu, że wszystko było teatrem.

Torre leży mniej więcej piętnaście kilometrów od Portoclemente, jednego z najulubieńszych lotnisk nad Morzem Tyrreńskim, miejsca eleganckiego i przepełnionego całymi miesiącami, z pstrą ulicą hoteli i bazarów nad morzem, z szeroką plażą pokrytą budkami, zdobnymi w chorągiewki zamkami, z brunatną ludnością i hałaśliwymi przedsiębiorstwami rozrywkowymi. Ponieważ plaża sąsiadująca z lasiem piniowym, na który z małej odległości spoglądają góry, na całym tym wybrzeżu

zachowuje swój drobnopiaszczysty, przyjemny charakter, nie dziwota, że nieco dalej powstała już dawniej cichsza konkurencja: Torre di Venere, gdzie zresztą od dawna szuka się nadaremnie wieży, której zawdzięcza swą nazwę¹⁸, jest jako miejscowość turystyczna odsadką sąsiedniego wielkiego kąpieliska i było przez kilka lat idyllą dla nielicznych, ucieczką dla miłośników nie ucywilizowanych żywiołów. Jak jednak zwykło się dziać z takimi miejscami, spokój musiał od dawna usunąć się nieco dalej, wzdłuż brzegu, do Marina Petriera i Bóg wie dokąd; świat, jak wiadomo, szuka go i wygania, rzucając się nań w śmiesznej tęsknocie, w mniemaniu, że może go poślubić i żyć z nim razem; ba, gdy świat na jego miejscu założył już swój jarmark, zdolny jest myśleć, że spokój przebywa tam jeszcze. Toteż Torre, choć zawsze, jeszcze cichsze i skromniejsze niż Portoclemente, cieszy się wielkim wzięciem u Włochów i cudzoziemców. Nie jeździ się już tyle co dawniej do światowego kąpieliska, choć pozostaje ono mimo to hałaśliwym, ludnym kąpieliskiem świata; jeździ się tuż obok, do Torre, jest to nawet wygodniej, a poza tym taniej, i siła przyciągająca tych zalet trwa dalej, choć same zalety już dawno nie istnieją. Torre posiada „Grand Hôtel”; powstały liczne pensjonaty, eleganckie i skromniejsze, właściciele i podnajemcy will i lasków piniowych nad morzem nie są już wcale pewni spokoju; w lipcu i sierpniu obraz tamtejszy nie różni się już od widoku Portoclemente: roi się tam jazgotliwy, kłótniwy, rozradowany tłum gości kąpielo-

¹⁸ Torre di Venere (wł.) — wieża Wenery.

wych, któremu szalenie upalne słońce łuszczy skórę z karków; jaskrawo pomalowane, płaskodenne łodzie, obsadzone dziećmi, których dźwięczne imiona, wywoływane przez dozorujące matki, ochrypłą troską napełniają powietrze, kołyszą się na lśniącem błękicie, a przekupnie ostryg, napojów, kwiatów, koralu i cornetti al burro¹⁹, przekraczając ciała plażujących, zachwalają swój towar równie zdartym, pełnym głosem Południa.

Tak wyglądała plaża Torre, gdyśmy przybyli — dość ładnie, ale byliśmy zdania, żeśmy przybyli za wcześnie. Była połowa sierpnia, jeszcze w pełnym rozkwicie włoskiego sezonu; nie jest to dla cudzoziemców właściwa chwila dla zaznajomienia się z urokami miejscowości. Cóż za tłok po południu w ogródkowych kawiarniach plażowej promenady, na przykład w „Esquisito”, gdzie siadywaliśmy czasami i gdzie usługiwał nam Mario, ten sam Mario, o którym niebawem opowiem! Trudno znaleźć stolik, a orkiestry, nie chcące nic wiedzieć jedna o drugiej, mieszają z sobą swe dźwięki. Szczególnie co dzień po południu dopływa publiczność z Portoclemente; bo oczywiście jest Torre ulubionym celem wycieczek dla ruchliwych gości z tamtego uzdrowiska i dzięki tam i z powrotem pędzącym samochodom Fiata kępy wawrzynów i oleandrów na skraju gościńca ośnieżone są grubo na cal białym kurzem, stanowiąc dziwny, lecz odstrasający widok.

¹⁹ Cornetti al burro (wł.) — rogaliki maślane.

Naprawdę, trzeba jechać do Torre di Venere we wrześniu, gdy kąpielisko wyzbywa się natłoku publiczności, albo w maju, zanim ciepłota morza osiągnie stopień, który południowca zaprasza do wody. Także przed sezonem i po nim nie jest tam pusto, ale jest wtedy ciszej i mniej tubylczo. Pod cienistymi płachtami namiotów i w pensjonatowych jadalniach panuje język angielski, niemiecki, francuski, podczas gdy „Grand Hôtel”, gdzie w braku prywatnych adresów zajęliśmy pokoje, jeszcze w sierpniu znajduje się tak dalece w rękach florenckiego i rzymskiego towarzystwa, że cudzoziemiec czuje się izolowany i chwilowo jak gość drugiego rzędu.

Doświadczyliśmy tego z przykrością w wieczór naszego przyjazdu, gdy zeszliśmy na obiad do jadalni i kazaliśmy sobie przez właściwego kelnera wskazać stół. Nie było można nic mieć przeciw temu stołowi, ale przykuł naszą uwagę obraz sąsiedniej, wychodzącej na morze oszklonej werandy, zajętej prawie tak samo jak sala, ale nie przepelnionej, gdzie na stolikach płonęły lampki z czerwonymi osłonami. Dzieci były zachwycone tą świetnością i wyraziliśmy po prostu naszą decyzję spożywania posiłków raczej na werandzie — wynik niewiedzy, jak się okazało, gdyż oznajmiono nam z nieco zakłopotaną uprzejmością, że przytulne to miejsce zastrzeżone jest dla „naszych gości”, „ai nostri clienti”. Dla naszych klientów? Ależ byliśmy nimi. Nie byliśmy zgoła przelotnymi ptakami, jednodniówkami, lecz domownikami na trzy, cztery tygodnie, pensjonariuszami. Nie chcieliśmy zresztą nalegać, by wyjaśnio-

no nam różnicę między nam podobnymi a ową klientelą, której wolno było jadać przy czerwonych lampkach, i spożywalismy pranzo przy ogólnie i rzeczowo oświetlonym stole w sali — zupełnie pospolitą wieczerzę, pozbawiony charakteru i smaku schemat hotelowy; uznalismy później kuchnię w „Pensione Eleonora”, o dziesięć kroków dalej, za o wiele lepszą.

Tam bowiem przenieśliśmy się, zanim zagrzalismy miejsca w „Grand Hôtelu”, już po trzech czy czterech dniach — nie z powodu werandy i jej lampek; dzieci, zaprzyjaźnione z kelnerami i chłopcami hotelowymi, porwane morskim powietrzem, wybiły sobie bardzo szybko z głowy ową barwną przynętę. Ale z pewnymi klientami werandy lub raczej tylko z zarządem hotelu, który płaszczył się przed nimi, doszło natychmiast do jednego z tych konfliktów, które mogą nadać pobytowi od początku niemiłą cechę. Znajdowała się tam wysoka arystokracja rzymska, jakiś książę X z rodziną, a ponieważ pokoje tych państwa sąsiadowały z naszymi, księżna, wielka dama a zarazem przesadna matka, przestraszyła się resztek koklusu, który dzieci przeszły na krótko przedtem i którego słabe echa przerywały jeszcze niekiedy kamienny zresztą sen naszego najmłodszego. Natura tej choroby jest mało znana, zabobon gra tu jeszcze dużą rolę, więc nie mieliśmy za złe naszej eleganckiej sąsiadce, że uległa szeroko rozpowszechnionemu mniemaniu, iż kokluszem można się zarazić przez słuch, i bała się po prostu dla swych dzieci złego przykładu. W kobiecym poczuciu swej powagi udała się do dyrekcji, która w

osobie znanego zarządcy w długim surducie pośpieszyła oświadczyć nam z głębokim żalem, że w tych warunkach przeniesienie się nasze do sąsiedniego budynku hotelu jest niezbędną koniecznością. Daremnie zapewnialiśmy, że choroba dzieci jest w stadium ostatecznego zaniku, że należy uważać ją za przeciętną, że nie przedstawia już żadnego niebezpieczeństwa dla otoczenia. Przyznano nam tylko tyle, że wypadek przedstawiony będzie medycznemu forum i wezwany zostanie lekarz hotelowy — tylko on, nie zaś powołany przez nas — dla wyrażenia swej decyzji. Zgadzaemy się na takie załatwienie sprawy w przekonaniu, że w ten sposób uspokoi się zarazem księżnę i uniknie kłopotliwej dla nas przeprowadzki. Przychodzi doktor i okazuje się lojalnym i szczerym sługą nauki. Bada małego, stwierdza, że choroba minęła i zaprzecza wszelkiemu niebezpieczeństwu. Sądzimy już, że mamy prawo uważać rzecz za załatwioną: wtedy zarządzający oświadcza, że i po orzeczeniu lekarza musimy opróżnić pokoje i zamieszkać w *dépendance*²⁰.

Ten bizantyzm oburzył nas. Niepodobna, by wiarołomna zaciętość, z jakąśmy się spotkali, pochodziła od księżny. Służalczy gospodarz nie ważył się pewnie nawet zapoznać jej z sądem doktora. W każdym razie oświadczyliśmy mu, że się wyprawiamy, opuszczamy hotel w ogóle i natychmiast, i spakowaliśmy rzeczy. Mogliśmy to uczynić z lekkim sercem, bo już tymczasem z pensjonatem „Eleonora”, którego miły, prywatny wygląd natychmiast wpadł nam w oczy, nawiązaliśmy mimo-

²⁰ *Dépendance* (fr.) — odrębny budynek, należący do hotelu.

chodem stosunki i w osobie jego właścicielki, signory Angiolieri, zawarliśmy bardzo sympatyczną znajomość. Pani Angiolieri, delikatna, czarnooka dama toskańskiego typu, chyba po trzydziestce, o matowej cerze barwy kości słoniowej, i jej małżonek, starannie ubrany, cichy i łysy, posiadali we Florencji większy pensjonat dla cudzoziemców i tylko latem i wczesną jesienią prowadzili filię w Torre di Venere. Przedtem jednak, przed swym zamążpójściem, była nasza nowa gospodyni domownica, towarzyszką podróży, garderobiana, ba, przyjaciółką Eleonory Duse²¹, i czas ten uważała widocznie za wielką, szczęśliwą epokę swego życia, o której podczas naszego pierwszego spotkania zaczęła natychmiast z ożywieniem opowiadać. Liczne fotografie wielkiej aktorki, opatrzone serdecznymi dedykacjami, jak też inne pamiątki dawnego współżycia, zdobiły stół i etażerki salonu pani Angiolieri i choć jawne było, że kult interesującej przeszłości miał też powiększyć nieco pociągającą siłę obecnego przedsiębiorstwa, słuchaliśmy jednak, oprowadzani po domu, z przyjemnością i sympatią jej opowiadań, wygłaszanych urywanym i dźwięcznym narzeczem toskańskim, o cierpieniach, dobroci, geniuszu serca i głębokiej delikatności jej zmarłej pani.

Tam więc kazaliśmy przenieść nasze rzeczy, ku wielkiemu żalowi na zacny włoski sposób lubiącego dzieci personelu „Grand Hotelu”; zajęte przez nas mieszkanie było zaciszne i przyjemne, dostęp do morza wygodny, poprzez aleję młodych

²¹ Eleonora Duse (1859— 1924) — włoska aktorka światowej sławy.

platanów, wiodącą na promenadę plażową; sala jadalna, gdzie madame Angiolieri podczas każdego obiadu własnoręcznie nalewała zupę, była chłodna i czysta, służba uważna i uprzejma, wikt doskonały, znaleźli się nawet wiedeńscy znajomi, z którymi po obiedzie gawędziło się przed domem i przez których zawierało się nowe znajomości, i tak wszystko mogło być dobrze — byliśmy z naszej zamiany zupełnie zadowoleni i niczego właściwie nie brakowało nam do spokojnego bytowania.

Jednak nie było jakoś naprawdę przyjemnie. Może dręczył nas nadal niedorzeczny powód naszej przeprowadzki — co do mnie wyznaję, że z trudem przechodzę do porządku nad starciami z miejscową codziennością, nad naiwnym nadużyciem przemocy, niesprawiedliwości, podstępnej korupcji. Zajmują mnie za długo, wtrącają w podrażnione rozmyślania, które są bezpłodność zawdzięczają temu, że zjawiska te rozumieją się aż nazbyt same przez się i są zupełnie naturalne. Przy tym nie czuliśmy się wcale poróżnieni z „Grand Hotelem”. Dzieci zachowały tam swoich przyjaciół, jak przedtem służący naprawiał im zabawki i kiedy niekiedy piliśmy herbatę w ogrodzie hotelu, nie unikając widoku księżny, która z jaskrawokoralowymi ustami, stąpając zgrabnie pewnym krokiem, zjawiała się, by rzucić okiem na swe powierzone Angielce pociechy, i nie domyślała się przy tym naszej niebezpiecznej bliskości, gdyż, skoro się ukazywała, nie wolno było naszemu małemu nawet chrząknąć.

Czyż mam nadmienić, że był niezmierny upał? Upał wprost afrykański: terror słoneczny, skoro tylko przekroczyło się rąbek indygowosinego chłodu, nieubłagany, który te kilka kroków od plaży do jadalni, w samej tylko pidżamie, czynił przedsięwzięciem podejmowanym z westchnieniem. Czy to można wytrzymać? Wytrzymać przez długie tygodnie? Prawda, wszak to Południe, klasyczna pogoda, klimat rozkwitającej kultury ludzkości, słońce Homera i tam dalej. Ale po jakimś czasie nie mogę sobie dać rady, dochodzę do tego, że uważam to za niedorzeczność. Płonąca dzień w dzień pustka nieba staje się niebawem ciężarem, jaskrawość barw, niezmierna naiwność i niezmaćoność światła wzbudza oczywiście podniosłe uczucia, użycza beztroski i pewnej niezależności od kaprysów i zmian pogody, ale choć zrazu nie zdajesz sobie z tego sprawy, nie zadowala ona głębszych, bardziej złożonych potrzeb duszy północnej, wyjaławia i napawa w końcu czymś jakby pogardą. Słusznie, bez tej głupiej historii z kokluszem nie odczułbym tak tego; byłem podrażniony, chciałem może czuć, więc chwyciłem się na pół świadomie gotowego motywu, aby uczucie przez to, jeśli nie stworzyć, to jednak ulegitymować i wzmocnić. Ale weźmy tu nawet w rachubę naszą złą wolę — co się tyczy morza, przedpołudnia spędzonego na delikatnym piasku wobec jego wiecznej wspaniałości, nie może być o czymś podobnym mowy; a jednak tak to było, że wbrew wszelkiemu doświadczeniu także na plaży nie czuliśmy się dobrze, szczęśliwie.

Za wcześnie, za wcześnie; była ona, jak się rzekło, jeszcze w rękach tubylczej klasy średniej, na pozór miłego rodzaju ludzi, co do tego również zgoda, było widać wśród młodzieży dużo krzepkości i zdrowego wdzięku, ale też nieodłącznie było dokoła dużo ludzkiej miernoty i mieszczańskiej tłuszczy, co, przyznacie, pod znakiem tej strefy nie jest powabniejsze niż pod naszym niebem. Co za głosy mają te kobiety! Czasem nie chce się wierzyć, że się jest w ojczyźnie śpiewaczego kunsztu Zachodu. „Fuggièro”! Mam ten okrzyk jeszcze dziś w uchu, bo słyszałem go przez dwadzieścia ranków ze sto razy tuż przy sobie, w ochryplej wściekłości, ze strasznym akcentem, z ostro otwartym „è”, wyrzucany z pewnego rodzaju zmechanizowaną rozpaczą: „Fuggièro! Rispondi almèno!²²” Przy czym „sp” wymawiano z ludowa na niemiecki sposób jak „szp” — irytacja dodatkowa, jeśli i tak panuje zły humor. Krzyk ten odnosił się do ohydneho chłopaka z budzącą wstręt raną między łopatkami od spieki słonecznej; popisował się on, ile mógł, niesfornością, krnąbrnością i złośliwością, która i mnie nie ominęła, poza tym zaś był wielkim tchórzem, gotowym oburzającą symulacją poruszyć całą plażę. Pewnego dnia mianowicie uszczypnął go w wodzie mały krab w palec u nogi i jęk antycznych bohaterów, który chłopiec wydawał z tego drobnego powodu, wstrząsał do szpiku kości i robił wrażenie strasznej katastrofy. Widocznie sądził, że został śmiertelnie zraniony. Wylazszy na ląd tarzał się w pozornie nieznośnych cierpieniach, ryczał „ohi!” i „oimè!” i

²² Rispondi almèno (wł.) — odpowiedz przynajmniej!

bijąc dokoła rękami i nogami odrzucał tragiczne zaklęcia matki i pociechę dalej stojących. Scena ta ściągnęła zewsząd wiele ludzi. Sprowadzono lekarza, tego samego, który tak trzeźwo osądził nasz koklusz, i znowu dał on dowód swej naukowej prostolinijności. Z dobroduszną pociechą uznał wypadek za błąhostkę i zalecił pacjentowi po prostu wrócić do kąpieli, by ochłodzić małą ranę. Zamiast tego jednak zabrano Fuggièra z plaży na zaimprovizowanych noszach, jakby spadł ze szczytu lub był topielcem, wśród wielkiego orszaku, a już następnego ranka, niby to nieumyślnie, burzył innym dzieciom zamki z piasku. Słowem, okropność. Przy tym dwunastolatek ten należał do głównych przedstawicieli powszechnego nastroju, który nieuchwytnie unosząc się w powietrzu chciał nam obrzydzić tak miły pobyt. W dziwny sposób zbywało atmosferze na niewinności, na swobodzie; publiczność ta „szanowała się” — nie wiadomo było dobrze, w jakim znaczeniu i duchu, okazywała godność, zaznaczała wobec siebie i wobec obcych powagę i dumę, czujną ambicję; „O co chodziło? Wnet jasne się stało, że tkwi w tym polityka, że wchodzi w grę nacjonalizm. Istotnie, roіło się na plaży od patriotycznych dzieci — nienaturalne i przygnębiające zjawisko. Wszak dzieci tworzą odrębny gatunek ludzi i społeczeństwa, można rzec własną małą nację; łatwo i pewnie odnajdują się w świecie na gruncie wspólnej formy życia, choć ich szczupły skarbiec słów należy do różnych języków. Również nasze dzieci bawiły się niebawem z tubylczymi, jak i innymi różnego pochodzenia. Widocznie jednak doznawały zagadkowych rozczarowań. Były zadrażnienia, kwestie ambicji, zbyt

drażliwej, zbyt poważnej, aby zasługiwać na tę nazwę, była kłótnia o flagi, spory o znaczenie i pierwszeństwo; dorośli mieszały się do tego nie tyle łagodząc, co rozstrzygając i broniąc zasad, padały frazesy o wielkości i godności Italii, niemile psujące zabawę komunały; widzieliśmy dwoje naszych dzieci stropionych i bezradnych, jak wycofywały się, i z trudem usiłowaliśmy im jako tako wytłumaczyć stan rzeczy: ci ludzie, wyjaśnialiśmy im, przechodzą właśnie pewien stan, coś jakby chorobę, jeśli chcecie, nie bardzo przyjemną, ale zapewne konieczną.

Było naszą winą, którą przypisywaliśmy własnej gnuśności, że doszło do konfliktu z tym znanym nam przecie i zrozumiałym stanem — do jeszcze jednego konfliktu; zdawało się, że poprzednie nie były zgoła czystymi wytworami przypadku. Słowem, obraziliśmy publiczną moralność. Córeczka nasza, ośmiolatka, lecz sądząc z cielesnego rozwoju wyglądająca na młodszą o dobry rok, chuda jak szczygieł i która po dłuższej kąpieli, jak to dopuszczała ciepła temperatura, podjęła znów w mokrym kostiumie zabawę na lądzie, otrzymała pozwolenie, aby stężałe od przyklepionego piasku odzienie jeszcze raz opłukać w morzu, by znów potem wdziać je i chronić od ponownego zbrudzenia. Naga biegnie do odległej o kilka metrów wody, wyżyma swój trykot i wraca. Czyż mogliśmy przewidzieć falę szyderstwa, zgorszenia, protestu przeciw jej postępkowi, a więc naszemu postępkowi? Nie wygłaszam tu jakiejś rozprawy, ale na całym świecie stosunek do ciała i jego nagości zmienił się w

ciągu ostatnich dziesięcioleci zasadniczo, a uczucie radykalnie. - Są rzeczy, wobec których „nic się już sobie nie myśli”, i do tych należy swoboda, której użyczyliśmy temu tak zgoła nie wyzywającemu ciału. Została ona jednak tutaj odczuta jako prowokacja. Patriotyczne dzieci wrzeszczały. Fuggièro zagwizdał na palcach. Dała się słyszeć wzburzona rozmowa wśród dorosłych w naszym pobliżu, nie wróżąca nic dobrego. Pan w miejskim ubraniu i w nie bardzo odpowiednim na plaży meloniku, zsuniętym na tył głowy, zapewnia swe oburzone damy, że gotów jest dać nauczkę; zbliża się do nas i pali nam kazanie, w którym cały patos radośnie zmysłowego Południa oddaje się w służbę surowej karności i obyczaju. Bezwstyd, jakiego dopuściliśmy się, jest tym bardziej godny potępienia, że równa się niewdzięcznemu nadużyciu gościnności Italii. Obrażono występnie nie tylko literę i ducha przepisów kąpielowych, lecz także honor jego kraju, i w obronie tego honoru, on, pan w miejskim ubraniu, postara się, by uchybienie godności narodowej nie uszło nam płazem.

Robiliśmy, cośmy mogli, by wysłuchać przemowy poważnie kiwając głową. Sprzeciwić się rozgorączkowanemu człowiekowi znaczyłoby niewątpliwie to samo, co z jednego błędu popaść w inny. Mieliśmy to i owo na języku, na przykład, że nie wszystkie okoliczności pozwalają tu słowo gościnność zachować w jego najczystszyznaczeniu i że, mówiąc bez eufemizmu, nie jesteśmy właściwie gośćmi Italii, lecz signory Angiolieri, która właśnie przed kilku laty stanowisko powiernicy

Duse zamieniła na zawód gospodyni. Mieliśmy też ochotę odpowiedzieć, że nie wiedzieliśmy, iż zaniedbanie moralne w tym pięknym kraju doszło do tego stopnia, aby taka reakcja pruderii i przeczulenia mogła okazać się zrozumiałą i konieczną. Ale ograniczyliśmy się do zapewnienia, że dalecy byliśmy od wszelkiej prowokacji i braku szacunku, i usprawiedliwiając się wskazaliśmy na młodociany wiek i cielesną znikomość małej delikwentki. Na próżno. Nasze zapewnienie odrzucono jako niewiarogodne, naszą obronę jako słabą, i uznano za konieczną karę dla przykładu. Telefonicznie, jak sędzę, zawiadomiono władze, przedstawiciel ich zjawił się na plaży, nazwał wypadek bardzo poważnym, molto grave, i musieliśmy udać się z nim na plac, do municipio²³, gdzie wyższy urzędnik potwierdził tymczasowy wyrok „molto grave”, rozwodził się w widocznie zwykłych tu dydaktycznych frazesach nad naszym postępkim jak pan w meloniku i kazał nam zapłacić pięćdziesiąt lirów kary. Uznaliśmy, że przygoda warta jest tego wkładu do włoskiego budżetu, zapłaciliśmy i odeszli. Czy nie powinniśmy byli wyjechać?

Gdybyśmy to byli uczynili! Bylibyśmy wtedy uniknęli tego złowieszczego Cipolli; ale wiele złożyło się na to, aby odłożyć na razie zamiar zmiany miejsca pobytu. Pewien poeta rzekł, że w bolesnych stanach utrzymuje nas lenistwo — można by tę uwagę przytoczyć dla wyjaśnienia naszej wytrwałości. Również po takich wypadkach niechętnie ustępuje się natychmiast z pola;

²³ Municipio (wł.) — ratusz.

zwleka się z przyznaniem, że staliśmy się niemożliwi, zwłaszcza jeśli dowody sympatii z zewnątrz ośmielają przekorę. W willi „Eleonora” istniała jednomyślna opinia co do niesprawiedliwości naszego losu. Włoscy znajomi z jadalni byli zdania, że nie przyczynia to zgoła chluby krajowi, i postanowili pana w miejskim ubraniu pociągnąć do odpowiedzialności. Ale ten znikł z plaży wraz ze swoją grupą już następnego dnia — nie z powodu nas oczywiście, ale być może, że świadomość bliskiego odjazdu wpłynęła na wzmożenie jego energii, w każdym razie jego zniknięcie przyniosło nam ulgę. Aby rzec wszystko: pozostaliśmy także dlatego, że pobyt ten stał się dla nas dziwny, a dziwność sama przez się oznacza wartość, niezależnie od przyjemności i przykrości. Czyż należy ściągać żagle i wymijać przygodę, skoro nie obiecuje tylko pogody i zaufania? Czy należy odjeżdżać, skoro życie zapowiada się trochę niesamowicie, niezupełnie bezpiecznie lub trochę przykro i chorowicie? Przecie nie, właśnie przy tej sposobności można się czegoś nauczyć. Pozostaliśmy więc i jako straszną nagrodę naszej stałości przeżyliśmy wstrząsające, złowieszcze pojawienie się Cipolli.

Że niemal w chwili urzędowego ukarania nas zaczął się okres posezonowy, o tym nie wspomniałem. Ów srogosz w sztywniaku, nasz oskarżyciel, nie był jedynym gościem, który teraz porzucał kąpielisko; nastąpił ogólny wyjazd, było widać wiele ręcznych wózków z pakunkami jadących na stację. Plaża odnacyjonalizowała się, życie w Torre, w kawiarniach, na

ścieżkach Pinety stało się zarazem intymniejsze i bardziej europejskie; zapewne moglibyśmy teraz jadać na oszklonej werandzie „Grand Hotelu”, ale zaniechaliśmy tego, czuliśmy się zupełnie dobrze u stołu signory Angiolieri — słowo „dobrze” należy rozumieć z odcieniem, jakiego udzielał mu demon miejscowy. Jednocześnie zaś z tą wdzięcznie odczuwaną zmianą zmieniła się i pogoda, stało się to niemal co do minuty w zgodzie z wakacyjnym kalendarzem wielkiej publiczności. Niebo zachmurzyło się, ale nie zrobiło się chłodniej, tylko skwar, który panował osiemnaście dni od naszego przyjazdu (a zapewne i długo przedtem), ustąpił parnej duchocie sirocca i słabiuchny deszczyk skrapiał od czasu do czasu aksamitną widownię naszych przedpołudni. I to jeszcze: dwie trzecie naszego dla Torre przeznaczonego czasu już minęły: ocieżałe, bezbarwne morze, w którego płytkiej wodzie pływały leniwe meduzy, stanowiło bądź co bądź nowość; byłoby głupstwem tęsknić za słońcem, które, gdy władało szaleńczo, wywoływało niejedno westchnienie.

W tym momencie Cipolla dał znać o sobie. Cavalière Cipolla, jak go nazywały afisze, które pewnego dnia porozwieszano wszędzie, także w sali jadalnej pensjonatu „Eleonora” — wędrowny wirtuoz, sztukmistrz, forzatore, illusionista i prestidigitatore (tak siebie określał), który zamierza wielce szanownej publiczności z Torre di Venere przedstawić kilka nadzwyczajnych fenomenów tajemniczego i zdumiewającego rodzaju. Czarodziej! Ogłoszenie wystarczało, by

naszym małym zawrócić głowę. Nigdy jeszcze nie byli świadkami takiego widowiska, ta podróż wakacyjna miała im przynieść nieznane wzruszenia. Natychmiast zaczęli nam kłaść w uszy, abyśmy kupili bilety na wieczór kuglarza, i choć późna godzina rozpoczęcia imprezy, dziewiąta, od razu nas niepokoiła, zgodziliśmy się przypuszczając, że po krótkim zapoznaniu się ze skromnymi zapewne sztuczkami Cipolli pójdziemy do domu, że także dzieci nazajutrz będą mogły się wyspać, i nabyliśmy od samej signory Angiolieri, która miała do rozporządzenia kilka uprzywilejowanych miejsc dla swych gości, cztery bilety. Nie mogła ręczyć za solidność wyczynów owego człowieka i nie spodziewaliśmy się tego, ale my sami odczuwaliśmy pewną potrzebę rozrywki i natarczywa ciekawość dzieci okazała się pewnego rodzaju zarazą.

Lokalem, w którym cavalière miał się zaprezentować, była sala, która w pełnym sezonie służyła do zmieniających się co tydzień przedstawień kinowych. Nie byliśmy tam nigdy. Dochodziło się tam, mijając „palazzo”, starą, przeznaczoną na sprzedaż budowlę w rodzaju zamku, główną ulicę miejscową, przy której znajdowały się apteka, fryzjer, najczęściej odwiedzane sklepy i która wiodła niejako od feudalizmu przez mieszczaństwo do ludowości, gdyż biegła między ubogimi rybackimi domostwami, przed którymi stare kobiety łatały sieci; i tu, już w części ludowej, leżała „sala”, właściwie marna, choć obszerna, z desek sklecona buda, której do bramy podobne wejścia ozdobione były z obu stron różnobarwnymi, jeden na

drugi ponalepianymi afiszami. Więc w jakiś czas po obiedzie, oznaczonego dnia, powędrowaliśmy tam po ciemku, dzieci odświętnie ubrane, uszczęśliwione tak wyjątkowym zdarzeniem. Było parno jak od szeregu dni, czasem błyskało się i padał drobny deszcz. Szliśmy pod parasolami. Mieliśmy kwadrans drogi.

Przeszedłszy przez kontrolę, musieliśmy sami odszukać swe miejsca. Znaleźliśmy je w trzecim rzędzie z lewej strony i kiedyśmy usiedli, zauważyliśmy, że już i tak późną godzinę rozpoczęcia traktowano dość swobodnie; stopniowo zaczęła napływać publiczność, której zdaje się o to chodziło, żeby się spóźnić, i zajmowała parter, do którego, jako że łóż nie było, ograniczała się widownia. Opieszałość ta niepokoiła nas trochę. Już teraz znużenie zmieszane z gorączkowym oczekiwaniem barwiło dzieciom policzki. Tylko miejsca stojące w przejściach bocznych i z tyłu były już z naszym przyjściem szczelnie wypełnione. Stał tam z nagimi, na trykocie w paski skrzyżowanymi rękami różnorodny miejscowy żywioł męski z Torre di Venere, ludność rybacza, przedsiębiorczo spoglądający młodzi chłopcy; i gdy my godziliśmy się chętnie z obecnością tu-byłczego ludu, który takim przedsięwzięciom użycza dopiero barwy i humoru, dzieci okazały się tym zachwycone. Gdyż miały wśród tych ludzi przyjaciół, znajomości, które zawarły na popołudniowych przechadzkach na najdalszej plaży. Często o godzinie, gdy słońce, znużone swą potężną pracą, tonęło w morzu złocąc rumieńcem napływającą pianę kipieli, spotyka-

liśmy wracając do domu grupy bosych rybaków, którzy rzędem wpierając się w ziemię i ciągnąc, wśród przeciągłych okrzyków zagarniali sieci i przeważnie skąpy połów frutti di mare²⁴ zbierali w ociekające kosze, a dzieci przyglądały się im, paplały okruciami swej włoszczyzny, pomagały ciągnąć powróż, zawierały przyjaźnie. Teraz zamieniały ukłony ze sferą miejsc stojących, gdzie znajdował się Guiscardo i Antonio, znały imiona i wykrzykiwały je półgłosem, machając ręką, i otrzymywały w odpowiedzi kiwnięcie głową, uśmiech bardzo zdrowych zębów. Patrzcie, jest i Mario z „Esquisito”, Mario, który podaje nam czekoladę! I on chce zobaczyć czarodzieja i musiał wcześniej przyjść, stoi prawie na przodzie, ale nie spostrzega nas, nie zwraca uwagi, to jest jego sposób, chociaż jest młodszym kelnerem. Zatem kiwamy człowiekowi, który na plaży wynajmuje kajaki i który też stoi, zupełnie z tyłu.

Jest kwadrans po dziewiątej, jest już prawie pół do dziesiątej. Pojmujecie nasze zdenerwowanie. Kiedyż dzieci pójdą do łóżka? Błędem było przyprowadzać je tutaj, gdyż wymagać od nich, by przerwały zabawę, co ledwo się zaczęła, byłoby okrucieństwem. Z czasem parkiet zapełnił się szczelnie; całe Torre było obecne, można powiedzieć: goście z „Grand Hotelu”, goście z willi „Eleonora” i innych pensjonatów, znane twarze z plaży. Słychać było język angielski i niemiecki. Było słychać francuski, którym porozumiewali się Rumuni z Włocha-

²⁴ Frutti di mare (wł.) — mięczaki i skorupiaki morskie, spożywane przez ludność włoską.

mi. Pani Angiolieri siedziała o dwa rzędy za nami u boku swego cichego i łysego małżonka, który dwoma palcami prawej ręki kręcił wąsa. Wszyscy przyszli późno, ale nikt za późno; Cipolla kazał na siebie czekać.

Kazał na siebie czekać, to chyba właściwe wyrażenie. Wzmagał napięcie przez ociąganie się z występem. Rozumiano tę manierę, ale nie bez granic. Około pół do dziesiątej zaczęła publiczność klaskać — uprzejmy sposób okazania swej uzasadnionej niecierpliwości, gdyż wyraża zarazem gotowość do aplauzu. Dzieciom sprawiało już przyjemność uczestnictwo w tym. Dzieci lubią bić brawo. Z ludowej sfery wołano energicznie: — Pronti! — i — Cominciamo!²⁵ — I oto, jak się zwykle dzieje: rozpoczęcie, któremu tak długo coś stało na przeszkodzie, poszło łatwo. Rozległ się gong, na który z miejsc stojących odpowiedziało kilkugłosowe — Aaa! — i rozsunięła się kurtyna. Odsłoniła podium, podobne ze swego urządzenia raczej do izby szkolnej niż do pola działania kuglarza, zwłaszcza dzięki czarnej tablicy, stojącej na sztalugach z lewej strony na przodzie sceny. Poza tym był zwykły żółty wieszak, kilka, jak wszędzie tutaj, wyplatanych słomą krzesel i dalej w głębi okrągły stolik, na którym stała karafka z wodą i szklanka, a na osobnym stole znajdował się flakon z jasnożółtym płynem i likierowe kieliszki. Miało się jeszcze dwie minuty czasu, by zauważyć te przybory. Potem do nie przyciemnionej sali wszedł cavalière Cipolla. Wszedł owym szybkim krokiem, w którym

²⁵ Pronti! Cominciamo! (wł.) — Prędko! Zaczynamy!

wyraża się gotowość do usług dla publiczności i który budzi złudzenie, że wchodzący przebył w tym tempie już kawał drogi, by stanąć przed obliczem tłumu, choć przecie dopiero co stał w kulisach. Ubranie Cipolli wzmacniało fikcję przyjścia z daleka. Mężczyzna w trudnym do określenia wieku, lecz wcale już nie młody, z ostrą, zniszczoną twarzą, kłującymi oczami, zmarszczonymi, zaciśniętymi ustami, z małym, napomadowanym wąsikiem i tak zwianą muszką między dolną wargą i brodą, był ubrany z pewnego rodzaju wieczorowo-uliczną elegancją. Miał szeroką, czarną opończę bez rękawów, z aksamitnym kołnierzem, i podszytą atłasem pelerynką; opończę tę, krępującą mu ramiona, zaciskał z przodu biało urękawicznionymi dłońmi, na szyi miał biały szal, na głowie wygięty, na bakier włożony cylinder. Może bardziej niż gdzie indziej 'żywotny jest jeszcze w Italii wiek osiemnasty, a wraz z nim typ szarlatana, jarmarcznego sowizdrzała, który był tak charakterystyczny dla tej epoki i który spotkać można jeszcze tylko w Italii w dobrze zachowanych egzemplarzach. Cipolla miał w swym ogólnym wyglądzie wiele z tego historycznego gatunku i wrażenie reklamarskiego i fantastycznego błazeństwa, które należy do obrazu, budziło już to, że pretensjonalne ubranie, tu zbyt obcisłe, tam zbyt obwisłe, osobliwie na nim leżało lub właściwie wisiało; coś z figurą jego nie było w porządku, tak z przodu jak i z tyłu — potem stało się to wyraźniejsze. Ale muszę zaznaczyć, że o żartobliwości, o kłownostwie w jego postawie, w jego minach, w jego sposobie bycia nie mogło być absolutnie mowy; raczej przemawiała zeń surowa powaga, zaprzeczenie wszelkiego

humoru, niekiedy chimeryczna duma, także pewnego rodzaju godność i zarozumiałość kaleki — co oczywiście nie przeszkadzało, że zachowanie jego wywołało w kilku miejscach sali śmiech.

Zachowanie to nie miało w sobie już nic usługowego; szybkość wejścia okazała się tylko objawem energii i nie miała nic wspólnego z uniżonością. Stojąc przy rampie i ściągając niedbałym skubaniem rękawiczki, przy czym obnażał długie i żółtawe ręce, z których jedną zdobił sygnet ze sterczącym turkusem, przesuwając śledczo małe, surowe oczy z obwisłymi workami po sali, nie szybko, lecz zatrzymując tu i ówdzie wzrok na jakiejś twarzy z pełnym wyższości badaniem — zaciskając usta, nie mówiąc ani słowa. Zwinięte rękawiczki rzucił, z równie zdumiewającą jak niedbałą zręcznością, ze znacznej odległości wprost do szklanki na okrągłym stoliku, po czym wydobyl, spoglądając niemo dokoła, z jakiejś wewnętrznej kieszeni paczkę papierosów taniego gatunku monopolowego, jak widać było z opakowania, wyciągnął szpiczastymi palcami jeden z wiązki i zapalił go, nie patrząc nań, sprawnie funkcjonującą zapalniczką. Głęboko wchłonięty dym wypuścił z aroganckim grymasem szarym pasmem między wyszczerbionymi ostrymi zębami, wciągając, przy lekkim tupnięciu nogą, obie wargi.

Publiczność patrzyła nań tak ostro, jak on ją lustrował. U młodych ludzi na miejscach stojących widać było ściągnięte brwi i oczy świdrujące, szukające słabej strony, którą ten nazbyt siebie pewny odłoni. Nie odłaniał żadnej. Wydobycie i

schowanie paczki papierosów i zapalniczki było kłopotliwe z powodu jego odzienia; odgarnął przy tym swoją opończę i widać było, że u lewej ręki, na skórzanej pętli, wisi niestosowna tu szpicruta ze srebrną rączką w kształcie szponów. Zauważono dalej, że nie miał na sobie fraka, lecz zwykły surdut, a kiedy i ten się rozchylił, ujrzano kilkobarwną, na poły przez kamizelkę zasłoniętą szarfę, która owijała Cipollę w pasie i którą za nami siedzący widzowie w półgłosnej wymianie zdań uznali za odznaczenie cavalière. Nie wchodzę w to bliżej, gdyż nie słyszałem nigdy, by z tytułem cavalière związane było tego rodzaju odznaczenie. Może szarfa ta była zwykłą blagą, jak i bezsłowna postawa kuglarza, który wciąż jeszcze nic nie robił, tylko niedbale i z powagą palił przed publicznością papierosa.

Śmiano się, jak rzekłem, i wesołość zapanowała niemal powszechna, gdy głos ze stojącego parteru wyraźnie i sucho rzekł:

— Buona sera!²⁶

Cipolla nastawił uszu.

— Kto to był? — spytał jakby zaczepnie. — Kto to powiedział? No? Naprzód taki śmiały, a teraz boi się? Paura²⁷, co?

²⁶ Buona sera (wł.) — dobry wieczór.

²⁷ Paura (wł.) — strach.

Mówił dość wysokim, trochę zachrypniętym, ale metalicznym głosem. Czekał.

— To ja — rzekł wśród ciszy młody człowiek, który się uczuł wyzwany i dotknięty na honorze, piękny młodzieniec tuż obok nas, w bawełnianej koszuli, z marynarką przewieszoną przez ramię. Miał czarne, twarde, kędzierzawe włosy, dziko podczesane, modną fryzurę obudzonej ojczyzny; szpeciła go ona, przypominał Afrykanina. — To ja. Była to rzecz pana, ale okazałem uprzejmość!

Wesołość ponowiła się. Młodzieniec nie zapomniał języka w gębie. — Ha sciolto lo scilinguagnolo²⁸ — powiedział ktoś obok. Nauczka ludowa była ostatecznie na miejscu.

— A, brawo! — odpowiedział Cipolla. — Podobasz mi się, młodzieńcze. Czy uwierzysz, że cię od dawna widziałem? Tacy jak ty cieszą się moją szczególną sympatią, przydają mi się. Widocznie jesteś zuch. Robisz, co chcesz. Czy też już kiedyś nie zrobiłeś tego, czego chciałeś? Albo nawet zrobiłeś to, czego nie chciałeś? Czego nie ty chciałeś? Słuchaj, przyjacielu, byłoby lepiej i wygodniej nie udawać zawsze zucha i nie ręczyć za oboje, za swoją wolę i czyn. Musi nastąpić podział pracy — sistema americano²⁹. Czy chcesz na przykład tej wyborowej i wielce szanownej publiczności pokazać język, i to język cały, aż do nasady?

²⁸ Ha sciolto lo scilinguagnolo (wł.) — odgryzł się jak należy.

²⁹ Sistema americano (wł.) — system amerykański.

— Nie — rzekł chłopak wrogo. — Nie chcę tego, świadczyłoby to o złym wychowaniu.

— Nie świadczyłoby o niczym — odrzekł Cipolla — gdyż tylko wykonałbyś to. Mam całkowity szacunek dla twego wychowania, ale, moim zdaniem, zrobisz, zanim doliczę do trzech, zwrot w prawo i pokażesz towarzystwu język, bardziej, niżbyś przypuszczał, że możesz go wystawić.

Spojrzał nań wciągając, zda się, kłujące swe oczy bardziej w orbity.

— Uno³⁰ — rzekł świsnąwszy w powietrzu szpicrutą, którą zsunął z ręki.

Chłopak stanął frontem do publiczności i wywalił język z wysiłkiem na całą długość i widać było, że zrobił, co tylko mógł. Potem z twarzą pozbawioną wyrazu, zajął poprzednią podstawę.

— To ja — szydził Cipolla mrugając i wskazując ruchem głowy na chłopca. — To ja — przy czym zwrócił się, pozostawiając publiczność jej wrażeniu, do okrągłego stolika, nalał sobie kieliszek z flakonu, który widocznie zawierał koniak, i wychylił go wprawnie.

Dzieci śmiały się serdecznie. Z wymiany słów nie rozumiały prawie nic. Bawiło je jednak w najwyższym stopniu, że między ciekawym człowiekiem na górze a kimś z

³⁰ Uno (wł.) — raz.

publiczności działało się coś zabawnego, a ponieważ o programie zapowiedzianego wieczoru nie miały określonego pojęcia, były gotowe uważać ten początek za wyborny. Co do nas, zamieniliśmy spojrzenie i pamiętam, że mimo woli naśladowałem wargami świst, z jakim szpicruta Cipolli przecięła powietrze. Zresztą jasne było, że ludzie nie wiedzieli, co myśleć o tak niedorzecznym rozpoczęciu wieczoru kuglarza, i nie mieli pojęcia, co mogło giovanotta³¹, który przecie, żeby tak rzec, należał do nich, skłonić nagle, że zwrócił swą zuchwałość przeciw nim, publiczności. Uznano jego zachowanie za głupie, przestano się nim zajmować i skierowano uwagę na sztukmistrza, który wracając od krzepiącego stolika w ten sposób mówił dalej:

— Panie i panowie — rzekł dychawiczno-meta-licznym głosem.
— Byliście właśnie świadkami mej wrażliwości na nauczkę, której mi, jak mu się zdawało, udzielił ten obiecujący młody lingwista („questo linguista di bella speranze” — śmiano się z tej gry słów³²). Mam ambicję, musicie się z tym pogodzić! Lubię, gdy mi ktoś mówi „dobry wieczór” tylko w sposób poważny i grzeczny — czynić tego w innej myśli nie ma powodu. Kto życzy mi dobrego wieczoru, życzy go i sobie, gdyż publiczność będzie miała dobry wieczór tylko w tym razie, jeśli ja go mieć będę, toteż ten ulubieniec dziewcząt z Torre di Venere (nie przestawał docinać chłopcu) uczynił bardzo dobrze, dając natychmiast dowód, że mam dziś dobry wieczór i mogę obejść

³¹ Giovanotto (wł.) — młody chłopiec.

³² Lingua (wł.) — język. Linguista — znający obce języki.

się bez jego życzeń. Pozwolę sobie pochłubić się, że mam tylko dobre wieczory. Może znajdzie się wśród nich kiedyś jaki gorszy, ale rzadko. Zawód mój jest ciężki i zdrowie moje nie najlepsze; mam też pewną niedomogę cielesną, która uniemożliwiła mi wzięcie udziału w wojnie o wielkość naszej ojczyzny. Ale z pomocą sił duchowych i umysłowych daję sobie radę w życiu, co przecież znaczy, że daję sobie radę z sobą samym, i szczyć się tym, że pracą moją zyskałem szanowną sympatię kulturalnej publiczności. Czołowa prasa umiała tę pracę ocenić, „Corriere della Sera” oddał mi tę sprawiedliwość, że nazwał mnie fenomenem, a w Rzymie miałem zaszczyt widzieć wśród widzów brata duce³³ na wieczorze, który tam urządziłem. Sądziłem, że małych nawyków, które wybaczone mi łaskawie w tak świetnym i dostojnym mieście, nie powinienem się umyślnie pozbywać w bądź co bądź mniej znacznej miejscowości, jak Torre di Venere (śmiano się kosztem biednego, małego Torre), i ścierpieć, by osoby, zepsute, zdaje się, trochę przez płęć niewieścią, wytykały mi je.

Teraz znów musiał płacić chłopak, którego Cipolla niezmordowanie prezentował w roli donnaiuolo³⁴ i wiejskiego zalotnika — przy czym stała drażliwość i animozja, z jaką powracał do niego, była uderzająco nieproporcjonalna do zapewnień o poczuciu swego znaczenia i światowych sukcesach, którymi się chlubił. Widocznie młodzieniec musiał służyć za

³³ Duce (wł.) — wódz, tytuł nadany Mussoliniemu.

³⁴ Donnaiuolo (wł.) — kobieciarz.

temat zabawy, jakiego Cipolla zapewne co wieczór zwykł był szukać sobie i brać na cel. Ale z docinków jego wyzierała prawdziwa nienawiść, o której ludzkim sensie mówiło wyraźnie jedno spojrzenie na wygląd obu, choćby garbus nie napomykał nawet nieustannie o przypuszczalnym szczęściu pięknego młodzieńca do kobiet.

— Zanim więc zaczniemy naszą zabawę — dodał — pozwólcie, bym zrzucił płaszcz.

I podszedł do wieszadła, by go zdjąć.

— Parla benissimo³⁵ — stwierdzono w naszym pobliżu. Ten człowiek nie zrobił jeszcze nic, ale samą jego gadaninę uznano za czyn, zaimponował nią. U południowców jest mowa składnikiem radości życia, któremu przypisuje się większą wartość towarzyską niż na północy. Narodowy łącznik języka ojczystego cieszy się u tych narodów przykładnym szacunkiem i coś radośnie wzorowego ma ów zachwycający pietyzm, z jakim pielęgnuje się jego formy i prawidła głosowni. Mówi się z przyjemnością, słucha się z przyjemnością — i słucha się z osądem. Gdyż to, jak kto mówi, stanowi miarę jego osobistej rangi; niedbalstwo, partactwo budzą pogardę, elegancja i mistrzostwo zyskują ludzki szacunek, przeto też i szary człowiek, gdy chodzi mu o skutek, posługuje się wyszukanymi

³⁵ Parla benissimo (wł.) — świetnie mówi.

zwrotami i starannie je wygłasza. Więc przynajmniej w tym względzie Cipolla widocznie ujął sobie widzów, choć nie należał zgoła do typu ludzi, których Włoch, w osobliwym pomieszaniu moralnego i estetycznego sądu, uważa za „simpatico”³⁶.

Odłożywszy jedwabny cylinder, szal i płaszcz, podszedł znów bliżej, prostując się w surducie, wyciągając wielkimi spinkami związane mankiety i układając oszukańczą szarfę. Miał bardzo brzydkie włosy: góra czaszki była niemal łyśa, tylko na ciemieniu biegło przedzielone i jakby przylepione, ze szczytu ku przodowi, wąskie pasmo pomadą uczernionych włosów, podczas gdy włosy na skroni, również poczernione, szesane były z boku ku kątom oczu — fryzura niby staroświeckiego dyrektora cyrku, śmieszna, ale pasująca do jego ordynarnego stylu osobistego i noszona z tak wielką pewnością siebie, że wrażliwość publiczności na jej komizm pozostała powściągliwa i niema. Mała „niedomoga cielesna”, o której wspomniał zapobiegawczo, była teraz aż nazbyt widoczna, chociaż jeszcze wciąż niezupełnie wyraźna co do swej istoty: piersi były za wypukłe, jak zwykle w takich wypadkach, ale garb z tyłu zdawał się tkwić nie na zwykłym miejscu, między łopatkami, lecz niżej, jako rodzaj wypukłości w biodrach i siedzeniu, która wprawdzie nie przeszkadza w chodzie, lecz czyniła go groteskowym i dziwnie rozkołysanym za każdym krokiem. Zresztą kalectwu ułamało niejako ostrze napomknienie o nim i cywilizowana delikatność wyraźnie zapanowała na jego widok na sali.

³⁶ Simpatico (wl.) — sympatyczny.

— Jestem do usług! — rzekł Cipolla. — Za zgodą obecnych zaczniemy program od kilku ćwiczeń arytmetycznych.

Arytmetyka? To nie wyglądało na czarodziejskie sztuki. Budziło się przypuszczenie, że człowiek ten żegluje pod fałszywą flagą; tylko jaka była prawdziwa, pozostawało niejasne. Zaczynało mi się żal robić dzieci; ale na razie były po prostu szczęśliwe, że są obecne.

Zabawa w liczby, którą teraz Cipolla urządził, była zarówno prosta, jak przez swą pointę zdumiewająca. Zaczął od tego, że w górnym prawym kącie tablicy przymocował pluskiewką kartkę papieru i podniósłszy ją w górę napisał coś kredą na desce. Mówił przy tym nieustannie, nie skąpiąc słów i starając się ustrzec swój wykład od oschłości, przy czym okazał się obrotnym w języku i ani razu o gawędziarski pomysł nie zakłopotanym konferansjerem. Że natychmiast zaczął zasypywać przepaść między podium i widzami, zasklepioną już przez osobliwą utarczkę z młodym rybakiem, że więc zaprosił przedstawicieli publiczności na scenę i sam drewnianymi schodami zszedł na dół, aby osobiście poszukać kontaktu ze swymi gośćmi, należało do stylu jego pracy i podobało się dzieciom bardzo. Nie wiem, o ile fakt, że natychmiast znów popadł z poszczególnymi osobami w zwadę, leżał w jego manierach i jego systemie, choć był przy tym bardzo poważny i w złym humorze — publiczność, przynajmniej w swych ludowych składnikach, zdawała się w każdym razie być zdania, że to należy do rzeczy.

Mianowicie, kiedy coś napisał i to, co napisał, ukrył pod kartką papieru, wyraził życzenie, aby dwie osoby raczyły wejść na podium i pomóc w wykonaniu danego rachunku. Nie przedstawia to żadnych trudności, nawet mniej uzdolnieni w rachunkach dadzą temu radę. Jak zwykle, nikt się nie zgłosił, a Cipolla lękał się naprzykrzać wytworniejszej części publiczności. Trzymał się ludu i zwrócił się do dwóch gburowatych dryblasów na stojących miejscach w końcu sali, wezwał ich, ośmielił, uważał za rzecz naganną, że gapią się tylko beczynnienie i nie chcą okazać uprzejmości towarzystwu, i rozruszał ich istotnie. Ciężko kroczyli przez środkowe przejście ku przodowi, weszli po schodach i uśmiechając się głupkowato stanęli wśród okrzyków i braw swych kolegów przed tablicą. Cipolla żartował jeszcze chwilę z nimi, chwalił bohaterską tężyznę ich cielsk, wielkość rąk, stworzonych wprost, by wyświadczyć zgromadzeniu żadaną przysługę, potem dał jednemu z nich kredę do ręki z poleceniem, by zapisywał po prostu liczby, które mu się podoba. Ale człowiek ten oświadczył, że nie umie pisać. — Non so scrivere — rzekł grubym głosem, a towarzysz jego dodał: — Ja także nie.

Bóg wie, czy mówili prawdę, czy tylko chcieli zażartować z Cipolli. W każdym razie ten ostatni daleki był od tego, by podzielać wesołość, jaką wzbudziło ich wyznanie. Był obrażony i przejęty wstrętem. Siedział w tej chwili z nogą założoną na nogę na jednym z plecionych krzesel na środku sceny i palił znów papierosa z taniej paczki, który widać bardziej mu

smakował teraz, gdy podczas tupocącego marszu obu jołopów ku podium wypił drugi kieliszek koniaku. Znów wypuścił dym zza obnażonych zębów i kołysząc nogą patrzył z surowym wstrętem, jak człowiek, który przed pogardy godnym zjawiskiem zamyka się w sobie i w swojej godności, mimo obu wesołych bezecników i ponad publicznością, w pustkę.

— Skandal — rzekł z chłodną zaciętością. — Wróćcie na swe miejsca! Każdy umie pisać w Italii, której wielkość wyklucza niewiedzę i ciemnotę. Jest kiepskim żartem obwiniać się głośno wobec tej międzynarodowej publiczności o brak, który poniża nie tylko was samych, lecz także rząd i kraj wystawia na niesławę. Jeśliby Torre di Venere była istotnie ostatnim zakątkiem ojczyzny, dokąd schroniła się nieznajomość elementarnej wiedzy, to musiałbym żałować, że odwiedziłem miejscowość, o której w każdym razie powinienem był wiedzieć, że co do znaczenia stoi daleko w tyle za Rzymem w tym i owym względzie...

W tej chwili przerwał mu chłopak z nubijską fryzurą i marynarką na ramieniu, którego zaczepność, jak widać było, przycichła tylko na chwilę i który z podniesioną głową narzucał się na rycerza ojczystego miasteczka.

— Dość! — rzekł głośno. — Dość tych żartów z Torre. Wszyscy jesteśmy tutejsi i nie ścierpimy, aby miasto wyszydzać przed cudzoziemcami. Także ci dwaj ludzie są naszymi przyjaciółmi. Jeśli nie są uczeni, to są za to porządniejszymi

chłopcami, niż może niejeden na sali, który chwali się Rzymem, choć go nie założył.

To było przecie doskonałe. Ten młody człowiek był naprawdę dowcipny. Bawiono się tym rodzajem dramatu, choć coraz bardziej opóźniał początek właściwego programu. Słuchanie sprzeczki jest zawsze interesujące. Wielu ludzi bawi to po prostu i z pewnego rodzaju złośliwą satysfakcją cieszą się swą neutralnością; inni czują niepokój i wzruszenie; i rozumiem ich bardzo dobrze, choć miałem wówczas wrażenie, że wszystko to w pewnej mierze polega na umowie i że zarówno obaj gruboskórni analfabeci, jak i giovanotto w marynarce, idą sztukmistrzowi poniekąd na rękę, by robić przedstawienie. Dzieci słuchały z całą przyjemnością. Nic nie rozumiały, ale akcenty zapierały im dech. To był więc czarodziejski wieczór, przynajmniej na sposób włoski. Uważały to za bardzo piękne.

Cipolla wstał i dwoma rozkołysanymi krokami podszedł do rampy.

— Patrzcie no! — rzekł z okrutną serdecznością. — Stary znajomy! Młodzieniec, który ma serce na języku! (Rzekł „sulla linguaccia”, co znaczy obłożony język i wywołało wielką wesołość.) Idźcie, moi przyjaciele! — zwrócił się do obu jołopów. — Dość was, mam teraz do czynienia z tym człowiekiem honoru, con questo torregiano di Venere, tym dzwonnikiem Wenery, który niewątpliwie spodziewa się słodkich podziękowań za swoją czujność...

— Ach, non scherziamo!* Mówmy poważnie! — zawołał chłopak. Oczy jego błyszczały i uczynił naprawdę ruch, jakby chciał zrzucić marynarkę i przejść do bezpośredniej rozprawy.

Cipolla nie brał tego tragicznie. W przeciwieństwie do nas, którzy patrzyliśmy na siebie niepewnie, miał cavalière do czynienia z krajanem, miał ojczysty grunt pod nogami. Pozostawał zimny, okazywał doskonałą wyższość. Uśmiech, ruch głowy w bok ku czupurnemu kogutowi, spojrzenie rzucone na publiczność wezwały ją na sympatyzującego świadka zawadiactwa, którym przeciwnik zdradzał tylko swoje prostactwo. A potem zdarzyło się znów coś dziwnego, co ową wyższość postawiło w niesamowitym świetle i wojownicze podniecenie, które szło ze sceny w zawstydzający i niepojęty sposób obracało w śmieszność.

Cipolla zbliżył się jeszcze bardziej do chłopca, patrząc mu osobliwie w oczy. Zszedł nawet do połowy schodów, które tam, na lewo od nas, prowadziły na widownię, tak że stał nieco wyżej od kłótnika. Szpicrutę miał zawieszoną na ręce.

— Nie jesteś skłonny do żartów, mój synu — rzekł. — To zrozumiałe, bo każdy widzi, że nie jesteś zdrow. Już twój język, którego czystość pozostawia wiele do życzenia, wskazuje na ostry rozstrój systemu gastrycznego. Nie trzeba szukać wieczornych rozrywek, czując się tak jak ty, i ty sam, wiem o tym, wahałeś się, czy nie postąpiłbyś lepiej, gdybyś położył się do

* Non scherziamo (wł.) — nie żartujmy.

łóżka i zrobił sobie kompres na brzuch. Lekkomyślnością było pić dziś po obiedzie tak dużo białego wina, które było bardzo kwaśne. Teraz masz taką kolkę, że omal skręcasz się z bólu. Nie krępuj się! Przynosi to pewną ulgę, gdy ciało nagina się do kurczu jelit.

Gdy mówił to słowo za słowem, ze spokojną dobitnością i z pewnego rodzaju surowym współczuciem, zdawało się, że oczy jego, wpijając się w oczy chłopca, wiedły i płonęły jednocześnie ponad obwisłymi workami — były to bardzo osobliwe oczy i rozumiało się, że jego partner nie tylko z męskiej dumy nie mógł od nich oderwać swoich. Wnet też nie było w jego na brąz opalonej twarzy śladu buty. Patrzył na cavalière z otwartymi ustami i te otwarte usta uśmiechały się błędnie i żałośnie.

— Skręć się! — powtórzył Cipolla. — Cóż ci pozostaje innego? Przy takiej kolce musisz się skręcać! Przecież nie będziesz opierał się naturalnym odruchom tylko dlatego, że ci się je zaleca.

Młody człowiek podniósł powoli ręce i kiedy przyciskając skrzyżował je na brzuchu, ciało jego przegięło się, zwróciło się bokiem ku przodowi, coraz niżej i niżej, pochyliło się krzywo ustawionymi stopami i do wewnątrz zwróconymi kolanami w dół, tak że w końcu, kucnąwszy prawie na ziemi, było obrazem skręcającego bólu. Cipolla pozostawił go kilka sekund w tej pozycji, potem przeciął krótko szpicrutą powietrze i pokuśtykał z powrotem ku okrągłemu stolikowi, gdzie łyknął koniaku.

— Il boit beaucoup* — stwierdziła za nami jakaś dama.

Czy tylko to spostrzegła? Nie mogliśmy zdać sobie sprawy, jak dalece publiczność już się orientowała. Chłopak wyprostował się znowu, uśmiechając się trochę z zakłopotaniem, jakby nie wiedział dobrze, co się z nim działo. Śledzono tę scenę z napięciem i klaskano, gdy się skończyła, wołając zarazem — Brawo, Cipolla! — i — Brawo, giovanotto! — Widocznie końca zatargu nie uważano za osobistą klęskę młodzieńca, lecz dodawano mu odwagi jak aktorowi, który swą żalosną rolę odegrał chwalebnie. Istotnie, sposób skręcania się od bólów brzucha był w najwyższym stopniu pełen wyrazu, w naoczności swej obliczony był zarazem dla galerii i, aby tak rzec, był aktorskim pokazem. Ale nie jestem pewien, o ile zachowanie się sali należało przypisać tylko ludzkiemu poczuciu taktu, w czym Południe góruje nad innymi, o ile zaś polegało na właściwym zrozumieniu sedna rzeczy.

Cavalière, pokrzepiony, zapalił nowego papierosa. Można było znów zabrać się do arytmetycznej próby. Bez trudności znalazł się młody człowiek z tylnych rzędów, gotów zapisywać na tablicy dyktowane cyfry. Znaliśmy go także; cała zabawa nabierała czegoś familijnego przez to, że znało się tyle twarzy. Był to subiekt ze sklepu towarów kolonialnych i owoców przy głównej ulicy i często usługiwał nam uprzejmie. Władał kredą z kupiecką zręcznością, podczas gdy Cipolla, zszedłszy na

* Il boit beaucoup (fr.) — on dużo pije.

widownię, kuśtykał wśród publiczności krokami garbusa i zbierał liczby dwu-, trzy- i czterocyfrowe wedle wolnego wyboru, które wyjmował pytanym z ust, i rzucał je głośno młodemu kupcowi, zapisującemu jedną pod drugą. Przy tym wszystko, we wzajemnym porozumieniu, obliczone było na zabawę, żart, oratorską przesadę. Zdarzało się, że sztukmistrz trafiał na cudzoziemców, którzy nie mogli sobie dać rady z włoskimi nazwami liczb, i mozolił się z nimi długo w wybitnie rycerski sposób, wśród grzecznej wesołości tubylców, których wprowadzał w zakłopotanie, zmuszając ich, aby tłumaczyli cyfry podawane po angielsku i francusku. Niektórzy wymieniali liczby, które oznaczały wielkie daty z historii Włoch. Cipolla chwycił je natychmiast i, idąc dalej, nawiązywał do nich patriotyczne uwagi. Ktoś rzekł: — Zero! — i cavalière, głęboko obrażony, jak przy każdej próbie brania go na kawał, odparł poprzez ramię, że jest to mniej niż dwucyfrowa liczba, na co inny żartowniś zawołał: — Zero, zero! — i wywołał wesołość, której pewne może być wśród południowców każde napomknienie o sprawach naturalnych. Sam tylko cavalière zachował odpychającą godność, choć on właśnie spowodował ową aluzję; jednak wzruszając ramionami podał i tę pozycję rachunkową pisarzowi do protokołu.

Gdy na tablicy znalazło się mniej więcej piętnaście liczb różnej długości, poprosił Cipolla o ogólną sumę. Zawołani rachmistrze mogli przed napisaniem zliczyć ją w głowie, ale wolno było posłużyć się ołówkiem i kieszonkowym notesem.

Kiedy rachowano, Cipolla siedział na stołku koło tablicy i strojąc miny palił zadowolony z siebie, w pretensjonalnej pozie garbusa. Sześciocyfrowa suma była szybko gotowa. Ktoś podał ją do wiadomości, inny potwierdził, wynik trzeciego różnił się trochę, czwartego zgadzał się znów. Cipolla wstał, strzepnął trochę popiołu z surduta, podniósł kartkę papieru w górnym prawym kącie tablicy i pokazał to, co było na niej napisane. Widniała tam właściwa suma, bliska miliona. Napisał ją z góry.

Zdumienie i wielkie oklaski. Dzieci były oszołomione. Chciały wiedzieć, jak on to zrobił. Tłumaczyliśmy im, że jest to sztuczka, po prostu niezrozumiała, bo ten człowiek jest właśnie kuglarzem. Teraz dowiedziały się, co to znaczy wieczór sztukmistrza. Naprzód rybak dostał kurczów żołądkowych, a teraz pokazał się na tablicy gotowy wynik — to było wspaniałe i widzieliśmy z niepokojem, że mimo ich zgorączkowanych oczu i mimo że zegar wskazywał już pół do jedenastej, bardzo trudno będzie zabrać je stąd. Będą łązy. A jednak było jasne, że ten garbus nie czarował, przynajmniej nie w znaczeniu zręczności, i że to nie było dla dzieci. Również nie wiem, co właściwie myślała sobie publiczność; ale co do „wolnego wyboru” przy oznaczaniu składników sumy była widocznie usposobiona bardzo sceptycznie; ten i ów z zapytanych mógł oczywiście odpowiedzieć sam z siebie, ale w ogóle było widać, że Cipolla, wybrał sobie ludzi i że proces zmierzający do z góry zapisanego wyniku odbywał się pod wpływem jego woli — przy czym zawsze jeszcze należało podziwiać jego spryt, gdy tamto nie

zasługiwało na podziw. Przy tym patriotyzm i drażliwa godność — krajanie cavaliera mogli się przy tym spokojnie czuć w swoim żywiole i mieć ochotę do żartów; na przybyszów mieszanina ta działała przygnębiająco.

Zresztą sam Cipolla dbał o to, by charakter jego sztuk każdemu trochę uświadomionemu wydawał się niewątpliwy, choć oczywiście nie padła żadna nazwa czy termin. Mówił o tym, bo mówił nieustannie, ale tylko w nieokreślonych, pretensjonalnych, reklamowych wyrazach. Kroczył jeszcze przez chwilę obraną eksperymentalną drogą, wikłał zrazu rachunki, łącząc z dodawaniem ćwiczenia z innych działań, i upraszczał je potem jak najbardziej, by pokazać, jak się to działo. Kazał po prostu „zgadywać” liczby, które przedtem napisał pod kartką papieru. Udawało się prawie zawsze. Ktoś wyznał, że chciał właściwie wymienić inną sumę; ponieważ jednak w tej samej chwili szpicruta cavalière świsnęła w powietrzu, wyrwała mu się ta liczba, która się potem znalazła na tablicy. Cipolla zaśmiał się potrząsając ramionami. Udawał podziw dla przemyślności pytanych; ale te komplementy miały w sobie coś szyderczego i poniżającego, nie sądzę, by doświadczane osoby przyjmowały je z przyjemnością, choć uśmiechały się przy tym i chciały uznanie przypisać częściowo własnej zasłudze. Również nie miałem wrażenia, żeby publiczność lubiła kunszt mistrza. Czuć było pewną niechęć i nieprzyjaźń; ale nie mówiąc już o grzeczności, która potrafi takie uczucia trzymać w ryzach, zdolność Cipolli, jego surowa pewność nie omieszkały wywrzeć wrażenia i nawet

szpicruta, jak sędzę, przyczyniła się do tego, że rewolta pozostała w podziemiu.

Od prób rachunkowych przeszedł do kart. Wyjął z kieszeni dwie talie i tyle jeszcze wiem, że zasadniczy i popisowy przykład eksperymentów, które pokazywał, był ten, że z jednej serii nie patrząc wybierał trzy karty, które ukrywał w wewnętrznej kieszeni surduta, i że potem wezwana osoba z podanej drugiej serii wyciągała te same trzy karty — nie zawsze zupełnie właściwie; zdarzało się, że zgadzały się tylko dwie, ale w większości wypadków tryumfował Cipolla, gdy pokazywał swoje trzy karty i dziękował lekko za oklaski, którymi uznawano chcąc nie chcąc siły, jakie ujawniał. Młody pan w pierwszym rzędzie, na prawo od nas, z dumnymi rysami twarzy, Włoch, zgłosił się i oświadczył, że jest zdecydowany wybrać wedle swej własnej woli i oprzeć się świadomie jakimukolwiek wpływowi. Jak Cipolla wyobraża sobie wynik w tych warunkach?

— Utrudni mi pan przez to — odrzekł Cipolla — moje zamiary. Opór pański nic w tym wypadku nie zmieni. Istnieje wolność i wola też istnieje; ale nie ma wolnej woli, bo wola, która kieruje się wolnością, trafia w próżnię. Wolno panu ciągnąć lub nie ciągnąć. Jeśli pan jednak wyciągnie, wyciągnie pan właściwie — tym pewniej, im oporniej stara się pan postąpić.

Trzeba było przyznać, że lepiej nie mógł dobrać słów, aby zamącić wodę i spowodować duchowy zamęt. Oporny wahał się

nerwowo, zanim sięgnął. Wyciągnął kartę i chciał natychmiast zobaczyć, czy znajduje się ona wśród ukrytych.

— Jak to? — zdziwił się Cipolla. — Czemu robić coś połowicznie? — Ponieważ jednak przekorny obstawał przy tej wstępnej próbie: — E servito* — rzekł kuglarz z niezwykle lokajskim gestem i pokazał, sam nie patrząc, swój wachlarzowaty trójliść. Tkwiąca po lewej karta była tą, którą ów wyciągnął.

Szermierz wolności usiadł gniewny wśród oklasków sali. Jak dalece Cipolla wrodzone swe zdolności wspomagał sztuczkami i zręcznością, diabli to wiedzą. Przyjąwszy taką kombinację, szczerą ciekawość łączyła bądź co bądź wszystkich w rozkoszowaniu się fenomenalną zabawą i w uznaniu fachowej dzielności, której nikt nie przeczył: — Lavora bene! * — Stwierdzenie to słyszeliśmy tu i ówdzie w naszym pobliżu i oznaczało ono zwycięstwo rzeczowej sprawiedliwości nad antypatią i cichym oburzeniem.

Przed wszystkim po swym ostatnim, częściowym, przez to jednak tym efektowniejszym sukcesie Cipolla pokrzepił się znowu koniakiem. W samej rzeczy „pił dużo” i przykro było na to patrzeć. Ale używał widocznie likieru i papierosa dla utrzymania i odnowienia swej sprężystości, której, jak to sam zaznaczył, pod wielu względami stawiano wielkie wymagania. Rzeczywiście, wyglądał chwilami źle, miał zapadnięte oczy i

* E servito (wł.) — służę panu.

zwiędłe policzki. Kieliszek naprawiał to chwilowo i mowa jego, gdy wciągnięty dym wypuszczał szarym kłębem z płuc, płynęła żywo i arogancko. Wiem na pewno, że od sztuczek karcianych przeszedł do owego rodzaju gier towarzyskich, polegających na ponad- lub podświadomych zdolnościach natury ludzkiej, na intuicji lub „magnetycznym” oddziaływaniu, słowem na niskiej formie objawienia. Tylko intymniejszego porządku jego wyczynów już nie pamiętam. Nie będę też was zanudzał opisywaniem tych doświadczeń; każdy je zna, każdy w nich kiedyś uczestniczył, w tym odnajdywaniu ukrytych przedmiotów, w tym ślepym wykonywaniu skomplikowanych czynności, ku czemu wskazówka przechodzi niezbędną drogą od organizmu do organizmu. Każdy też przy tym, potrząsając sceptycznie głową, poczynił drobne, ciekawo-wzgardliwe spostrzeżenia co do dwuznacznie nieczystego i nierozwikłanego charakteru okultyzmu, który ludzką naturę jego przedstawicieli skłania do kpiarskiego posługiwania się humbugiem i szachrajstwem, jednak przymieszka ta nie świadczy przeciw prawdziwości innych części wątpliwego amalgamatu. Powiadam tylko, że wszystkie proporcje wzmacniają się w sposób naturalny, wrażenie w każdym kierunku zyskuje na głębi, jeśli taki Cipolla jest kierownikiem i głównym aktorem ciemnej gry. Siedział tyłem zwrócony do publiczności w głębi podium i palił, podczas gdy na sali umawiano się skrycie, co mu nakazać, z ręki do ręki przechodził przedmiot, który miał wydobyć z ukrycia i z którym miał zrobić to, co z góry ułożono. Typowe było już to gwałtowne rzucanie się naprzód, już to nasłuchujące i

zatrzymujące się macanie przed sobą, chybianie i poprawianie się nagłym, niespodziewanym zwrotem, a wszystko to wykonywał trzymając za rękę świadomego przewodnika, który miał nakazane zachowywać posłuszną bierność ciała, ale myśli swe zwracać ku umówionemu przedmiotowi. Tak z odrzuconą w tył głową, z wyciągniętą naprzód ręką kroczył zygzakiem przez salę. Role zdawały się zamienione, prąd płynął w przeciwnym kierunku i sztukmistrz wskazywał na to wyraźnie, mówiąc bez przerwy] Bierną, odbiorczą, wykonawczą stroną, której wola była wyłączona i która spełniana niemą, unoszącą się w powietrzu wolę zbiorową, był teraz on, który tak długo wywierał wolę i rozkazywał; ale mówił z szacunkiem, że to na jedno wychodzi: zdolność, mówił, wyzbycia się samego siebie, stania się narzędziem, posłuszeństwo w najbezwzględniejszym i doskonałym sensie jest tylko odwrotną stroną owej innej woli chcenia i rozkazywania; jest to jedna i ta sama zdolność; rozkazywać i słuchać to tylko jedna zasada, nierozzerwalna jedność; kto umie słuchać, umie też rozkazywać, i odwrotnie; jedna myśl jest nieodłączna od drugiej, jak nieodłączne są lud i wódz, ale czyn, skrajnie surowy, unicestwiający czyn, należy bądź co bądź do niego, do wodza i sprawcy, w którym wola staje się posłuszeństwem, posłuszeństwo wola, którego osoba jest kolebką obojga i któremu przeto jest bardzo ciężko. Akcentował to mocno i często, że mu jest niezwykle ciężko, prawdopodobnie, aby wytłumaczyć swą potrzebę pokrzepienia i częste sięganie po kieliszek.

Macał jasnowidząco dokoła, prowadzony i niesiony zbiorową tajemną wolą. Wyciągał wysadzaną kamieniami szpilkę z buta Angielki, gdzie ją ukryto, ociągliwy i popędzany zaniósł ją do innej damy — była to pani Angiolieri — i wręczył ją jej na kolanach z przepisanyymi i choć przybliżonymi, jednak nie dość dokładnymi słowy; gdyż były umówione po francusku. „Składam pani dar na znak mojej czci” — miał rzec, a nam się zdawało, jakby złośliwość tkwiła w tym twardym warunku; wyrażała się w tym sprzeczność między zainteresowaniem w udaniu się dziwu i życzeniem, aby pretensjonalny mąż poniósł klęskę. Ale bardzo ciekawe było, jak Cipolla, na kolanach przed madame Angiolieri, wśród próbnych przemówień walczył o poznanie tego, co mu polecono.

— Mam coś powiedzieć — wyznał — i czuję wyraźnie, co należy powiedzieć, jednak czuję zarazem, że byłoby to błędne, gdybym to wyrzekł. Niech pani za nic na świecie, jakimś mimowolnym znakiem nie przyjdzie mi z pomocą! — zawołał, mimo lub dlatego że wątpliwe było właśnie to, czego się spodziewał... — *Pensez très fort!** — krzyknął nagle złą francuszczyzną i wyrzucił potem z siebie zalecone zdanie wprawdzie po włosku, ale tak, że końcowe i zasadnicze słowo wymówił nagle w siostrzanym języku, w którym prawdopodobnie nie bardzo był biegły, i zamiast „venerazione” powiedział „vénération” z niemożliwą nosówką na końcu — częściowy sukces, który po już dokonanych wyczynach, znale-

* *Pensez très fort* (fr.) — proszę myśleć intensywnie.

zieniu szpilki, podejściu do odbiorczyni i ukłęknięciu, sprawił niemal większe wrażenie, niżby to uczyniło całkowite zwycięstwo, i wywołał oklaski podziwu.

Cipolla wstając otarł sobie pot z czoła. Rozumiecie, że dałem tylko przykład jego roboty, opowiadając o szpilce — pozostało mi to szczególnie w pamięci. Ale zmieniał zasadniczą formę w różny sposób i przeplatał te próby, tak że wiele czasu upłynęło, improwizacjami pokrewnego rodzaju, w czym kontakt z publicznością pomagał mu na każdym kroku. Zwłaszcza z osoby naszej gospodyni zdawało się spływać nań natchnienie.

— Nie uchodzi mej uwagi, signora — rzekł do niej — że jest w pani coś osobliwego i czcigodnego. Kto umie patrzeć, widzi dokoła pani uroczej skroni blask, który jeśli się nie mylę, nigdy był silniejszy niż dziś, z wolna blednący blask... Ani słowa! Proszę mi nie pomagać! U boku pani siedzi małżonek, prawda? — zwrócił się do cichego pana Angiolieri. — Pan jest mężem tej damy i szczęście pańskie jest doskonałe. Ale w to szczęście mieszają się wspomnienia... Książęce wspomnienia... Przeszłość, signora, gra w pani obecnym życiu, jak mi się zdaje, wybitną rolę. Znała pani jakiegoś króla... czy w minionych czasach nie spotkała pani na drodze swego życia jakiegoś króla?

— Nie — szepnęła rozdawczyni naszej obiadowej zupy, a jej brunatnozłote oczy lśniły w szlachetnej bladości jej twarzy.

— Więc nie? Nie, nie król, mówiłem tylko niejako z grubsza i w przybliżeniu. Nie król ani książę — a jednak jakiś

książę, król wyższego rodzaju królestwa. Był to wielki artysta, u którego boku pani niegdyś... Chce pani zaprzeczyć, a jednak nie może pani tego uczynić stanowczo, tylko połowicznie. A więc! Była to wielka, światowej sławy artystka, której przyjaźnią cieszyła się pani we wczesnej młodości i której święta pamięć ocienia i rozjaśnia całe pani życie... Nazwisko? Czyż trzeba pani wymieniać nazwisko, którego sława złączyła się dawno ze sławą ojczyzny i z nią stała się nieśmiertelna? Eleonora Duse — zakończył cicho i uroczyście.

Drobna pani, pokonana, skinęła nieznacznie głową. Oklaski podobne były manifestacji narodowej. Każdy niemal w sali znał chlubną przeszłość pani Angiolieri, musiał więc uznać intuicję cavalière, przede wszystkim goście z „Casa Eleonora”. Chodziło tylko o to, ile on sam o tym wiedział, ile dowiedział się przy pierwszym fachowym wywiadzie po przybyciu do Torre... Ale nie mam powodu podejrzewać racjonalistycznie zdolności, które w naszych oczach stały się jego zgubą...

Przede wszystkim nastąpiła teraz przerwa i nasz rozkazodawca wycofał się. Przyznaję, że bałem się tego punktu mego sprawozdania, niemal odkąd zacząłem opowiadać. Czytać myśli ludzi nie jest przeważnie trudno, a tu jest to bardzo łatwe. Niewątpliwie zapytacie mnie, czemuśmy ostatecznie nie wyszli — i muszę wam pozostać dłużny odpowiedzi. Nie rozumiem tego i nie umiem się faktycznie usprawiedliwić. Musiało być już wtedy po wpół do jedenastej, prawdopodobnie później. Dzieci spały. Ostatnia seria doświadczeń była dla nich zbyt nudna, więc

łatwo było naturze wywalczyć swoje prawo. Spały na naszych kolanach, mała na moich, chłopczyk na matczynych. Było to z jednej strony uspokajające, potem jednak znów powodem do litości i napomnieniem, by położyć je do łóżka. Zapewniam, że chcieliśmy posłuchać tego wzruszającego napomnienia, chcieliśmy poważnie. Obudziliśmy biedactwa zapewniając, że najwyższy czas wracać do domu. Ale błagalny protest zaczął się od chwili ich oprzytomnienia, a wiecie, że niechęć dzieci do opuszczenia zabawy można tylko przełamać, nigdy wyperswadować. Cudnie jest u czarodzieja, skarżyły się, nie wiedzą, co jeszcze nastąpi, trzeba przynajmniej poczekać, od czego zaczniesz po przerwie, tymczasem prześpij się trochę, byle tylko nie do domu, nie do łóżka, kiedy tu odbywa się tak piękny wieczór.

Ustąpiliśmy, choć tylko, jak nam się zdawało, na moment, na chwilę jeszcze, na razie. To, żeśmy zostali, trudno usprawiedliwić jak i wytłumaczyć. Czy sądziliśmy, że trzeba powiedzieć B, skoro się powiedziało A i w ogóle niepotrzebnie przyprowadziło tu dzieci? Uważam to za niedostateczne. Czy bawiliśmy się sami? Tak i nie, nasze uczucia, względem cavalière Cipolla były w najwyższym stopniu różnorodnej natury, ale takie były, jeśli się nie mylę, uczucia całej sali, a jednak nikt nie odchodził. Czy ulegliśmy fascynacji, która biła od tego w tak osobliwy sposób zarabiającego na chleb męża także poza programem, także między pokazami i paraliżowała nasze postanowienia? W taki sam sposób można to było wpisać na

rachunek czystej ciekawości. Chciało się wiedzieć, jaki będzie dalszy ciąg wieczoru, który się tak zaczął, a zresztą odejściu Cipolli towarzyszyły zapowiedzi, które pozwalały sądzić, że worek jego nie został opróżniony i że należy oczekiwać stopniowania efektów.

Ale to nie to albo nie wszystko. Najwłaściwsze byłoby na pytanie, dlaczegośmy teraz nie wyszli, odpowiedzieć innym: dlaczegośmy przedtem nie wyjechali z Torre? Jest to moim zdaniem jedno i to samo pytanie i aby się wywinąć, mógłbym po prostu rzec, że już na nie odpowiedział. Panowała tu właśnie ta sama dziwność i napięcie, ta sama przykrość, zmartwienie, przygnębienie jak w Torre w ogóle, ba, nawet bardziej, sala ta stanowiła punkt zborny wszystkich osobliwości, rzeczy podejrzanych i niebezpiecznych, którymi, zda się, naładowała nas atmosfera pobytu; ten mąż, którego powrotu oczekiwaliśmy, wydawał się nam uosobieniem tego wszystkiego; i ponieważ nie „wyjechaliśmy” w ogóle, byłoby nielogicznym uczynić to, że tak powiem, w szczególności. Przyjmijcie to jako stwierdzenie naszej osiadłości albo też nie! Nic lepszego nie umiem po prostu przytoczyć.

Nastąpiła więc przerwa dziesięciu minut, z których zrobiło się prawie dwadzieścia. Dzieci, rozbudzone i zachwycone naszą ustępliwością, umiały je sobie przyjemnie zapełnić. Podjęły swe stosunki z ludową sferą, z Antoniem, z Guiscardem, z człowiekiem od kajaków. Wykrzykiwały do rybaków poprzez zwinięte dłonie życzenia, których nauczyły się od nas: — Jutro

dużo rybek! Pełnych sieci! — Wołały do Maria, małego kelnera z „Esquisito”: — Mario, una cioccolata e biscotti!* — I tym razem uważał i odrzekł z uśmiechem: — Subito!* — Mieliliśmy powody zachować w pamięci ten uprzejmy i nieco roztargniony, melancholijny uśmiech.

Tak minęła pauza, zabrzmiał gong, rozgadana publiczność zebrała się, dzieci poprawiły się chciwie w swych krzesłach, z rękami na kolanach. Scena pozostała otwarta. Cipolla wyszedł kuśtykając i rozpoczął natychmiast drugą serię swych pokazów, przygadując.

Pozwólcie mi się streścić: ten pewny siebie garbus był najsilniejszym hipnotyzerem, jakiego spotkałem w życiu. Jeśli co do natury swych pokazów sypał publiczności piaskiem w oczy i przedstawiał się jako sztukmistrz, to widocznie chodziło tu o to, aby obejść przepisy policyjne, które zasadniczo zabraniały używania tych sił w celach zarobkowych. Może formalne ukrywanie w takich razach jest praktykowane w kraju i urzędowo tolerowane lub tolerowane połowicznie. Tak czy inaczej, praktycznie kuglarz mało się krył od samego początku z prawdziwym charakterem swych wyczynów, a druga część jego programu opierała się zupełnie i wyłącznie na specjalnych doświadczeniach, na demonstracji pozbawiania i wywierania woli, choć nadawał temu inną nazwę. W przewlekłej serii komicznych, drażniących, zdumiewających prób, które jeszcze o

* Una cioccolata e biscotti (wł.) — czekolada i biszkopty.

* Subito (wł.) — w tej chwili.

północy były w pełnym toku, widziało się od niepozorności do potworności wszystko, czego ta naturalno-niesamowita dziedzina pod względem fenomenów dostarcza, i po groteskowych szczegółach patrzyło się na śmiejącą się, kiwającą głową, bijącą się w kolana, klaskającą publiczność, która wyraźnie znajdowała się pod wpływem surowej, pewnej siebie osobowości, chociaż, jak mi się przynajmniej zdawało, niechętnie nastrojoną wobec czegoś osobliwie hańbiącego, co tkwiło dla jednostki i dla wszystkich w tryumfach Cipolli.

Dwie rzeczy odgrywały główną rolę w tych tryumfach: pokrzepiający kieliszek i szpicruta z rączką w kształcie szponów. Pierwsze musiało służyć do podniecania w nim demonizmu, gdyż inaczej, zdawało się, groziłoby mu wyczerpanie, i to mogło zbudzić wyrozumiałość dla człowieka, gdyby nie to drugie, obrażający symbol jego władzy, ta świszcząca dyscyplina, pod którą zarozumiałość jego nas wszystkich trzymała i której współdziałanie nie pozwoliło powstać żadnemu większemu uczuciu prócz zdziwionej i krnąbrnej uległości. Czy potrzebował go? Czy wymagał jeszcze naszego współczucia? Czy chciał mieć wszystko? Uderzyło mnie jedno jego wyznanie, które pozwalało wnosić o takiej zazdrości. Uczynił je, gdy, u szczytu swych eksperymentów, pewnego młodego człowieka, który oddał mu się do rozporządzenia i poprzednio już okazał się szczególnie podatnym jego wpływom obiektem, przez passy i chuchanie doprowadził do stanu zupełnej katalepsji, do tego stopnia, że pogrążonego w głębokim śnie mógł nie tylko

karkiem i stopami ułożyć na oparciach dwóch krzeseł, lecz także usiąść na nim, i że sztywne ciało się nie ugięło. Widok tego potwora w surducie, siedzącego na zdrewniałej postaci, był nieprawdopodobny i wstrętny i publiczność, wyobrażająca sobie, że ofiara tej naukowej krotochwili musi cierpieć, wyraziła litość. — Poveretto! Biedak! — wołały dobroduszne głosy. — Poveretto! — szydził Cipolla zgorzkniały. — To pod fałszywym adresem, moi państwo! Sono io il poveretto! To ja tylko cierpię. — Schowano nauczkę do kieszeni. Dobrze, może to on sam ponosi koszty zabawy i może wziął na siebie cierpienia, o których świadczył żaloszny grymas giovanotta. Ale pozór świadczył przeciw temu i nie jest się skłonny nazywać poveretto kogoś, kto cierpi dla zbeczczenia drugiego.

Wybiegłem zbyt naprzód i zaniedbałem zupełnie kolejność wydarzeń. Głowę mam jeszcze dziś pełną wspomnień o cierpiętniczych czynach cavalière, tylko nie umiem wyliczyć ich po porządku i nie o to chodzi. Tyle jednak wiem, że wielkie i trudne, które znalazły najwięcej uznania, słabsze na mnie zrobiły wrażenie niż pewne małe i pobieżne. Fenomen młodzieńca, służącego za ławkę do siedzenia przyszedł mi właśnie na myśl tylko z powodu związanej z nim nauczki... Że jednak starsza dama, śpiąca na plecionym krześle, została przez Cipollę ukołysana złudzeniem, iż odbywa podróż do Indii, i w transie wzruszająco opowiadała o swych przygodach na lądzie i morzu, zajmowało mnie mniej i uważałem to za mniej szalone niż to, że po pauzie wysoki i barczysty pan o wojskowym wyglądzie nie

mógł podnieść ramienia tylko dlatego, że garbus oznajmił mu, że nie będzie już mógł tego zrobić, i świsnął przy tym szpicrutą w powietrzu. Widzę wciąż jeszcze przed sobą twarz tego wąsatego, poważnego colonello*, to uśmiechnięte zacięcie zębów w zapasach o swoją utraconą swobodę ruchów. Co za kłopotliwe zdarzenie! Zdawał się chcieć i nie móc; ale nie mógł tylko chcieć, nastąpiło tu owo paraliżujące wolność zwichnięcie woli, które nasz poskromiciel z góry szyderczo zapowiedział rzymskiemu panu.

Jeszcze lepiej pamiętam wzruszającą i upiorną komikę w scenie z panią Angiolieri, której eteryczną nieodporność wobec jego mocy cavalière wyśledził z pewnością już przy pierwszym śmiałym rozejrzeniu się po sali. Wyciągnął ją po prostu przez czyste zaczarowanie z jej krzesła i z jej rzędu za sobą i przy tym, dla podniesienia efektu, polecił panu Angiolieri zawołać swą żonę po imieniu, niejako aby ciężar jego istnienia i praw rzucić na szalę wagi i głosem małżonka obudzić w duszy towarzyszki wszystko; co mogło cnotę jej obronić przeciw złemu czarowi. Lecz jakże daremnie! Cipolla, w pewnej odległości od małżeńskiej pary, świsnął szpicrutą z tym skutkiem, że nasza gospodyni potężnie zadrżała i zwróciła doń twarz. — Sofronia! — zawołał pan Angiolieri już wtedy (nie wiedzieliśmy, że pani Angiolieri ma na imię Sofronia) i słusznie zaczął wołać, gdyż każdy widział, że grozi jej niebezpieczeństwo: twarz jego żony zwrócona była ku przekłętemu cavalière. Ten, ze szpicrutą

* Colonello (wł.) — pułkownik.

zawieszoną u przegubu, wszystkimi dziesięcioma długimi i żółtymi palcami zaczął wykonywać ruchy przyciągające i wabiące swą ofiarę i cofać się krok za krokiem. Wtedy pani Angiolieri w lśniącej bladości wstała ze swego miejsca, zwróciła się zupełnie w stronę zaklinacza i zaczęła posuwać się za nim. Upiorny i fatalny widok! Z lunatycznym wyrazem, ze sztywnymi ramionami, z pięknymi rękoma podniesionymi nieco w przegubach i jakby ze związanymi nogami, zdawała się z wolna sunąć z ławki ku ciągnącemu uwodzicielowi... — Wołaj pan, wołaj pan przecie! — napomniał okrutnik. I pan Agiolieri wołał słabym głosem: — Sofronia! — Ach, zawołał jeszcze kilka razy, a ponieważ żona oddalała się odeń coraz bardziej, podniósł nawet do ust zwiniętą w trąbkę dłoń i drugą kiwnął kilka razy wołając. Ale bezsilnie przebrzmiał biedny głos miłości i obowiązku za plecami straconej i w lunatycznym pochodzie, zaczarowana i głucha, uchodziła pani Angiolieri środkowym przejściem ku kiwającemu palcem garbusowi, w drzwi wejściowe. Miało się zniewalające i zupełne wrażenie, że za władcą swym, gdyby tylko chciał, poszłaby na koniec świata.

— *Accidente!** — zawołał pan Angiolieri w rzeczywistym strachu i zerwał się z miejsca, gdy doszli do drzwi.

Ale w tej samej chwili *cavalière* odrzucił niejako koronę zwycięstwa i przerwał.

* *Accidente* (wł.) — ostrożnie!

— Dość, signora, dziękuję — i podał wracającej z obłoków do siebie z komediancką dwornością ramię, aby ją odprowadzić do pana Angiolieri. — Mój panie — pokłonił się temuż — oto pańska małżonka! Nietknięta, wraz z mymi komplementami, oddaję ją w pańskie ręce. Strzeż pan wszystkimi siłami swej męskości skarbu, który jest tak całkowicie pański, i wzmacniaj pan swą czujność przekonaniem, że są moce silniejsze niż rozum i cnota i tylko wyjątkowo chodzące w parze z wielkodusznością wyrzeczenia.

Biednyż pan Angiolieri, cichy i łysy! Nie wyglądał na to, aby umiał strzec swego szczęścia, choćby nawet od mocy mniej demonicznych niż te, które tu do strachu dodawały jeszcze szyderstwo. Poważny i nadęty wracał cavalière na podium wśród oklasków, którym wymowność jego użyczała podwójnej pełni. Mianowicie przez to zwycięstwo, jeśli się nie mylę, wzrósł autorytet jego do tego stopnia, że mógł publiczności swej kazać tańczyć — tak, tańczyć. Trzeba to rozumieć dosłownie i przyniosło to z sobą pewne wynaturzenie, pewne z powodu późnej nocy rozstrojenie umysłów, upojne rozluźnienie krytycznych odporów, które tak długo opierały się działaniu nieprzyjemnego człowieka. Co prawda musiał twardo walczyć o całkowitość swej władzy, zwłaszcza z niechęcią młodego rzymskiego pana, którego moralny upór groził jego władzy niebezpiecznym jawnym przykładem. Jednak właśnie na ważności przykładu znał się cavalière na tyle, by obrać miejsce najmniejszego oporu za punkt natarcia; zapoczątkował orgię

taneczną przez owego słabowitego i do utraty ducha skłonnego młodzieńca, którego przedtem już zmienił w sztywny kij. Ten, ilekroć tylko mistrz dotknął go spojrzeniem, w dziwny sposób jakby uderzył weń piorun, wyrzucał w tył górną część ciała i z rękami na szwach spodni wpadał, w stan militarnego somnambulizmu, tak że z góry wpadała w oczy jego gotowość do wszelkiej niedorzeczności, jaką by mu nakazano. Również zdawało się, że znajdował upodobanie w poddaństwie i wyzbywaniu się własnej woli, gdyż ciągle ofiarowywał się jako obiekt doświadczalny i widocznie zasadał swą ambicję na tym, by okazać się wzorowym przykładem szybkiej utraty świadomości i woli. Także teraz wstąpił na podium i wystarczyło świśnięcie szpicruty, aby na rozkaz cavalière zaczął tam tańczyć „stepa”, to znaczy w pewnego rodzaju przyjemnej ekstazie, z zamkniętymi oczami i z kołysaniem głowy, wyrzucać we wszystkich kierunkach swe chude członki.

Widocznie było to zabawne, i nie trwało długo, a znalazł naśladowców i dwie dalsze osoby, jeden lichy, drugi dobrze ubrany młodzieniec, już po obu jego bokach wykonywały stepa. Wtedy to pan z Rzymu zgłosił się i spytał hardo, czy cavalière podejmuje się nauczyć go tańczyć, chociaż on tego nie chce.

— Nawet jeśli pan tego nie chce! — odparł Cipolla w tonie dla mnie niezapomnianym. Mam to straszne „Anche se non vuole!” wciąż jeszcze w uszach. I wtedy zaczęła się walka. Cipolla, wychyliwszy kieliszek i zapaliwszy świeżego papierosa, postawił rzymianina gdzieś w środkowym przejściu, z twarzą

zwróconą do drzwi wyjściowych, sam stanął w pewnym oddaleniu za nim i świsnął szpicrutą, rozkazując: — Balla!* — Jego przeciwnik nie ruszył się. — Balla! — powtórzył cavalière stanowczo i prztyknął palcami. Widać było, jak młodemu człowiekowi drgnęła szyja w kołnierzu, jak równocześnie jedna z rąk podniosła się w przegubie, jedna z pięt zwróciła się na zewnątrz. Te oznaki drżącej pokusy jednak, oznaki, które już to się wzmagają, już to znów uspokajają, trwały pewien czas. Nikt nie wątpił, że tu trzeba było pokonać z góry powzięte postanowienie zdecydowanego oporu, heroiczną przekorę; ten dzielny człowiek chciał uratować honor rodzaju ludzkiego, podrygiwał, ale nie tańczył, i eksperyment ten dłużył się tak, że cavalière zmuszony był rozdzielać swą uwagę; kiedy niekiedy zwracał się ku scenie i tam płasającym i świstał w ich kierunku szpicrutą, by ich utrzymać w karności, i zarazem, mówiąc poprzez ramię, pouczać publiczność, że ci wietrznicy nie będą potem czuli żadnego zmęczenia, choćby jak najdłużej tańczyli, bo właściwie nie oni to czynią, tylko on. Potem znów świdrujący wzrok utkwiał w karku rzymianina, by zdobyć twierdzę woli, sprzeciwiającą się jego władzy.

Widać było, że twierdza ta pod coraz ponawianymi ciosami i twardymi okrzykami chwieje się — patrzono na to z rzeczową sympatią, niewolną od uczuciowych odcieni, od żalu i srogiej satysfakcji. Jeśli dobrze zrozumiałem to, co się działo, to pan ten ulegał negatywności swej pozycji bojowej. Prawdopodobnie nie

* Balla (wł.) — tańcz.

można żyć duchowo niechcieniem: niechcenie jakiejś rzeczy nie jest na dłuższy przeciąg czasu żadną treścią życiową; czegoś nie chcieć i w ogóle niczego już nie chcieć, a przecież czynić to, czego się od człowieka wymaga, to rzeczy może zbyt z sobą blisko sąsiadujące, by idea wolności nie musiała między nimi ponieść uszczerbku, i w tym kierunku zmierzały też namowy, które cavalière wplatał między śmignięcia szpicrutą i rozkazy, mieszając wpływy, które były jego tajemnicą, z zawiłym psychologizowaniem.

— Balla! — rzekł. — Któż by się tak męczył? Czyż nazywasz wolnością to gwałcenie samego siebie? Una ballatina!* Przecież rwie cię we wszystkich członkach. Jakże błogo będzie przywrócić im wreszcie wolę! Ha, ty tańczysz już przecie! To już nie walka, to przyjemność!

Tak też było, drganie i rwanie w ciele opornego wzięło górę, podniósł ramiona, kolana, naraz wyzwoliły się wszystkie jego stawy, wyrzucał członki, tańczył i tak prowadził go cavalière, podczas gdy ludzie klaskali, na podium, by połączyć go z tamtymi pajacami. Widać było teraz twarz pokonanego, ukazała się tam na górze. Uśmiechał się szeroko, z półotwartymi oczami, podczas gdy się „bawił”. Było pewnego rodzaju pociechą widzieć, że widocznie było mu teraz lepiej niż w czasie jego dumy.

* Una ballatina (wł.) — taniec (zdrobniale).

Mozna rzec, że jego „upadek” stanowił epokę. Wraz z nim przełamały się lody, Cipolla był u szczytu tryumfu; różdżka Cyrce, świszcząca szpicruta z rączką w kształcie szponów, panowała bez ograniczenia. Do chwili, którą pamiętam — a musiało już być grubo po północy — tańczyło na małej scenie osiem czy dziesięć osób. Ale i na sali panował pewien ruch, a jakaś Anglosaksonka w cwikierze, z długimi zębami, o którą mistrz wcale się nie troszczył, wyszła ze swego rzędu, by w środkowym przejściu wykonać tarantelę. Tymczasem Cipolla siedział w niedbalej postawie na plecionym krześle po lewej stronie podium, połykał dym papierosa i wypuszczał go arogancko przez ohydne zęby. Kołysząc nogą i niekiedy potrząsając w uśmiechu ramionami, patrzył na rozprzężenie sali i wpółodwrócony śmigał od czasu do czasu szpicrutą w kierunku jednego z podrygujących, który chciał zaniechać zabawy. Dzieci były rozbudzone w tym czasie. Wspominam je ze wstydem. Niedobrze było tu być, najmniej dla nich, i to, żeśmy ich dotąd nie zabrali, umiem wytłumaczyć sobie pewnym zakażeniem przez ogólną bierność, która i nas opanowała o tej nocnej godzinie. Było już teraz wszystko jedno. Zresztą, na szczęście, nie zdawały sobie sprawy, jak podejrzana jest ta wieczorna zabawa. Niewinność ich zachwycała się ciągle na nowo niezwykłym pozwoleniem na przyglądanie się takiemu widowisku, występowi czarodzieja. Przesypiały kwadransik na naszych kolanach, potem z czerwonymi policzkami i upojonymi oczyma śmiały się serdecznie ze skoków, do których pan tego wieczoru zmuszał ludzi. Nie myślały, że będzie tak wesoło,

radośnie uczestniczyły niezgrabnymi rączkami w klaskaniu. Ale z uciechy poderwały się na swój sposób z krzesel, gdy Cipolla kiwnął na ich przyjaciela Maria, na Maria z „Esquisito” — kiwał na niego dosłownie, trzymając rękę przed nosem i palec wskazujący na przemian prostując i zaginając w hak. Mario był posłuszny. Widzę go jeszcze, jak idzie po schodach do cavalière, który nie przestawał w ów groteskowy sposób kiwać palcem. Przez chwilę ociągał się młody człowiek i to pamiętam dokładnie. Przez cały wieczór ze skrzyżowanymi ramionami lub z rękoma w kieszeniach marynarki stał oparty o drewniany słup, w bocznym przejściu, na lewo od nas, tam gdzie znajdował się giovanotto z wojowniczą fryzurą, i przyglądał się, o ile widzieliśmy, pokazom, ale bez zbytnej wesołości i Bóg wie z jakim zrozumieniem. Że jeszcze na samym końcu został wezwany do współdziałania, to nie było dlań widocznie przyjemne. Jednak było aż zbyt zrozumiałe, że usłuchał skinienia. To leżało już w jego zawodzie; poza tym było duchową niemożliwością, by prosty chłopiec jak on miał odmówić posłuszeństwa skinieniu tak uwieńczonego powodzeniem męża, jakim był w tej chwili Cipolla. Rad nierad więc oderwał się od swego słupa, podziękował tym, którzy stojąc przed nim i dokoła, zrobili mu miejsce, i wszedł na podium z uśmiechem powątpiewania dokoła wydętych warg.

Wyobraźcie go sobie jako krępego dwudziestolatka z krótko ostrzyżonymi włosami, z niskim czołem i ciężkimi powiekami nad oczyma barwy nieokreślonej szarej, z zielonymi

i żółtymi odcieniami. Wiem to dokładnie, gdyż często z nim rozmawialiśmy. Górna część twarzy ze spłaszczonym nosem, na którym widniało siodło piegów, była cofnięta w stosunku do dolnej, zajętej przeważnie przez grube wargi, między którymi, gdy mówił, widniały wilgotne zęby, i te obrzękłe wargi wraz z przykrytymi oczami nadawały jego fizjonomii wyraz prymitywnej melancholii, która właśnie była powodem, żeśmy od dawna coś czuli dla Maria. O brutalności wyrazu nie mogło być mowy; przeczyłaby temu choćby niezwykła wąskość i delikatność rąk, które szlachetnością uderzały nawet wśród południowców i których usługi przyjmowaliśmy chętnie.

Znaliśmy go jako człowieka, nie znając go osobiście, jeśli zechcecie mi zezwolić na to odróżnienie. Widywaliśmy go niemal codziennie i powzięliśmy pewną sympatię dla jego marzycielskiego, łatwo w duchową nieprzytomność wpadającego usposobienia, co naprawiał przechodząc szybko do osobliwej usługowości, był poważny, co najwyżej dzieci mogły go doprowadzić do uśmiechu, nie był mrukliwy, lecz nie przypodchlebiający się, nie zamierzał się przymilać, raczej rezygnował z przymilności, nie żywił zgoła nadziei, że może się podobać. Postać jego byłaby nam w każdym razie została w pamięci jako jedno z niepozornych wspomnień z podróży, które się lepiej zachowuje niż niejedno ważne. Z bliższych szczegółów o nim jednak wiedzieliśmy tylko tyle, że ojciec jego był pisarczykiem w municipio, a matka praczką.

Biały kaftan, w jakim usługiwał, zdobił go bardziej niż wyblakły garnitur z cienkiego materiału w prążki, w którym teraz wchodził na podium, bez kołnierzyka, tylko z czerwoną chustką jedwabną, której końce zakrywał surdut. Podeszedł do cavalière, ale ten nie przestawał poruszać zakrzywionym palcem pod nosem, tak że Mario musiał podejść jeszcze bliżej, ku nogom despoty, do samego stolika, po czym Cipolla z rozstawionymi łokciami ujął go i nadał mu taką pozycję, że mogliśmy widzieć jego twarz. Lustrował go niedbale, władczo i wesoło, z góry na dół.

— Cóż to, ragazzo mio*? — rzekł. — Tak późno zawieramy znajomość? Jednak możesz mi wierzyć, że ja od dawna zaznajomiłem się z tobą... Ależ tak, od dawna zwróciłem na ciebie uwagę i przekonałem się o twoich znamienitych zaletach. Jakże bym mógł o tobie zapomnieć! Tyle zalet, wiesz... Powiedzże mi, jak się nazywasz. Chcę poznać twoje imię.

— Nazywam się Mario — odpowiedział młody człowiek cicho.

— Ach, Mario, bardzo dobrze. To częste imię. Rozpowszechnione imię. Starożytne imię, z tych, które podtrzymują heroiczne tradycje ojczyzny. Bravo! Salve*! — I z krzywego barku wyciągnął ramię z otwartą dłonią w rzymskim pozdrowieniu skośnie w górę. Jeśli był trochę pijany, nie można

* Ragazzo mio (wł.) — mój chłopcze.

* Salve (wł.) — witaj.

się było dziwić; ale mówił jak przedtem, z bardzo dobitnym akcentem i płynnie, choć w tym czasie w zachowanie jego, jak i w intonację słów, wkradło się coś z sytości paszy i coś łobuzerskiego i swawolnego.

— A więc, drogi Mario — ciągnął dalej — to pięknie, że przyszedłeś dziś wieczór i nadto włożyłeś taką ładną chustkę, w której ci bardzo do twarzy i która niemało przysporzy ci powadzenia u dziewcząt, u uroczych dziewcząt w Torre di Venere.

Z miejsc stojących, mniej więcej tam, gdzie przed chwilą stał Mario, rozległ się śmiech — pochodził z ust giovanotta z wojowniczą fryzurą, który stał tam z marynarką przez ramię i śmiał się gburowato i szyderczo: „Cha, cha!”

Mario, jak sądzę, drgnął w ramionach. W każdym razie drgnął. Może właściwie zadygotał i wzruszenie ramionami było tylko połowicznym, dodatkowym tego pokryciem, przez które chciał pokazać, że tak chustka jak i płeć piękna są mu obojętne.

Cavalière spojrzał przelotnie w dół.

— O tego tu nie dbamy — rzekł — jest on zazdrosny, prawdopodobnie o powodzenie twojej chustki u dziewcząt, może też dlatego, że tak tutaj rozmawiamy sobie po przyjacielsku ty i ja... Jeśli chce, przypomnę mu jego kolkę. To mnie nic nie kosztuje. Powiedz no mi, Mario — bawisz się dziś wieczór... A w dzień obsługujesz klientów w sklepie galanteryjnym...

— W kawiarni — poprawił młodzieniec.

— Raczej w kawiarni! Ano, Cipolla raz się pomylił. Jesteś cameriere, podczaszy, Ganimed — to mi się podoba, jeszcze jedno antyczne wspomnienie — salvietta* — I przy tym wyciągnął cavalière ku uciesze publiczności na nowo ramię z pozdrowieniem.

Także Mario uśmiechnął się.

— Przedtem jednak — wtrącił prostując — sprzedawałem jakiś czas w Portoclemente w pewnym sklepie.

Było w jego uwadze coś z ludzkiego pragnienia, by dopomóc wróżbie, wydobyć z niej prawdę.

— A więc! A więc! W sklepie galanteryjnym!

— Były tam grzebienie i szczotki — odparł Mario wymijająco.

— Czyż nie mówiłem, że nie zawsze byłeś Ganimedem, nie zawsze usługiwałaś z serwetą? Nawet gdy się Cipolla pomyli, robi to w sposób budzący zaufanie. Powiedz, czy masz do mnie zaufanie?

Nieokreślony ruch.

— Połowiczna odpowiedź — stwierdził cavalière. — Niewątpliwie z trudem zdobywa się twe zaufanie. Nawet mnie,

* Salvietta (wł.) — serwetka.

widzę przecie, nie udaje się to łatwo. Spostrzegam w twojej twarzy rys skrytości, smutku, un tratto di malinconia... Powiedźże mi — i ujął z namową rękę Maria — czy masz zmartwienie?

— Nossignore!* — zaprzeczył ten szybko i stanowczo.

— Masz zmartwienie — upierał się kuglarz, biorąc autorytatywnie górę nad jego stanowczością. — Czyż tego nie widzę? Chcesz to wmówić w Cipollę? Rozumie się samo przez się, że to dziewczęta, jedna dziewczyna. Masz zmartwienie miłosne.

Mario zaprzeczył żywo głową. Jednocześnie rozległ się znów koło nas brutalny śmiech giovanotta.

Cavalière nastawił uszu. Oczy jego błędziły w powietrzu, ale łowił uchem śmiech i śmignął, jak już raz czy dwa podczas swej rozmowy z Mariem, szpicrutą, na pół w tył zwrócony w kierunku swoich tancerzy, by żaden z nich nie osłabł w gorliwości. Przy tym jednak partner jego o mało mu się nie wymknął, gdyż nagłym ruchem odwrócił się od niego ku schodom. Miał zaczerwienione oczy. Cipolla przychwycił go w sam czas.

— Stać! — rzekł. — To pięknie. Chcesz zwiąć, Ganimedzie, w najlepszej chwili lub też przed nią? Jeśli tu zostaniesz, przyrzekam ci śliczne rzeczy. Obiecuję ci, że

* Nossignore (wł.) — nie, panie.

przekonam cię o bezpodstawności twojego zmartwienia. Twoja dziewczyna, którą znasz i którą znają też inni, ta — jakże się ona nazywa? Poczekaj! Czytam to imię w twych oczach, mam je na końcu języka i ty także, widzę, jesteś gotów je wymówić...

— Silvestra! — zawołał z dołu giovanotto.

Cavalière ani drgnął.

— Czyż nie ma gadułów? — spytał nie patrząc na dół raczej jakby w nieprzerwanej rozmowie z Mariem. — Czyż nie ma przede wszystkim niedyskretnych kogutów, które pieją, czy trzeba, czy nie trzeba? Oto wyjmuje nam imię z ust, tobie i mnie, i myśli jeszcze, zarozumialec, że posiada szczególne prawo do niego! Dajmy mu pokój! Ale Silvestra, twoja Silvestra, przyznaj, to ci dziewczyna, co? Prawdziwy skarb! Serce zamiera, gdy się widzi, jak chodzi, oddycha, uśmiecha się, taka jest urocza. A jej krągłe ramiona, gdy pierze i przy tym odrzuca głowę w tył, i odgarnia włosy z czoła! Anioł z raju!

Mario wlepił weń oczy z podaną w przód głową. Zdawał się zapominać o swym położeniu i o publiczności. Czerwone plamy dokoła oczu zwiększyły się i wyglądały jak malowane. Nigdy tego nie widziałem. Jego grube wargi były otwarte.

— I ten anioł martwi cię — ciągnął Cipolla — lub raczej ty martwisz się o niego... To różnica, mój drogi, poważna różnica, wierzaj mi! Są w miłości nieporozumienia — można rzec, że nigdzie nie jest łatwiej o nieporozumienia jak tutaj. Myślisz, cóż

wie Cipolla o miłości, on ze swą małą ułomnością? Mylisz się, on się zna na niej bardzo dobrze, zna się na niej w sposób szeroki i głęboki, warto słuchać go w jej sprawach! Ale dajmy pokój Cipolli, nie zajmujmy się nim i myślm tylko o Silvestrze, o twej uroczej Silvestrze! Jak to? Miałażby dawać przed tobą pierwszeństwo jakiemuś piejącemu kogutowi, tak aby on się śmiał, a ty abyś płakał? Pierwszeństwo przed tobą, pełnym uczucia i sympatycznym chłopcem? To mało prawdopodobne, to niemożliwe, wiemy o tym lepiej, Cipolla i ona. Widzisz, jeśli postawię się na jej miejscu i wybieram między takim zasmolonym gburem, między taką soloną rybą i morskim małżem a takim Mariem, rycerzem serwety, który porusza się między państwem, podaje zręcznie cudzoziemcom chłodzące napoje i kocha mnie prawdziwym, gorącym uczuciem — na honor, decyzja dla mego serca nie jest' trudna, wiem, komu je mam darować, komu jedynie już od dawna darowałam je z rumieńcem. Czas już, byś to zobaczył i zrozumiał, mój wybrany! Czas, abyś mnie zobaczył i poznał, Mario, mój najdroższy... Powiedz, kto ja jestem?

Straszne było, jak oszust przymilał się, zalotnie wykręcał krzywe barki, tęsknie spoglądał oczyma z obwisłymi workami i w słodkawym uśmiechu pokazywał swe wyszczerbione zęby. Ach, ale cóż stało się z naszym Mariem podczas jego mamiących słów? Ciężko mi odpowiedzieć, jak ciężko mi było na to patrzeć, gdyż było to zdradzenie najgłębszej treści duszy, wyjawienie nieśmiałej i obłudnie szczęśliwej namiętności. Splół

ręce przed ustami, barki jego wznosiły się i opadały w gwałtownym oddechu. Z pewnością nie wierzył z szczęścia własnym oczom i uszom i zapomniał właśnie tylko o jednym, by im naprawdę nie wierzyć. — Silvestra! — westchnął zwyciężony, z głębi piersi.

— Pocałuj mnie! — rzekł garbus. — Wierz mi, pozwalam! Kocham cię! Pocałuj mnie tu! — i wskazał końcem wskazującego palca, z odsuniętą w bok ręką, ramieniem i małym palcem, swój policzek, tuż przy ustach.

I Mario schylił się i pocałował go.

Na sali zrobiło się zupełnie cicho. Chwila ta była groteskowa, potworna, pełna napięcia — chwila szczęśliwości Maria. W tym złośliwym momencie, w którym uczuciu narzucały się wszystkie związki szczęścia i złudzenia, odezwał się, nie zaraz na początku, lecz natychmiast po smutnym i błazeńskim złączeniu ust Maria z obrzydliwymi wargami, które podsunęły się jego czułości, śmiech giovanotta z naszej lewej strony, który jedyny wyrwał się wśród oczekiwania, brutalny, złośliwie radosny, a jednak, musiałbym się chyba bardzo mylić, nie bez podłoża i odcienia litości nad tak wielkim uszczerbkiem marzenia, nie bez echa owego okrzyku „poveretto!”, który czarodziej uznał przedtem za fałszywie skierowany i do którego sam zgłosił pretensje.

Ale też już równocześnie, kiedy rozlegał się jeszcze śmiech, całowany świsnął u dołu przy krześle szpicrutą i Mario drgnął i

cofnął się. Stał i wytrzeszczał oczy, z przechylnym w tył ciałem, przyciskał dłonie do nadużytych warg, jedną na drugiej, potem kostkami obu uderzył się kilka razy w skronie i rzucił się w dół schodami, podczas gdy sala biła oklaski, a Cipolla, z rękami splecionymi na kolanach, potrząsał w śmiechu ramionami. Na dole, w całym pędzie, Mario miotał się z rozkraczonymi nogami, wyrzucił w górę ramię i dwie głucho grzmiące detonacje przerwały oklaski i śmiech.

Zapadła głęboka cisza. Nawet tancerze uspokoili się i wytrzeszczali w zdumieniu oczy. Cipolla zerwał się z krzesła. Stał z obronnie w bok wyciągniętymi ramionami, jakby chciał wołać: „Stać! Spokój! Wszyscy precz ode mnie! Co to?”; opadł w najbliższej chwili ze zwisłą na piersi głową z powrotem na krzesło i zaraz zsunął się bokiem na ziemię, gdzie pozostał bez ruchu, bezwładna wiązka odzienia i krzywych kości.

Zgiełk był bezgraniczny. Panie drżąc ukrywały twarze na piersiach towarzyszy. Wołano o lekarza, o policję. Szturmem zdobyto podium. Rzucano się w tłoku na Maria, aby go rozbroić, wyrwać mu małą, metalową, ledwo do pistoletu podobną maszynkę, która zwisała w jego ręce i której prawie nie istniejąca lufa zwróciła los w tak nieprzewidzianym i obcym kierunku. Zabraliśmy — nareszcie przecie — dzieci i pociągnęliśmy je mimo wkraczających karabinierów do wyjścia.

— Czy to już był koniec? — pytały dla pewności...

— Tak, to był koniec — przytaknęliśmy im. Straszliwy, w najwyższym stopniu fatalny koniec. A jednak wyzwalający koniec — nie mogłem i nie mogę czuć inaczej!

POSŁOWIE

Z pięciu nowel, które zawiera ten wybór, pierwsza, *Pajac*, powstała jeszcze u schyłku minionego stulecia (1897), ostatnia, *Mario i czarodziej* — w roku 1930.

W ciągu trzydziestu z górą lat Tomasz Mann, który zresztą uważał się za nowelistę z przypadku, napisał ponad dwadzieścia pięć opowiadań. Na emigracji, gdzie przebywał od przewrotu hitlerowskiego, pisarz z rzadka odrywał się od pracy nad wielkimi dziełami epickimi. Tylko trzy utwory: *Zamienione głowy*, *Prawo* i *Oszukana*, stanowią dorobek nowelistyczny ostatniego ćwierćwiecza.

Opowiadania Manna żyją tą samą problematyką, która wypełnia jego powieści. Związek pomiędzy niektórymi nowelami i powieściami jest niekiedy organiczny. I tak, *Tonio Kröger* tworzy jak gdyby post scrip-tum do pierwszej powieści Manna, *Buddenbrooków*, która przyniosła autorowi rozgłos światowy. Nowela *Prawo* jest echem cyklu powieściowego *Józef i jego bracia*, a *Czarodziejska góra* była wprost pomyślana jako parodystyczne rozwinięcie opowiadania *Śmierć w Wenecji*.

Nowele i powieści Manna łączy także pokrewieństwo stylu, sposobu narracji, techniki beletrystycznej. Zarówno w noweli,

jak i w powieści pisarz oplata fabułę pajęczyną motywów autobiograficznych. I tu, i tam, opowiadając o losach swoich bohaterów, mówi o własnej udreće. W jednej i w drugiej zachowuje ironiczny, pełen melancholijnego nastroju dystans wobec siebie, postaci i wydarzeń. Wszędzie akcję wypiera medytacja, zawiła i precyzyjna analiza sytuacji człowieka uwikłanego w sprzecznościach życia. Jest to proza, jeśli tak można rzec, kontemplacyjna, pogrążona w rozważaniach, która sądzi siebie i świat, żonglując słowem z nieopisaną swobodą i wirtuozerią.

Oczywiście w nowelach, gdzie opis siłą rzeczy ogranicza się do epizodu, przeżycia, nastroju, zanika rozległe tło epoki, przycichają (choć nie milkną) odgłosy historii, słabnie dynamika wydarzeń społecznych, możliwa do odtworzenia w obszernej powieści. Toteż w opowiadaniach Manna zasadniczy problem jego twórczości kształtuje się w innym rozmiarze. Historia Tonią Krögera to swoista odmiana losów najmłodszego potomka rodziny Buddenbrooków. Obaj (jak zresztą i Tomasz Mann) pochodzą ze starej rodziny kupieckiej, z tego samego miasta, obaj, urzeczeni sztuką — jeden literaturą, drugi muzyką — są odszczepieńcami, którzy sprzeniewierzyli się tradycji swoich rodów i na skutek tego cierpią boleśnie. Ale dramat ostatniego z Buddenbrooków jest ogniwem w łańcuchu przeobrażeń społecznych, których ofiarą pada senatorska rodzina z Lubeki, natomiast przeżycia Tonią są pozbawione historycznych

powiązań i bogatej oprawy realiów. W pierwszym wypadku obraz ma kulisy epickie, w drugim — tło psychologiczne.

Świat opowiadań Manna jest pełen niepokoju i otoczony mrokiem zagłady. Autor *Buddenbrooków* i *Doktora Faustusa* nazwał się kiedyś pisarzem „epoki końca” — schyłku mieszczaństwa, które w dwóch ubiegłych stuleciach obdarzyło Europę wspaniałymi dziełami myśli, kultury i sztuki. Ten świat, znużony i przeżyty, jak gdyby dotknięty czarnym skrzydłem anioła śmierci, przekształca się w prozie Manna w przeciwieństwo swojej dawnej świetności. Dzieła niemieckiego pisarza są łabędzim śpiewem umierającej epoki i zarazem kroniką jej niemocy, upadku. Prozaik występuje w podwójnej roli: ostatniego reprezentanta Stulecia, które odchodzi w przeszłość, i diagnosty jego choroby. Środowisku, z którego wyszedł i wyniósł najlepsze wspomnienia, autor nie szczędzi słów miłości i najostrzejszej krytyki. Żegnając z nieukrywanym żalem formację duchową, która urzekła go geniuszem Schillera i Goethego, Balzaka i Flauberta, Tołstoja i Dostojewskiego, Mann patrzy z niepokojem w przyszłość, owładnięty „zamętem uczuć” i niepewnością. Problem upadku mieszczaństwa, przy całej ironii charakterystycznej dla twórczości Manna, przybiera postać tragiczną.

Bohaterowie Mannowskich nowel cierpią — każdy na swój sposób — i uginają się pod brzemieniem rozterki, którą przynosi im czas. Są to z reguły „mieszczanie”, którzy się wyparli mieszczaństwa, wygnańcy z własnej woli, ludzie odmienni od

swojego otoczenia, naznaczeni stygmatem jakiejś „inności”, dziwnej i niespokojnej. Żyją niejako w stanie grzechu, albowiem skosztowali zakazanego owocu mądrości i zwątpienia, i z tego powodu skazani zostali na banicję z „normalnej” codzienności. Z równowagi mieszczańskiego życia wytrąca ich ułomność fizyczna, nieporadność, nieszczęście, które ich skazują na mękę samotności, bądź też talent artystyczny, geniusz, rozbudzony intelekt, otwierający drogę do poznania lub prawdy niedocieczonej dla zjadaczy chleba powszedniego. Słowem, są antytezą zdrowych, beztroskich mieszczan, czują się jak gdyby wyklęci z życia, za którym tęsknią i uganiają się niby za nieuchwytnym fantomem.

Ich istnienie jest pasmem złudzeń i rozczarowań, daremnym poszukiwaniem utraconego raj — radości dnia codziennego.

Jesteśmy zatem wśród ludzi o rozdartej duszy, przeżywających ten sam problem, który się powtarza w coraz to innej odmianie. W nowelistyce Manna główny konflikt manifestuje się najczęściej w antytezie artysty — mieszczanin. Bohaterami najznakomitszych nowel pochodzących sprzed pierwszej wojny światowej, *Tonią Krögera*, *Tristana* i *Śmierci w Wenecji*, są pisarze, W naszym wyborze spotykamy ich bardzo często: we wspomnianym już *Tonnt Krögerze*, w *Katastrofie kolejowej*, w utworze *Pan i pies*, wreszcie w noweli *Mario i czarodziej*, gdzie autor występuje w roli narratora. Ale i bohater *Pajaca*, choć nie jest pisarzem, też nie nadaje się do zawodu

„mieszczańskiego”, zamiłowanie pociąga go do aktorstwa — „pajac” ma wrodzoną skłonność do komedianctwa.

Pojęcie sztuki jako przeciwstawienia życiu (czego nie należy utożsamiać z pojęciem sztuki oderwanej od życia) ma u Tomasza Manna szerokie symboliczne znaczenie, reprezentatywne dla działalności duchowej człowieka w ogóle. Jeśli autor wybrał literaturę, a zatem dziedzinę sobie najbliższą, dla zobrazowania sytuacji artysty, a w związku z tym kryzysu, który ogarnął społeczeństwo mieszczańskie i jego kulturę, to zauważymy tutaj przede wszystkim dwa względy.

Pierwszy kryje się w samej istocie twórczości artystycznej. Jej najdoskonalszym wyrazem jest, zdaniem Manna, sztuka posłuszna nie szaleństwu wyobraźni, lecz chłodnej, krytycznej rozwadze. Prawdziwy twórca jest tedy panem, a nie niewolnikiem uczucia. „Tylko partacz myśli — zwierza się Tonio Kröger — że twórcy wolno czuć. Każdy prawdziwy i szczerzy artysta uśmiecha się z powodu tego błędu partaczy, melancholijnie może, ale się uśmiecha”. Chwila, w której twórca wyzwala się od władzy spontanicznej emocji i zaczyna kierować żywiołem swoich uczuć, jest chwilą narodzin wielkiej sztuki. „Widzieć jasno nawet jeszcze poprzez łzawą zasłonę uczucia, poznawać, zauważać, obserwować i być zmuszonym ciułać swe spostrzeżenia nawet w chwilach, gdy dłonie się ściskają, usta się znajdują, gdy gaśnie wzrok ludzki, oślepiiony uczuciem” — to wedle słów Tonia Krögera największe zwycięstwo artysty. Tak pojęta sztuka pobudza artystę do ustawicznej samoobserwacji i

konfrontowania porywów serca z rzeczywistością, ale jednocześnie zmusza go do wyrzeczeń i pozbawia błogiego spokoju nieświadomości, w której żyje mieszczanin. Sztuka staje się błogosławieństwem i potępieniem[^] otwiera wrota prawdy, ale zamyka drogę do szczęścia.

O ile ten wzgląd wynika z poznawczego charakteru sztuki, o tyle drugi jest natury historycznej, następstwem warunków naszego czasu. Tomasz Mann przyznaje sztuce dominującą rolę w duchowym życiu społeczeństwa, obarczając ją brzemieniem wszystkich trosk jej epoki, zadaniem niesienia człowiekowi pomocy w jego zbłąkaniu i udreńce. Artysta może wywiązać się z tego zadania tylko wtedy, jeśli nie czuje się osamotniony i niepotrzebny, innymi słowy, jeśli jego indywidualna ekspresja pozostaje w zgodzie z ogólną tendencją jego czasów. Owa jedność pomiędzy twórcą a jego epoką uległa zmaceniu u schyłku XIX stulecia, od kiedy mieszczaństwo sprzeniewierzyło się humanistycznym tradycjom przeszłości. W wieku „zamętu, ścigania i wzajemnego dreńczenia”, jak pisze Mann w *Doktorze Faustusie*, pomiędzy sztuką a życiem rozwarła się przepaść. Artysta staje się bezdomnym prorokiem, głosi-cielem prawdy, której nikt nie chce uznać, i w końcu sam schodzi na manowce.

Ten dramat przeżywa również Tonio Kröger, który należy do dwóch światów i w żadnym z nich nie czuje się dobrze. Tonio żyje w sferze sztuki i mieszczaństwa, wydany na pastwę dwóch wrogich żywiołów. Sztuka poróżniła go z życiem, jego dawne otoczenie stało mu się obce, a życie, do którego mimo

wszystko tęskni, nic nie chce wiedzieć o jego sztuce. Tak więc Kröger cierpi i szuka daremnie utraconego spokoju ducha, za zdrości mieszczaninowi jego beztroski i „rozkoszy zwyczajności”. Nazywa siebie „artystą z nieczystym sumieniem”, bądź „mieszczuchem zabłąkanym w dziedzinę sztuki”, a o literaturze mówi, że „nie jest w ogóle powołaniem, tylko przekleństwem”. Rozstajemy się z nim jak z człowiekiem zagubionym w błędnym labiryncie wydarzeń i własnych przeżyć. „Stoję na granicy dwóch światów — skarży się w ostatnich słowach — w żadnym nie czuję się u siebie, stąd jest mi trochę ciężko”.

Jeśli jednak Tonio Kröger szuka schronienia przed codziennością w sferze sztuki, to bohater *Pajaca* — ucieka w pustkę. Klęska pierwszego jest porażką artysty, upadek drugiego katastrofą niespełnionych możliwości. Tamten przeżywa udrękę talentu, ten cierpi na skutek braku zdolności. Zamiłowanie do lektury i gry aktorskiej skazuje dziwaka na „filozoficzne osamotnienie” w środowisku, z którego pochodzi, ale dyletantyzm zamyka mu drogę do sztuki. Tonio stoi na granicy dwóch światów i w żadnym z nich nie może znaleźć azylu, on błąka się na pustkowiu, „wyłączony, niezauważony, nieuprawniony, obcy”, osamotniony w nieszczęściu, którego bezmiar objawia mu nieodwzajemniona miłość. „Mój Boże, któż by pomyślał, że tak wielką klęską i nieszczęściem jest urodzić się pajacem” — tymi słowy kończy swą opowieść zbiegły mieszczanin i niedoszły artysta.

Konflikt artysta — mieszczanin ma jeszcze inne motywy, ironiczne — motywy krytyki społecznej. Przeciwwstawiając artystę życiu autor nie tai, że jego humanistyczna wizja mieszczaństwa jest już dzisiaj złudzeniem i nie ma pokrycia w rzeczywistości. Janek, któremu zazdrości Tonio zachwycający się lekturą *Don Carlosa* Schillera, jest wprawdzie doskonałym i muskularnym sportowcem, ale jego intelektualne zainteresowania ograniczają się do ilustrowanych książek o koniach. Anna Rainer, ideal nieśmiały marzeń „pajaca”, czuje się doskonale u boku asesora Witznagla, który może zaimponować jedynie dobrze skrojonym frakiem i wspaniałym, wykrochmalonym gorsem śnieżnobiałej koszuli. A butny, pewny siebie pasażer z *Katastrofy kolejowej* okazuje się ordynarnym gburem, który w niebezpieczeństwie szaleje ze strachu. Oto portrety dziedziców wielkiej epoki, która zapisała tak chlubną kartę w dziejach klasycznej literatury i filozofii w Niemczech.

W ostatnim opowiadaniu tego wyboru, spokrewnionymi z poprzednimi tematyką, przeplatają się motywy psychologiczne z politycznymi. Nowela *Mario i czarodziej* powstała w czasach, kiedy ulice miast niemieckich zaroily się ludźmi w brunatnych koszulach. Utwór jest wstrząsającą wizją, która odtwarza grozę i niehumanizm faszystowskiego reżimu. Akcja opowiadania toczy się co prawda we Włoszech Mussolini ego, ale uogólniająca aluzyjność epizodu jest niedwuznaczna. Nad zastraszoną publicznością, wśród której widzimy autora z jego rodziną, nad służalczymi pracownikami hotelu, faszystowskimi kuracjuszami z Rzymu,

góruje postać hipnotyzera Cipolli, który upaja się alkoholem, poczuciem władzy nad tłumem i świstem szpicruty. Pokraczny brzydal apelujący do patriotycznych uczuć słuchaczy, traktujący ludzi jak bydło, uznający jedynie zasadę rozkazu i ślepego posłuszeństwa, jest wcieleniem przemocy, która dławi cudzą wolę. A tam, gdzie ginie wolność, człowieczeństwo staje się pustym dźwiękiem. Urok hipnotyzera rozprasza dopiero kula z pistoletu Maria, która uwalnia zebranych od koszmaru.

Cipolla jest również swojego rodzaju „artystą” — oczywiście w negatywnym, diabelskim tego słowa znaczeniu. Ten mistrz kuglarstwa paraliżuje złowieszczym wpływem masę ludzką, ujarzma ją bestialstwem, tyranizuje pogardą, objawiając pod tyrn względem niezwykle zdolności. Konflikt, który miał dawniej kształt tragiczny lub tragikomiczny, przybiera teraz postać demoniczną. Tam, gdzie panuje przemoc, milknie sztuka. Artysta schodzi ze sceny i jego miejsce zajmuje wirtuoz demagogii — rzecznik zła.

ROMAN KARST